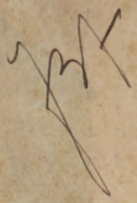

607

Wiktor Dzierżanowski

Apteka C
EX LIBRIS
CZY
TEL
NIK
SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

318057

Wiktor Dzierżanowski

H. SUDERMANN.

KUMA TROSKA

POWIEŚĆ.

PRZEKŁAD

Aleksandry Callierowej.

ЧИТАЛЬНЯ
ВЪ СКЕРНЕВИЦАХЪ
CZYTELNIA
W SKIERNIEWICACH

WARSZAWA.
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.
1891.

CZYTELNIA
ANULOWANO
5028

Дозволено Цензурою.

Варшава, 1 Сентября 1891 г.

UJK
Biblioteka
Uniwersytecka
w Kielcach

474385

W Drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.

I.

W chwili właśnie, kiedy majątek Meyhöfera wystawionym został na licytacyę, przyszedł na świat Paweł, trzeci syn z kolei.

Ciężkie to były czasy.

Pani Elżbieta, stroskana, ze smutnym na twarzy uśmiechem, leżała na szerokiem łóżku pod baldachimem firanek, tuż obok którego stała kołyska niemowlęcia, i z biegającemi niespokojnie oczyma bacznie nasłuchiwała każdego szelestu, który z dziedzieńca lub innych pokoi dobiegł do smutnej jej sypialni. Każdy odgłos podejrzany wprawiał ją w drżenie, a ilekroć tylko jaki obcy głos męzki dał się słyszeć lub głuchy turkot kół powozu rozległ się na dziedzińcu, chwytając się poręczy łóżka unosiła się na posłaniu i ze straszną pytała trwogą:

„Do tegoż już, do tego doszło?“

Nikt jej nie odpowiadał. Lekarz nakazał surowo, aby ją chronić od wszelkiego wzruszenia, ale poczciwiec nie przypuszczał nad tem, że ta ciągła

trwoga niepewności tysiąc razy więcej dręczyć ją musi, niż najstraszniejsza pewność.

Pewnego popołudnia, piątego dnia po urodze. niu się dziecka—posłyszała jak w drugim pokoju mąż jej, którego w tych ciężkich dla nich czasach nie widywała niemal zupełnie, ciężkiemi przechadzał się krokami, to klnąc, to wzdychając kolejno. Jedno słowo nawet wyraźnie dobiegło jej ucha, słowo, które powtarzał bezustannie: „Bez dachu! bez dachu!“

Wtedy wiedziała już, że: do tego przyszło.

Osłabłą rękę położyła na główce nowonarodzonego dziecięcia, które dziwnie poważną twarzyczką w świat patrzało przed siebie i ukrywszy twarz w poduszkach zapłakała.

Po chwili ozwała się do dziewczyny pilnującej dziecka.

— Powiedz panu, że chcę z nim pomówić.

I przyszedł. — Hałaśliwym krokiem podszedł do łóżka chorej i popatrzał na nią z wyrazem twarzy, co w wymuszonej swej swobodzie w dwójnasób wydawał się jeszcze zrozpaczonym i strasznym.

— Maksie,—ozwała się nieśmiało, bo zawsze go się lękała—Maksie, nie ukrywaj nic przedemną—ja i tak przecież przygotowaną jestem na wszystko najgorsze.

— Czyż jesteś?—spytał nieufnie, bo przyszły mu na myśl przestrogi lekarza.

— Kiedy mamy się ztąd wynieść?

Skoro zobaczył, że spokojnie spogląda oko w oko nieszczęściu, sądził, że nie potrzebuje już ust zamykać i wybuchnął:

— Dziś — jutro — jak się tylko nowemu panu podobać będzie! — Z jego miłosierdzia jeszcze jesteśmy tutaj — a jeśli mu tak będzie dogodnie, dzisiejszej już nocy może wypadnie nam przespać się na drodze.

— Tak źle nie będzie, mój mężu, — wymówiła z trudnością, siląc się na spokój, — skoro się dowie, że zaledwie przed kilku dniami przyszło nam na świat dziecko...

— Tak — może mam jeszcze iść u niego żebrać — co?

— O, pocóż. On to sam z siebie uczyni! Któż to taki?

— Nazywa się Douglas — pochodzi z okolic Insterburga — ogromnie się tu rozpanoszał ten jegomość, rozrzucał strasznie—gdybym był mógł, z przyjemnością byłbym wyrzucił go za bramę dziedzińca.

— Czy nam co pozostało?

Spytała o to cicho, z wahaniem i popatrzała przytem na maleństwo w kołysce, boć może od tej odpowiedzi zawisło młode, słabe jego życie.

On wybuchnął gorzkim, twardym śmiechem.

— A tak, ot tryngield—całe dwa tysiące talarów.

Kobieta odetchnęła w widoczną ulgą, bo zdało się jej, że posłyszeć musi owo straszliwe „Nic, nic zgoła“, że to słowo właśnie na ustach jego zawisło.

— Cóż my poczniem z dwoma tysiącami talarów, — ciągnął dalej, — kiedy ich piędziesiąt już utonęło w błocie? Mamże może oberżę otworzyć w mieście lub handlować guzikami i tasiemkami? Może i ty mi dopomagać będziesz, chodząc szyć na dnie w zamożniejszych domach, a dzieci trzeba puścić z zapałkami na ulicę, niech i one szukają chleba—ha, ha, ha!

Ręką rozrzucał szpakowate już na głowie włosy, tarł gęstą czuprynę, nogą gwałtownie trącając kołyskę, tak że po kilkakroć zachwiała się silnie.

— I po co teraz było się rodzić temu biedactwu?—mruknął ponuro, potem przyklęknął przed kołyską, ujął maleńkie rączęta dzieciny, które znikły w czerwonych, wielkich jego dłoniach i tak mówił do syna:

— Gdybyś ty był wiedział, mój chłopcze, jak złym, jak podłym jest ten świat cały, jak na nim bezwstyd zwycięża a uczciwość marnieć musi, z pewnością byłbyś pozostał tam, gdzie byłeś. Jakiż to twój los będzie? — Twój ojciec to kawał włóczęgi, jeden z tych co go wyprzęgli, wyzuty z ojcowizny włóczyć się będzie z żoną i trojgiem dzieci po drogach, pókąd nie znajdzie miejsca, gdzie siebie i swoich będzie mógł zgubić już ostatecznie...

— Maksie, nie mów tak — mnie serce pęka,— przerwała mu pani Elżbieta z płaczem i wyciąg-

nęła rękę, by nią objąć szyję męża, ale ręka opadła bezsilna, zanim dosięgła celu.

On zerwał się.

— Masz racyę—dość tych jęków!—Prawda, że gdybym teraz sam był na świecie, kawalerem, jak dawniej, wyjechałbym do Ameryki lub puścił się w stepy Rosyi, tam można jeszcze dojść do majątku—tak, tam ludzie dochodzą do majątków — albo począłbym spekulować na giełdzie,— dziś hossa, jutro bessa—hej, tam można grosz piękny zarobić—ale tak—związany jak ja nim jestem...

Spojrzał żałośnie na żonę i dziecko, potem ręką ukazał ku dziedzińcowi, zkąd dobiegały wesołe śmiechy dwóch starszych chłopców.

— Tak, ja to wiem, żeśmy teraz dla ciebie ciężarem, — wymówiła pokornie kobieta.

— Nie gadajże mi o ciężarach!—oburknął ją.— Com mówił, nie mówiłem w złej myśli. Przecież ja was kocham — i na tem koniec! Teraz chodzi tylko o to, dokąd? Gdyby przynajmniej nie było tego maleństwa, można byłoby czas jakiś znosić zmiany niepewnego losu. Ale tak — tyś chora— dziecko potrzebuje starania — koniec końcem nie pozostanie nam nic innego, jak kupić jakie chłopskie gospodarstwo i owe dwa tysiące talarów dać na zadatek. Hej, co to będzie za życie! Ja w pole z łopatą — ty do krów ze szkopkiem...

— To nie byłoby jeszcze najgorsze, — przemówiła kobieta z cicha.

— Nie?—zaśmiał się gorzko.—No, w takim razie może się spełnić twoje życzenie. Jest tu naprzykład Mussain do kupienia, to nędzne torfowisko za lasem.

— O, czemuż to właśnie?—wymówiła przejęta dreszczem.

On natychmiast rozmiłował się w swym pomyśle.

— Tak, to będzie dopiero prawdziwem wychyleniem do dna kielicha goryczy. Wiecznie mieć przed oczyma minioną świetność—bo wiedzieć ci trzeba, że dwór Helenenthalu widać tam doskonale z okien — do koła torfowiska i nieużytki, będzie coś z dwieście morgów—może się da co z tego spożytkować. Można będzie jeszcze wyjść na pioniera kultury. A co ludzie na to powiedzą? To mi człowiek co się zowie z tego Meyhöfera, będą mówili,—nie wstydzi się swego nieszczęścia, poniekąd nawet pogląda na nie z ironią. Ba, to prawda! Ironicznie zapatrywać się powinien człowiek na swą niedolę—to jedynie podniosły punkt poglądu na świat cały—gwizdać sobie, gdy ci najbardziej dolega! — i począł gwizdać głośno, przeraźliwie, tak że aż leżąca na łóżku kobieta zerwała się na posłaniu.

— Przepraszam cię, kochanko—prosił, nagle przechodząc w najbardziej różowe usposobienie i głaszcząc wychudłą jej rękę—ale czy ja nie mam słuszności?—Czyż nie należy gwizdać na to wszystko? Dopóki człowiek ma przekonanie o swej uczciwo-

ści może znosić zawody i nieszczęścia z pewną rozkoszą. Tak, rozkosz, to właściwe słowo. Ten kawał gruntu można nabyć któregokolwiek dnia, bo właściciel przez ożenienie dostał duże gospodarstwo i teraz dawną dziedzinę całkiem już zaniedbał.

— Ależ zastanów się pierwej, mój Maksie.— prosiła żona wylękła formalnie.

— Cóż tu pomogą namysły, — odpowiedział gwałtownie. Temu panu Douglasowi nie możemy przecież być ciężarem, do czegoś lepszego z nędznemi dwoma tysiącami talarów nie możemy rościć sobie prawa—dalej więc naprzód...

I nie tracąc nawet czasu na pożegnanie chorej kobiety, wybiegł z pokoju.

W kilka minut później posłyszała, jak jednokonny wózek jego mijał bramę dziedzińca.

Po południu tegoż samego dnia oznajmiono jej jakąś nieznaną wizytę. Piękna, wytworna kobieta eleganckim ekwipażem zajechała na dziedziniec i oznajmiła, że życzy sobie odwiedzić chorą dziedziczkę.

— Kto to taki?

— Nie chce wymienić swego nazwiska.

Jakież to dziwne!—pomyślała pani Elżbieta, ale że w swem zmartwieniu poczęła nieco wierzyć już w pomoc niebieską, więc przyjęła zamel dowaną wizytę.

Drzwi się otwarły. Wysmukła, wątło zbudowana postać niewieścia o delikatnych rysach twa-

rzy chwiejnym krokiem podeszła do jej łóżka. Odrazu bez ceremonii ujęła jej rękę i przemówiła cichym, stłumionym głosem.

— Zamilczałam moje nazwisko, kochana pani, bom się lękała, że mnie nie zechcesz przyjąć może, jeśli się dowiesz naprzód kim jestem. A i teraz najmilejby mi było pozostać nieznaną. Niestety, przypuszczać muszę, że już nie będziesz mogła spojrzeć się na mnie życzliwie, skoro ci wymienię moje nazwisko.

— Niema człowieka na ziemi, któregobym nienawidziła, odrzekła pani Elżbieta,—a cóż dopiero gdy chodzi o nazwisko.

— Nazywam się Helena Douglas, — wymówił gość zcicha, silniej uścisnąwszy rękę chorej.

Elżbiecie łzy się puściły, przybyła jednak, jak by była dawną przyjaciółką, otoczyła ramieniem jej szyję, ucałowała ją w czoło i wymówiła cichym swym, pieszczotliwym głosem:

— Nie miej pani do mnie żalu. Los chciał żebym ja ciebie z tego domu wyparła, alem ja temu nie winna. Mąż mój pragnął mi zrobić niespodziankę, bo nazwa tego majątku jest jednobrzmiącą z mojem imieniem. Cała radość moja prysła natychmiast, skoro się dowiedziałam w jakich go nabył warunkach, i ile pani w tych podwójnie dla siebie ciężkich czasach wycierpieć musiałaś. Wówczas ciągnęło mnie coś, żeby ulżyć memu sercu osobistą prożbą o przebaczenie mi tego zmartwienia i zgryzoty, którą pani sprawiłam i jeszcze

sprawiać będę musiała, boć czas ciężkiej próby jeszcze dla pani nie minął.

Pani Elżbieta mimowolnie jakoś pochyliła głowę na ramię nieznanej kobiety i płakała w milczeniu.

— A może i przydam się pani na co, mówiła tamta dalej, tem chociaż przynajmniej, że zdejmę pani z serca nieco goryczy. My kobiety lepiej się jakoś umiemy porozumieć niż gwałtowni, surowi mężczyźni. Wspólne cierpienia ciążące na nas wszystkich czynią nas sobie wzajem bliższemi. A przedewszystkiem jedno: mówiłam już z moim mężem i proszę panią w mojem i jego imieniu, dom ten tak długo uważać za swoją własność, jak długo ci się tylko będzie podobać. My zimę po największej części spędzamy w mieście a oprócz tego mamy jeszcze drugi majątek, w którym mamy zamiar osadzić rządcę. Widzisz więc pani, że nam najmniejszej nie sprawicie różnicy a co najwyżej wyświadczycie przysługę, jeśli pozostaniecie tu z pół roku jeszcze przynajmniej lub i dłużej i nieco zechcecie doglądać tego gospodarstwa jak dotąd doglądaliście.

Pani Elżbieta nie dziękowała, ale spojrzenie, które z po za łez podniosło się na nieznajomą, było dostateczną dla niej podzięką.

— A teraz bądźmy napowrót wesołe, kochana moja pani, — mówił gość dalej, — i jeśli kiedy w przyszłości potrzeba ci będzie rady, pomyśl zawsze, że jest tu ktoś, który niejedną ma wzglę-

dem ciebie do zmazania winę. A cóż to zaś liczne dzięciątko — zwróciła się do kołyski — chłopiec czy dziewczyna?

— Chłopiec,—odparła pani Elżbieta z słabym uśmiechem.

— A czy zastał on już rodzeństwo na świecie? Ale po co ja się pytam! Ci dwaj figlarni chłopcy na dziedzińcu, który mnie przywitali u stopni powozu,—czy mogłabym bliższą zawrzeć z niemi znajomość?—Nie, nie tutaj,—broniła się pośpiesznie,—mogłoby pani jeszcze zaszkodzić. Później! później! — Przedewszystkiem zajmuje mnie ten mały obywatel.

Pochyliła się nad kołyską i odsunęła nieco kołderkę.

— Jakąż on już przybiera rozumną minkę, jak stary,—mówiła żartując.

— Bo troska stanęła u jego kołyski, — odparła pani Elżbieta zcicha i smutnie, — dla tego twarz jego stara przedwcześnie.

— O, tylko nie trzeba być przesądną, droga pani,—odrzucił gość. Słyszałam niejednokrotnie, że nowonarodzone dzieci często bardzo przychodzą na świat z twarzą przypominającą twarz starców. Ale to mija szybko.

— I pani zapewne masz dzieci? — pytała pani Elżbieta.

— Ah, ze mnie taka jeszcze niedawna mężatka! — odparła przybyła i mówiąc to zarumieniła

się mocno — zaledwie pół roku minęło od mego ślubu.—Ale... i gorętszy jeszcze rumieniec oblał jej twarz delikatną.

— Niechaj Bóg pani dopomoże w ciężkiej godzinie, — mówiła Elżbieta, — ja modlić się będę za panią.

Oko gościa zwilżyło się łzami.

— Dzięki, tysiączne dzięki,—mówiła. I bądźmy sobie odtąd przyjaciółkami! Proszę panią o to z całego serca! — Wie pani co? Weź mnie pani za chrzestną matkę dla najmłodszego swego dziecka i oddaj mi też samą serdeczną przysługę, gdy mi Bóg pobłogosławi...

Obie kobiety uścisnęły się w milczeniu za ręce. Związek przyjaźni został między niemi zawarty.

. . . . . .

Kiedy gość ją opuścił, pani Elżbieta smutnym, trwożnym wzrokiem popatrzała dokoła.

— Przed chwilą jeszcze tak było jasno, tak słonecznie tutaj,—szepnęła, — a teraz znowu tak ciemno.

Po niejakiej chwili wbiegli obaj starsi malce mimo protestów dozorczyni, z głośną radosną wrzawą do pokoju chorej. Każdy z nich trzymał torebkę cukierków w ręku.

— To nam dała ta nieznajoma pani, — wołali z uciechą. Pani Elżbieta uśmiechnęła się.

— Cicho, dzieci, — rzekła — anioł był u nas.

Obaj chłopcy spojrzeli na matkę strwożonemi oczyma i spytali:

— Jakto, mamo, to był anioł?

II.

Tym sposobem pani Douglas została chrzestną matką Pawełka.

Wprawdzie Meyhöfer irytował się niemało na tę nową przyjaźń, bo „mnie nie jest potrzebną litość szczęśliwych“ zwykł był mawiać, ale skoro łagodna, ujmująca kobieta po raz drugi pojawiła się we dworze dawnej jego wioski i przemówiła do niego serdecznie, nie śmiał już protestować i bronić żonie tych stosunków.

Zgodził się nawet na pozostanie w dawnej siedzibie — wprawdzie z wyraźną niechęcią — ale zgodził. Gospodarstwo Mussainy, które w rzeczy samej tegoż samego dnia jeszcze nabył, było w tak opłakanym stanie, że pobyt tamże przez ciąg chłodnych dni jesiennych mógł się stać niebezpiecznym dla żony i dziecka. Przedewszystkiem należało porobić konieczne naprawy, należało sprowadzić cieślę, murarza i zduna, zanim można będzie pomyśleć o przeprowadzeniu się.

Niemniej przeto, pani Elżbieta widziała się zmuszoną, dzięki uporowi męża, na długo jeszcze przed wykończeniem tych reparacyj przenieść się do nowego mieszkania. Kiedy bowiem pewnego dnia przybył ekonom nowego dziedzica z pewną

liczbą robotników i w jego imieniu najpokorniej prosił o pomieszczenie, Meyhöfer oświadczył, że ten postępek uważa za osobiście wyrządzoną sobie zniewagę i postanowił, iż ani jednego dnia dłużej nie pozostanie na tej ziemi, która była niegdyś jego własnością.

Dzień był chłodny, listopadowy, kiedy pani Elżbieta pożegnała na zawsze ukochany dom stary. Drobniutki deszczyk padał, przenikając do kości. W szare mgły otulony leżało przed nią pole szerokie.

Z najmłodszą dzieciną u piersi, z dwojgiem starszych, spłakanych, co się czepiały jej kolan, wsiadła do wózka, który ją powieść miał w nowe, niestety tak ponure życie.

Kiedy wyjechali z dziedzińca a zimny wicher począł deszczem smagać ich twarze, wtedy i malec, który dotąd leżał spokojnie, począł płakać żałośnie. Otuliła go mocniej swym płaszczem i pochyliła się więcej jeszcze nad drobnem drżącem ciałkiem, aby ukryć łzy, co bezprzestannie spływały jej po twarzy.

Po półgodzinnej jeździe drożyną polną, gliniastą, rozmiękłą, pełną wyboi, stanął wózek u celu. Omal nie krzyknęła głośno, zobaczywszy nową siedzibę w całem jej opustoszeniu — zapadłą, zrujnowaną.

Długie z gliny i chrustu sklecone gospodarskie budynki—błotniste podwórko, pełne kałuż—niziutki, gontami kryty domek mieszkalny, z któ

rego ścian miejscami tynk poodpadał, odsłaniając nagie mury—zdziczały ogród, w którym ostatnie smutne resztki lata: astry i słoneczniki obok wpół zwiędłych warzyw się rozrastały, dokoła jaskrawo pomalowany parkan, któremu w przededniu rozpadnięcia się, dano, jak się zdawało, nową olejną sukienkę—oto było miejsce, w którem odtąd żyć miała rodzina zbankrutowanego dziedzica.

To była miejscowość, w której wyrósł mały Pawełek, z którą związać go miała miłość dni dziecięcych i troska całej życia połowy.

W pierwszych latach dzieciństwa było to delikatne, wątłe stworzenie i niejednej nocy matka drżała z obawy u łóżeczka, by słabe światełko życia jego nie zagasło, zanim zejdzie słońce poranka. Wtedy siadała w ponurej niskiej sypialni z łokciami wspartemi o krawędź jego łóżeczka i płonącemi, suchemi oczyma wpatrywała się w wychudłe ciałko, wstrząsane konwulsyjnemi drganiami.

Przeszedł jednak wszystkie te kryzysy pierwszego dzieciństwa i z piątym rokiem życia był już zdrowym chłopcem a choć był jeszcze wątłym, nierozrosłym o bladej, zwiędłej twarzyczce, na której pozostał pierwotny wyraz starości—zawsze jednak można już było mieć nadzieję, że się wychowa.

Na owe czasy przypadają pierwsze jego dziecięce wspomnienia.

Pierwsze, które w późniejszych latach często przychodziło mu na pamięć; było następne:

W pokoju panuje półzmrok. Na szybach widać kwiaty mrozu, przez które wpada czerwonawe światło zachodu, kładąc się smugami na firankach. Starsi bracia poszli na ślizgawkę, ale on leży już w łóżeczku, bo musi kłaść się spać wcześnie a przy nim siedzi matka, jedną ręką otaczając jego szyję, drugą wspierając na krawędzi kołyski, gdzie leżą obie małe siostrzyczki, które bocian przyniósł przed rokiem, razem jednego dnia obie.

— Mamo, opowiedz mi jaką bajkę,—prosi.

I matka opowiada. Co?—tego nie może już sobie przypomnieć całkiem dokładnie, tyle pamięta tylko, że była tam mowa o jakiejś posiwiałej kobiecie w szarych sukniach, która odwiedzała matkę we wszystkich smutnych bolesnych chwilach życia, kobiecie o bladej, wychudłej twarzy i ciemnych oczach zapłakanych. Przychodziła jak cień i jak cień znikała, wyciągnąwszy ręce nad głową matki — nie wiadomo czy to błogosławiąc, czy przeklinając może i mówiła przytem zawsze rozmaite rzeczy, które i do niego—Pawełka—się odnosiły. Była tam mowa o jakiejś ofierze i jakiemś odkupieniu, ale słów tych zapomniał, prawdopodobnie dla tego, że był za głupim jeszcze, by je módz zrozumieć. Jedną rzecz tylko pamiętał dokładnie: podczas gdy tak słuchał opowiadania, nie śmiejąc odetchnąć niemal, przejęty jakąś za

bobonną trwogą, nagle zobaczył ową szarą postać, o której mówiła matka, żywą, wcieloną, jak stanęła we drzwiach sypialni—całkiem tak samo z podniesionemi w górę rękoma, z twarzą bladą i smutną. Ukrył twarz na ramieniu matki—serce biło mu silnie, czuł że mu oddech zapiera w piersiach i w śmiertelnej trwodze krzyknąć aż musiał:

— Mamo, to ona, to ona!

— Kto? Kuma Troska? — spytała matka.

On nic nie odpowiedział, tylko począł płakać.

— Gdzie? — pytała matka dalej.

— Tam we drzwiach, — odpowiedział, podnosząc się i oburącz chwytając matkę za szyję, bo bał się okropnie.

— O, ty mały głuptąsku,—mówiła matka. Toć to długi ojca płaszcz podróżny.

I przynosiła mu płaszcz, kazała dotykać jego wierzchu i podszewki, aby przekonać się dowodnie a on poddawał się ulegle, w głębi duszy jednak przekonany tem mocniej, że własnemi oczyma widział szarą kobietę. I w dodatku wiedział już odtąd jak się ona nazywa.

„Kumą Troską“ nazywała ją matka.

Ale matka zamyśliła się czegoś i mimo próźb gorących, nie chciała już dokończyć rozpoczętej bajki. A i w późniejszych czasach nie dokończyła jej nigdy, choć ją nieraz błagał o to tak usilnie.

O ojcu z tych lat pozostało mu niejasne tylko wspomnienie. W dziecięcej jego wyobraźni rysowała się postać mężczyzny w wysokich, palonych butach, który łajał zawsze matkę a braci chłostał, na niego zaś nie zwracał nigdy najmniejszej uwagi. Od czasu do czasu tylko przypominał sobie, że padało nań złe spojrzenie, które mu nic dobrego nie wróżyło. Czasami, zwłaszcza kiedy powracał z miasta, twarz jego była mocno zaczerwienioną jak zbytnio przepalony kocioł a kroki zataczały się nierówno po deskach podłogi. Wówczas zawsze taż sama odgrywała się scena.

Naprzód pieścił oba bliźniątka, które szczególnemi cieszyły się jego względami i huśtał je na ręku, kiedy tymczasem matka stała tuż przy nim, trwożnem okiem śledząc każde jego poruszenie; potem zasiadał do jedzenia, porozrzucał nieco widelcem potrawy po półmiskach i odsuwał je zaraz na stronę, nazywając to „żarcie“ nędznem i niesmacznem, czasami smagnął Maksa lub Godfryda szpicrutą po plecach, gniewał się na matkę a w końcu wychodził zawsze wszcząć gdzie jaką z parobkami kłótnię. Zdala już wówczas rozlegał się głos jego donośnie po podwórzu, tak że nawet Karo na łańcuchu brał ogon między nogi i wsuwał się w najciemniejszy kąt swej budy. Kiedy po dobrej chwili powrócił do pokoju, usposobienie jego niemal zawsze ulegało już zmianie—z gniewu przechodził do rozpaczy. Łamał ręce, skarżył

Instytutu Wydawniczego
Nr. 5026

się na nędzę, w której tu tkwić musi i mówił do siebie głośno o różnego rodzaju wielkich planach, które zamierza przeprowadzić i przeprowadziłby najniezawodniej, gdyby mu to, lubowo nie stanęło było na przeszkodzie i gdyby nie to, że ziemia i niebo sprzysięgły się na jego zgubę. Potem podchodził do okna i pięścią groził coś białemu dworowi, co zdala poglądał w ich okna tak jakoś przyjaźnie.

— Tak, ten dwór biały!

Ojciec mu wymyślał, marszczył zawsze brwi, ilekroć wzrok jego pobiegł w tym kierunku a on tak go lubił, jak gdyby jakaś cząstka duszy jego w nim pozostała. Czemu? Sam tego nie wiedział. Może dla tego tylko, że matka tak go lubiła bardzo. I ona również często stawała u okna i poglądała na ten dwór biały, ale ona brwi nie marszczyła wówczas, o, nie!—twarz jej łagodniała wtedy właśnie, smutniała nieco a z jej oczu padały promienie takiej tęsknoty rzewnej, że jemu, który nieraz stał obok matki, gorący dreszcz przebiegał po plecach.

Bo i jego maleńkie serduszko taż sama przepełniała tęsknota. Toć ten dom jak długo mógł zapamiętać tylko, był dlań wcieleniem wszystkiego co piękne i wspaniałe! Wszakże ilekroć przymknął powieki, stawał mu przed oczyma, ba, nawet we snach dziecka zabierał poczestne miejsce!

— Czy byłaś ty kiedy, mateczko, w tym białym domu?—spytał pewnego dnia matkę, kiedy

już dłużej nie mógł pohamować swej ciekawości w tej mierze.

— O, tak, mój synu,—odpowiedziała a głos jej brzmiał smutnie i niepewnie.

— Czy często tam bywałaś, mamo?

— Bardzo często, mój chłopcze. Twoi rodzice niegdyś tam mieszkali i ty tam na świat przyszedłeś.

Od owego dnia „biały dom“ stał się dlań tem, czem dla ludzkości raj utracony.

— A kto mieszka teraz w tym białym domu?— pytał innym znów razem.

— Piękna, uprzejma pani, która kocha wszystkich bez wyjątku, ciebie osobliwą otacza miłością, bo jesteś jej chrzestnym synem.

Zdało mu się w tej chwili, że jakieś nieprzebrane źródło szczęścia spływa z tą wiadomością na jego głowę. Tak był wzruszony, że drżał cały.

— Dla czegóż więc nie pojedziemy kiedy do tej pięknej, dobrej pani?—spytał po chwili.

-- Ojciec sobie tego nie życzy,—odpowiedziała, a głos jej zabrzmiał oddźwiękiem dziwnie ostrym, który zwrócił jego uwagę.

Nie pytał już dalej, bo wola ojca była tu prawem, którego przyczyn nikt badać nie mógł, od tego dnia jednak tajemnica białego domu nawiązała nowy węzeł sympatyi między matką a synem. Jawnie nie wolno było mówić o poblizkim dworze. Ojciec wpadał w wściekłość, skoro tylko bodaj jednem słówkiem wspomniano o jego istnie-

niu a i bracia nawet z nim, młodszym znacznie, niechętnie o tem mówili; prawdopodobnie obawiali się, że w swej głupocie mógłby później powtórzyć ich rozmowę. Ale matka mu ufała!

Ilekroć byli sami we dwoje—a w porze godzin szkolnych byli prawie zawsze sami—wtedy otwierały się ich usta a z ustami serce, i biały dom zawsze w jej opowiadaniach odgrywał rolę, coraz wyraźniej, coraz jaśniej występując przed jego oczyma. Niezadługo znał już każdy pokój białego dworu, każdą altanę ogrodu, taras z szklannemi kulami błyszczącą otoczony zielenią bukszpanu, a przed niemi kompas na tarasie; pomyśleć, taki zegar, na którym słońce samo wskazuje godziny. Jakiż to cud!

Mógłby z zamkniętemi oczyma chodzić po Helenenthalu i nie zabłąkałby się z pewnością.

A kiedy bawił się klockami, budował sobie zawsze biały dom z tarasami i kompasem i to nie jeden, po tuzinie naraz! — kopał w piasku sadzawki i przytwierdzał kamyki na palikach, które miały naśladować szklanne kule. Tylko że nie chciały, jak tamte, odbijać widoków.

III.

W tym czasie postanowił sobie złożyć wizytę białemu dworowi; na własną rękę. Odkładał ją na wiosnę, ale kiedy wiosna nadeszła, nie zdobył się na tyle odwagi. Więc odłożył znowu do lata

ale i wówczas zaszły różnego rodzaju przeszkody, niedopuszczające wykonania powziętego planu. Raz zobaczył wielkiego psa, który sam włóczył się po łące—któż zaręczy, czy to nie jest pies wściekły?—drugim razem znowu biegł ku niemu byk ze spuszczonemi rogami.

— Tak, kiedy już będę dużym jak bracia,—pocieszał się, — i skoro już będę chodzić do szkoły, zabiję wściekłego psa i byka pochwycę za rogi, aby mi nie mógł zrobić nic złego!

I odkładał znowu plan swój na rok następny, bo wtedy już miał zacząć chodzić do szkoły, całkiem tak jak starsi bracia „dorośli".

Ci „dorośli" bracia byli zawsze przedmiotem jego zachwytu. Być takim jak oni—wydawało mu się kresem ludzkich pragnień. Jeździć na koniu, na prawdziwym, wielkim, nie na drewnianym, ślizgać się na łyżwach, pływać całkiem bez pasa i bez pęcherzy i nosić koszule z gorsami, białemi, krochmalnemi—ah! gdyby to on mógł!

Ale na to wszystko pierwej trzeba być dużym, pocieszał się w myśli. I wszystkie te myśli taił w sobie, matce za nic nie powtórzyłby ich nigdy, ani braciom — o, ci bardzo mało w ogóle nim się zajmowali. On był takim smarkaczem w ich oczach, a ilekroć matka zadecydowała, że go mają zabrać gdzie z sobą, robili to zawsze wielce niechętnie, bo trzeba było dawać wtedy na niego baczenie i dla jego głupoty wyrzec się najpiękniejszych figlów. Pawełek czuł to dobrze i aby

uniknąć ich min nadąsanych i gorszych nad miny szturchańców, najczęściej mówił, że woli w domu pozostać, choć nieraz szczery żal ściskał mu serce. Wtedy siadał sobie na rączce pompy i huśtając się na niej marzył o tych czasach, kiedy i on będzie czynił wszystko to, co dziś wolno braciom, kiedy im we wszystkiem dorówna.

I w nauce. A to nie drobnostka, obaj bowiem, tak Maks jak Godfryd pierwszymi byli w swych klasach, a na święta przynosili zawsze piękne świadectwa szkolne. Jakie to były świadectwa, można już wnieść z tego, że od ojca dostawali za nie po srebrnym trojaku, od matki zaś przynosili ze spiżarni miodu.

W taki dzień radosny słyszał jak mawiał nieraz ojciec:

— Ah, gdybym mógł tak obu starszych posłać do dobrej szkoły, mogliby jeszcze wyjść na ludzi, bo oni odziedziczyli po mnie otwartą głowę, ale ponieważ sami żebrakami jesteśmy, nie wychowamy ich też na nic innego, jak na żebraków...

Pawełek bardzo się nad tem zastanowił, boć on już wiedział, że Maks będzie feldmarszałkiem a Godfryd urodził się na feldcejgmajstra. Raz bowiem zabłąkał się do Mussainu kolorowany arkusz z wizerunkami austryackiej armii i tegoż samego dnia obaj bracia podzielili między siebie zgodnie dwa największe dostojeństwa generalicyi, kiedy tymczasem jemu, jako młodszemu, został przyznanym stopień podporucznika. Od owego

czasu wszakże nadeszła już była wprawdzie epoka, w której jeden poczuł w sobie powołanie na trapera, drugi na przywódzcę dzikich indyan; myśli Pawełka jednak pozostały zawsze przy złotem haftowanym mundurze, wobec którego drewniane lance i podarte, połamane sandały, które bracia nosili przy zabawie — nie mogły wytrzymać porównania. Po co znów potem zachciało się jednemu z nich być superintendentem a drugiemu przyrodnikiem—tego nie mógł zrozumieć — złotem haftowane mundury były przecież bądź co bądź najlepsze.

W tymże czasie bliźnięta poczęły się uczyć chodzić. Kasia, starsza — przyszła bowiem o trzy kwadranse wcześniej na świat, — pierwsza też rozpoczęła próby chodzenia a we trzy dni później poszła za jej przykładem Gosia.

Był to fakt wysokiej doniosłości w życiu Pawełka. Nagle znalazł się w kole obowiązków, których nie tak prędko już miał się pozbyć.

Nikt mu nie polecił czuwać nad pierwszemi sióstr krokami, ale tak samo jak to wydawało mu się naturalnem, że co wieczór czyścił własne i starszych braci obówie, że ubranie składał starannie i kładł przy głowach łóżeczka, że nigdy nie splamił obrusa i że otrzymywać musiał od ojca pamiątkę, jeśli się to nieszczęście któremu z braci przydarzyło,—tak samo naturalnem wydało mu się, że odtąd powinien zajmować się siostrami

i z troską dorosłego czuwać nad ich próbami chodzenia.

Wydawał się sobie tak wielce ważną w tym urzędzie osobą, że nawet tęsknota za szkołą znacznie jakoś w nim osłabła i gdyby tylko jeszcze mógł gwizdać, miara jego pragnień byłaby już dopełnioną.

Ah, tak, módz gwizdać jak Jan, parobek, albo choćby tak tylko jak starsi bracia, był to szczyt jego marzeń, przedmiot bezprzestannych studyów! Ale choć niewiedzieć jak ściskał usta, choć bez przerwy wilżył wargi, aby je uczynić podatniejszemi, nie mógł wydobyć z nich ani jednego tonu. Wciągając powietrze, udawało mu się czasem jako tako, raz nawet zdołał wygwizdać pierwsze cztery nuty jakiejś piosenki, ale każdy co gwizda, umiejętnie, wie, że powietrze trzeba z ust wydychać, a on tego właśnie nie mógł się nauczyć...

I tutaj pocieszał się tak samo myślą:

— Jak tylko urosnę!

Gwiazdka owego roku przyniosła z sobą wieści radosne. Od „kochanej ciocci“ z miasta, siostry jego matki, nadeszła paka z wszelkiego rodzaju ślicznemi i pożytecznemi rzeczami; były tam książki i bielizna dla starszych braci, sukienki dla sióstr a dla niego aksamitna kurteczka, prawdziwa aksamitna kurtka z huzarskiem szamerowaniem i wielkiemi świecącemi guzikami. Co to była za radość! Najpiękniejszy dar jednak był w liście, który matka czytała ze łzami wzru-

szenia i radości. Poczciwa ciotka pisała, że z ostatniego listu „Elżbiety“ dowiedziała się, jak gorącem jej męża życzeniem było dać starszym chłopcom wyższe wykształcenie i że skutkiem tego zdecydowała się wziąć ich do swego domu i własnym kosztem przeprowadzić obu przez całe gimnazyum. Bracia wydawali radosne okrzyki, matka płakała, ojciec biegał dokoła pokoju, rozrzucał sobie ręką włosy i mruczał coś wzruszony.

On tymczasem siedział cichuteńko na łóżeczku sióstr i cieszył się w głębi duszy.

W tem podeszła matka do niego, ukryła twarz w jego włosach i powiedziała:

— Czy i ciebie kiedy spotka takie szczęście, mój chłopcze?

— Ach, ten!—rzucił ojciec pogardliwie,—toć on niema ani za grosz zdolności.

— On jeszcze taki młody—broniła matka, głaszcząc go po twarzy a potem włożyła mu śliczną aksamitną kurtkę i wolno mu w niej było pozostać już do wieczora, bo to było święto. A i bracia podeszli do niego i pieścili kolejno, po części dla tego, że ich serca przepełniała radość, po części też dla strojnego aksamitnego ubrania. Tak dobrymi nie byli dla niego nigdy jeszcze.

Tak, to było Boże Narodzenie!

A gdy nadeszła wiosna, zabrano się do wielkiego szycia wyprawy. Pawełkowi wolno było dopomagać w przykrawaniu, trzymać łokieć i poda-

wać nożyczki a bliźniątka przewracały się po podłodze w stosach białego płótna.

Bracia otrzymali prawdziwie książęcą wyprawę. O niczem nie zapomniano. Dostali nawet krawaty, które im matka wycięła ze swojej jedwabnej mantyli.

Starsi bracia w tych czasach byli niezmiernie dumni. Udawali już dorosłych panów, każdy na swój własny sposób. Maks kręcił papierosy, zapożyczając ojcowskiego knastru, a Godfryd wkładał na nos okulary, które w szkole otrzymał wzamian za sześć guzików.

— Podobam ci się, co? — pytał, przechadzając się poważnym krokiem przed Pawełkiem tam i napowrót, a że zawsze na to pytanie „Tak“ odpowiadał, bywał wycałowany, gdyby był „nie“ odpowiedział, niezawodnie byłby dostał porządnego „byka“.

Zaraz po Wielkanocy odjechali obaj bracia. Ileż to było łez w domu!... Kiedy jednak wózek wyjechał po za wrota domu, matka przycisnęła twarz oblaną łzami do dziecięcej twarzy Pawełka i szepnęła:

— Długo byłeś zaniedbywanym, biedna moja dziecino, ale teraz znów jesteśmy sami we dwoje, jak dawniej.

— Mamo, buzi! — zawołała Kasia, wyciągając rączęta a druga siostrzyczka poszła za jej przykładem.

— Tak i wy jeszcze jesteście! — przemówiła matka i jasny promień słoneczny rozświecił twarz jej bladą.

A potem wzięła każdą z nich na jedną rękę, podeszła z niemi do okna i długo patrzała w stronę białego domu.

Pawełek wychylił głowę z fałdów jej sukni i również posłał wzrok w tę stronę.

Matka popatrzała na niego i kiedy wzrok jej spotkał się z jego rozumnem, nad wiek starem spojrzeniem, zarumieniła się nieco i uśmiechnęła. Ale żadne z nich nie wyrzekło ani słowa.

Ojciec, powróciwszy z miasta, zażądał, aby Pawełek rozpoczął chodzić do szkoły.

Matka posmutniała bardzo i prosiła, żeby jej go jeszcze przynajmniej na pół roku pozostawił, by się odtęsknić mogła po dwu starszych; przyrzekała, że sama uczyć go będzie i posunie dalej w naukach, niżby to uczynił nauczyciel. Ale ojciec ani słuchać o tem nie chciał, gderał i nazywał ją „beksą“.

Pawełka przejął strach niepomierny: Tęsknota za szkołą, której doznawał dawniej zawsze, teraz gdzieś znikła zupełnie; bo też co prawda nie było tam już dzieci, którym pragnął dorównać.

Nazajutrz wziął go ojciec za rękę i poprowadził do wsi, której pierwsze domy oddalone były od gospodarstwa Meyhöfera o jakie tysiąc kroków może.

Zawszeć to porządny już kawał drogi dla ta kiego jak on malca.

Ale Pawełek trzymał się dzielnie. Tak się oba wiał plag ojcowskich, że byłby maszerował odważnie bodaj na koniec świata.

Szkoła była niskim budynkiem słomą krytym, nie o wiele różna od reszty chat chłopskich, przed nią jednak stały jakieś pale, słupy, drabiny i rusztowania wszelkiego rodzaju.

— Tutaj wieszają próżniaków, — objaśnił go ojciec.

Strach Pawełka wzrósł jeszcze więcej, kiedy je dnak nauczyciel, dobrotliwy staruszek z siwą rzadką brodą, w wytłuszczonej kurtce, wziął go na kolana i pokazał mu ładną książeczkę z kolorowanemi obrazkami, uspokoił się nieco; tylko te liczne, całkiem obce twarze, co mu się przyglądały z ławek, nie wróżyły mu jakoś nic do brego.

Przeznaczono mu ostatnie miejsce i przez całe dwie godziny musiał pisać proste kreski na tabliczce.

W czasie pauzy przyszli do niego starsi chłop cy i poczęli go pytać o śniadanie, skoro zaś zoba czyli, że ma chleb z kiszką, zabrali mu go bez ceremonii. Nie zaprotestował bynajmniej, zdawało mu się bowiem, że tak być musi. Kiedy potem powracano do domu, obili go porządnie. Sądził, że to również jest nieodbitą koniecznością, bez której obejść się nie może, ale kiedy już miał po

za sobą domy wioski i szedł sam łąką oblaną potokami słońca, począł płakać rzewnie. Rzucił się pod krzakiem jałowcu na ziemię i poglądał w górę, w błękitne niebo, po którem przelatywały jak strzała szybkie jaskółki.

— Ah! czemuż ty nie możesz tak wzlecieć w powietrze!—myślał;—wtem przyszedł mu na myśl dwór biały.

Podniósł się i począł go szukać oczyma. Niby zamek zaczarowany, o którym opowiadała mu matka w swych baśniach, poglądał ku niemu jasny, promienny. Okna połyskiwały jak karbunkuły a klomby drzew wałem zieleni otaczały go dokoła, niby owym cierniowym żywopłotem w baśni.

Do jego bólu dołączało się uczucie dumnej samowiedzy:

— Teraz już jesteś duży,—mówił sobie, bo chodzisz do szkoły. A gdybyś zechciał puścić się na wędrówkę, nikt ci tego wzbronić nie może.

I znowu przejęła go trwoga. A zły byk, a pies wściekły—któż zaręczy, że ich nie spotkasz?... Postanowił sobie namyślić się nad tą sprawą do niedzieli.

Biały dom przecież nie dawał mu już odtąd spokoju. Ilekroć tylko szedł przez pole, zadawał sobie pytanie, co właściwie gorszego jest na tamtej drodze niż na tej, która prowadzi do szkoły. Prawda, że trakt główny szedł przez las sosnowy a w takich lasach przebywają karzełki wszelkie

go rodzaju i czarownice, a i wilki nawet nierzadko się tam pojawiają, jak to wyraźnie jest opisane w bajce o „czerwonej czapeczce“, gdyby jednak okrążył las i poszedł wprost przez łąki, wtedy nie straciłby z oczu ojcowskiego domu i mógłby być pewien, że trafi doń z powrotem.

Ta wędrówka wydawała mu się poniekąd honorowym obowiązkiem, który należało mu wykonać teraz, kiedy już jest „dużym“, a ilekroć znów budziła się w nim obawa, sam siebie nazywał tchórzem. Wyraz ten w szkole uchodził za największą obelgę.

Kiedy nadeszła niedziela, zdecydowany był odważyć się na tę wyprawę. Wyśliznął się po za płot, jak mógł tylko szybko przebiegł przez ojcowską łąkę, zdążając w kierunku białego dworu.

Na drodze był płot, przez który z niewielkim trudem przedostać się musiał — a potem kawałek czyjegoś wrzosowiska, na którem nie był nigdy jeszcze. Wrzos połyskał w promieniach słońca, uwiędły oset szeleścił pod jego nogami, ciepły wiatr go owionął. I tu więc nic niebezpiecznego. Próbował gwizdać, ale zawsze musiał jeszcze wciągać powietrze, aby ton wydać. Zawstydził się swej nieumiejętności, a w ślad za tem poszło onieśmielenie.

Teraz nadeszło z kolei błotne torfowisko, będące znowu własnością jego ojca. Często była o niem w domu mowa, ojciec bowiem nosił się z myślą kopania tam torfu, zamierzał jednak rzecz tę

UJK Biblioteka Uniwersytecka

rozpocząć na wielką skalę, a do tego brak mu było funduszów.

Pawełek zapadł się w rozmiękłym gruncie po kostki i teraz dopiero przyszło mu na myśl, że mógłby powalać sobie może nowe buty.

Zląkł się, bo przypomniał sobie słowa matki: „Oszczędzaj ich bardzo, mój synku, bo ja ci je sama kupiłam z zebranych za mleko pieniędzy“. I nową aksamitną kurteczkę miał na sobie również, bo to była niedziela. Spojrzał po jedwabnych sznurach szamerowania i zawahał się na chwilę, niepewny, czyby nie lepiej było zawrócić, nie ze względu na aksamitne ubranko, nie, ale dla tego, by matki nie zasmucić.

— Może jednak uda mi się wyjść jakoś cało,— tak się pocieszał i począł biedz dalej. Grunt uginał się pod jego nogami a za każdym krokiem rozlegał się z pod stopy jakiś plusk dziwny, jak przy robieniu masła gdy tłok wyciągają z maślnicy.

Dalej znów przyszedł nad kałużę czarną, której brzegi porastały drobnemi białemi kwiatkami a na powierzchni połyskiwały jak grynszpan płaty żelazistego osadu. Obszedł ją ostrożnie dokoła, wpadł wprawdzie znowu głębiej w trzęsawisko, nakoniec jednak wydostał się na suche miejsce. Buty były coprawda w opłakanym stanie, ale może da się je jako nieznacznie umyć pod pompą.

Szedł dalej. Odeszła go ochota do gwizdania, a im bardziej z gęstwiny drzew występował dwór biały, tem jakoś ciężej było mu na sercu. Już mógł rozróżnić rodzaj wału, który otaczał drzewa a po przez szparę w liściach drzew zobaczył długi, niski budynek, którego zdala nie zauważył był nigdy. Za nim drugi a obok w czarnej jakiejś jaskini wysoki płomień, co gzygzakami wił się to na jedną to na drugą stronę. To musiała być zapewne kuźnia—ale czyżby tu i w niedzielę w niej pracowano?

Niewytłomaczona ochota do płaczu napadła go i kiedy na oślep biegł już naprzód, wywołując gwałtem odwagę, łzy rzęsiste biegły mu z oczu.

Nagle zobaczył szeroki rów przed sobą, napełniony wodą po brzegi. Wiedział dobrze, że nie przejdzie przez niego, ale wziął na kieł i rozpędził się, by go przesadzić, a w następnej już zaraz chwili gęste czarne wody zawarły się nad nim.

Przemokły do kości, okryty powłoką błota i wodnych porostów, wydostał się na wierzch.

Usiłował wysuszyć sobie ubranie, siadł na trawie i poglądał jak w obraz w dwór biały. Teraz już stracił całkowicie odwagę, ogarnęło go głębokie zniechęcenie a kiedy mu zimno zbyt już dokuczać poczęło, zwólna powlókł się smutny do domu.

IV.

Lato, które tego roku nadeszło, przyniosło z sobą domowi Meyhöferów same tylko zmartwienia i kłopoty. Dawniejszy właściciel wypowiedział sumę swoją pozostawioną na hypotece, a nie było najmniejszych widoków, aby kto zechciał pożyczyć potrzebnych na pokrycie tej pretensyi pieniędzy.

Meyhöfer co tygodnia jeździł po trzy i cztery razy do miasta i powracał pijany późnym już wieczorem. Czasami i na noc nie wracał.

Pani Elżbieta w takie noce siedziała na posłaniu, nieruchomym wzrokiem patrząc w ciemności. Pawełek budził się często, ilekroć posłyszał tylko jej stłumione łkanie. Wtedy przez chwilkę leżał cichutko, przyczajony w swem łóżeczku, bo nie chciał, aby matka spostrzegła, że nie śpi, w końcu jednak i on płakać zaczynał.

Wówczas przestawała płakać matka a kiedy on się nie chciał jakoś uspokoić, wstawała, całowała go, głaskała jego twarzyczkę, lub mówiła:

— Chodź do mnie, mój chłopcze.

Wyskakiwał coprędzej z swej pościeli, wsuwał się do matczynego łóżka i uwieszony na jej szyi zasypiał niebawem napowrót.

Ojciec bił go często. Rzadko bardzo wiedział za co, ale przyjmował plagi, jak coś zupełnie naturalnego, wynikającego z porządku rzeczy.

Pewnego dnia słyszał jak ojciec gniewał się na matkę.

— Nie płaczże, ty bekso — mówił. — Tyś prawdziwie na to tylko na świecie, abyś powiększała moją niedolę.

— Ależ, Maksie — odpowiedziała zcicha — czyliż chciałbyś zabronić twoim, aby wraz z tobą boleli nad dotykającem cię nieszczęściem, żeby ci pomagali je dźwigać? Czyż nie powinniśmy właśnie tem silniej, solidarniej trzymać z sobą, im nam gorzej jest i ciężej?

Wówczas zmiękł, nazwał ją poczciwą, dzielną kobietą a sam sobie wymyślał okropnie.

Pani Elżbieta starała się go uspokoić, prosiła, aby miał do niej trochę ufności i był odważnym.

— A tak, odważnym — odważnym! — krzyknął, napowrót w gniew wpadając. — Dobrze wam kobietom rezonować; siedzicie sobie spokojnie w domu i pokornie wyciągacie fartuszek, czekając czy wam w niego szczęście czy nieszczęście wpadnie, co tam łaskawe nieba dadzą: ale my, mężczyźni, musimy iść w świat, we wrogie życie, musimy walczyć, przebijać się i porać z Bóg wie jaką hołotą. Dajcie mi pokój z waszemi przestrogami! Tak, bądź tu odważnym — tak, bądź odważnym!

Grzmiącym krokiem wyszedł z pokoju i kazał zaprzęgać do wózka, by się na zwykłą swoją puścić wędrówkę.

Skoro powrócił i wyspał się po oczywistych w mieście libacyach, rzekł:

— Tak, — teraz już i ostatnia nadzieja stracona. Ten przeklęty żyd, który mi chciał pożyczyć pieniędzy na 25 procent, oświadczył, że nie chce już mieć nic ze mną do czynienia. No, to niech sobie je zatrzyma. Plunę na niego i na jego pieniądze... a na święty Michał, jak raz, możem iść na żebry, bo tym razem nie pozostanie nam i tyle co czarne za paznogciem. Ale to ci powiadam — że teraz nie przeżyję już tego ciosu — człowiek honoru musi pamiętać na swoją godność i jeśli mnie którego pięknego poranku zobaczycie wiszącego gdzie na haku, nie dziwcie się, proszę.

Matka krzyknęła przeraźliwie i objęła go ramionami za szyję.

— No, no, no, — uspokajał ją, — tak znów źle nie będzie. Wy bo kobiety takieście strachliwe... Byle słowo z nóg was zaraz ścina!

Matka odstąpiła od niego trwożna, ale kiedy wyszedł na podwórze, siadła u okna i poglądała za nim wylękła, jakby już teraz zamierzał sobie uczynić co złego.

Od czasu do czasu, dreszcz przebiegał jej członki, jak gdyby była zziębnięta...

W nocy, która po tym dniu nastąpiła, zauważył Pawełek jak wstała nagle z łóżka, zarzuciła na siebie spódnicę i stanęła u okna, z którego widać było dwór biały. Noc była jasna, księżycowa, kto wie, może przypatrywała mu się rzeczywiście. Siedziała tak może ze dwie godziny—bezustannie patrząc ku wzgórzu. Pawełek ani się

ruszył a kiedy z poczynającym się dnia brzaskiem ona od okna odeszła i przystąpiła do łóżeczek dzieci, zamknął oczy, aby udać śpiącego. Ucałowała bliźnięta, które spały spokojnie, wzajem objąwszy się rączkami, potem podeszła do niego a kiedy się pochyliła nad nim, posłyszał jak wyszepnęła: „Bóg mi doda odwagi! Tak być musi". Wtedy przeczuł, że coś nadzwyczajnego się gotuje.

Skoro nazajutrz po południu powrócił ze szkoły, zobaczył matkę w kapeluszu i mantyli, w niedzielnym stroju siedzącą w altanie. Twarz jej była bledszą jeszcze niż zwykle, ręce spoczywające na kolanach drżały.

Zdawała się czekać na niego, bo kiedy zobaczyła, że się zbliża, odetchnęła swobodniej.

— Czy gdzie wychodzisz, mamo?

— Tak, mój chłopcze — odpowiedziała — i ty pójdziesz ze mną.

— Na wieś, mamo?

— Nie, mój synku.... — głos jej drżał — nie na wieś — musisz włożyć świąteczne ubranie — aksamitna kurtka wprawdzie na nic już zniszczona — ale z popielatego ubranka wywabiłam plamy—ujdzie jeszcze—oczyść sobie także buty—ale prędko...

— Gdzież my więc pójdziemy, mamo?

Wtedy uścisnęła go serdecznie, przytuliła do siebie i rzekła z cicha:

— Do białego dworu!

Poczuł gorąco przestrach przebiegający mu po żyłach, radość, co przenikała mu serce, nieomal go dławiła, skoczył matce na kolana i począł całować ją gwałtownie.

— Ale nie mów o tem nic nikomu—szepnęła.— Nikomu — rozumiesz?

Kiwnął głową, przejęty wagą tego zwierzenia. Taki to był z niego rozumny już człowiek. Wiedział dobrze o co chodzi.

— No, a teraz przebierz się prędko!

Pawełek wbiegł na schody do garderoby — i nagle! — na którym to było stopniu, nigdy nie mógł sobie tego przypomnieć — długi ton przenikliwy, przeciągły, wypłynął z ust jego; nie było, już wątpliwości — umiał gwizdać —spróbował po raz drugi i trzeci — szło doskonale!

Kiedy przystrojony wspaniale, do matki powrócił, wołał z radością niezmierną już z dala:

— Mamo, umiem już gwizdać — i dziwił się, że tak mało zdradzała zrozumienia i dla jego sztuki tak mało okazywała zajęcia. Poprawiła mu nieco tylko kołnierzyk i rzekła przytem:

— O, jakieście wy, dzieci, szczęśliwe!

Potem wzięła go za rękę i puścili się w drogę. Kiedy doszli do ciemnego iglastego lasu, w którym przebywały wilki i chochliki, był właśnie zajęty studyami nad piosenką: „Przyleciał ptaszek“, skoro zaś wyszli na pole był już pewnym, że ta produkcya nie pozostawia nic do życzenia.

Matka spoglądała z smutnym uśmiechem na niego, każdy ton przenikliwszy wprawiał ją w drżenie, ale nic nie mówiła.

„Biały dom“ leżał tuż przed niemi. Nie myślał już o nowo nabytej umiejętności. Przypatrywanie się zajęło całą jego uwagę.

Naprzód zobaczył mur wysoki z cegieł i bramę, na której filarach osadzone były dwie kamienne ule, potem dalej trawnik zielony dziedzińca, na którym stały rzędami wozy; dziedziniec ten stanowił czworobok ogromny, ujęty w ramę szarych gospodarskich budynków. W samym środku był tam rodzaj bagna, otoczonego niskim żywopłotem z białej darniny, na którem całe hałaśliwe stado kaczek się pluskało.

— A gdzież jest biały dom, mamo? — pytał Pawełek, któremu to wszystko nie podobało się bynajmniej.

— Po za ogrodem—odpowiedziała matka. Głos jej miał dźwięk jakiś dziwnie zachrypły a ręka oplotła tak mocno dłoń jego, że brała go ochota krzyknąć.

Teraz skręcili ku płotowi ogrodu i przed oczyma Pawełka stanął skromny dom dwupiętrowy, bez wszelkich ozdób architektonicznych, ocieniony gęstwiną lip starych i niemający w sobie nic cudownego. Nie był nawet tak białym, jak mu się wydawał z daleka.

— Więc to to? — spytał Pawełek stłumionym głosem.

— Tak, to! — odparła matka.

— A gdzież ta kula szklana? gdzie kompas? — nacierał. Brała go w tej chwili serdeczna ochota do płaczu. Wszystko to wyobrażał był sobie tysiąc razy piękniejszem; gdyby go zawód spotkał tylko co do kul szklanych i kompasu, nie dziwby jeszcze było. Ale wszystko, wszystko!...

W tej chwili dwa czarne, jak kruk neufundlandy, z głuchem naszczekiwaniem przybiegły do nich. Schronił się za suknię matki i począł krzyczeć.

— Karo! Neron! — zawołał cienki głosik dziecięcy z drzwi domu i oba potwory popędziły natychmiast, wydając radosne skomlenie w stronę, zkąd głos pochodził.

Mała dziewczynka, mniejsza jeszcze niż Pawełek, w różowej sukience w kwiatki, przewiązanej czemś w rodzaju szkockiej szarfy, ukazała się na tarasie. Miała długie, jasnoblond loki, które przytrzymywał grzebień kolisty, i drobny delikatny nosek, nieco w górę podniesiony.

— Czy pani chce mówić z mamą? — spytała delikatnym, miękim głosikiem i uśmiechnęła się przytem przyjaźnie.

— Czy tobie na imię Elżbieta, moje dziecko?— spytała matka w odpowiedzi.

— Tak, na imię mi Elżbieta.

Matka zrobiła taki ruch, jakby chciała nieznane dziecko przycisnąć do serca, ale zapanowała nad wzruszeniem i rzekła tylko:

— Czy nie zechciałabyś zaprowadzić nas do twojej mamy?

— Mama jest w ogrodzie, właśnie pije kawę—mówiła mała z minką wielce poważną.—Ja państwa przeprowadzę do koła domu, bo gdybym drzwi otwarła, naleciałoby zaraz much co niemiara.

Matka uśmiechnęła się. Pawełek dziwił się, że jemu w domu nic podobnego nie przyszło na myśl.

— Ona o wiele mądrzejsza odemnie — pomyślał w duchu.

Teraz weszli do ogrodu. Był to daleko większy i piękniejszy ogród niż w Mussainie, ale kompasu nigdzie jakoś odkryć nie mógł. Pawełek miał o nim niejasne tylko wyobrażenie, przypuszczał, że to być musi jakaś wielka wieża złota, na której okrągła połyskująca kula słoneczna tworzy cyferblat zegara.

— A gdzież ten kompas, mamo? — spytał.

— Ja ci go później pokażę — wymówiła pośpiesznie mała dziewczynka.

Z altany wyszła wysoka, smukła pani z twarzą bladą, schorowaną, którą ożywiał blask niewypowiedzianie łagodnego uśmiechu.

Matka wydała okrzyk radości i rzuciła się jej z głośnym płaczem na szyję.

— Bogu niech będą dzięki, że raz znów mam panią u siebie — zawołała nieznajoma pani i całowała czoło matki i policzki. — Wierzaj mi, wszystko już teraz będzie dobrze — powiesz mi co ci dolega i musiałoby chyba stać się coś dziwnego, gdybym ja na to nie znalazła rady.

Matka otarła oczy i uśmiechnęła się.

— To radość tylko—mówiła—już teraz tak mi lekko, tak jestem swobodna, kiedym się znalazła tu przy pani—tak mi bardzo było tęskno za panią.

— I rzeczywiście, nie mogłaś pani przyjść do mnie?

Matka wstrząsnęła smutnie głową.

— Biedna, biedna kobieta!—rzekła pani, i obie długiem, przeciągłem spojrzeniem popatrzały sobie w oczy.

— A to zapewne mój chrześniak? — zawołała pani, wskazując na Pawełka, który uczepił się sukni matczynej i z wielkiego ambarasu włożył palec w buzię.

— A pfe, wyjmijże z ust palec— rzekła matka a piękna, ujmująca pani wzięła go na kolana i podała mu na spodeczku miodu; — potem pytała o młodsze rodzeństwo, o szkołę i różne rzeczy, na które łatwo mu było odpowiadać, tak że w końcu na jej kolanach czuł się niemal swobodnym zupełnie.

— A co ty już umiesz, mały człowieku? — spytała w końcu.

— Umiem gwizdać! — odpowiedział dumnie.

Uprzejma pani roześmiała się głośno i powiedziała:

— No, to nam co zagwizdaj!

Wydął wargi i próbował gwizdnąć, ale ani sposób było — zapomniał znów ze szczętem!...

Wtedy wszyscy śmiać się poczęli: i piękna pani, i mała dziewczynka, nawet matka; jemu zaś ze wstydu stanęły łzy w oczach, począł kopać nogami, machać rękami, tak że go pani domu musiała zsunąć z kolan a matka połajała:

— Pfe, Pawełku, jakiś ty niegrzeczny!

On poszedł za pień lipy i płakał rzewnie, aż wreszcie mała dziewczynka przystąpiła do niego i rzekła mu:

— Ah, nie, tego nie rób. Niegrzecznych dzieci Bóg nie znosi.

Wtedy zawstydził się bardzo i otarł oczy kułakiem.

— A teraz pokażę ci kompas — ciągnęło dalej dziecko.

— Dobrze, ale i kule szklane także — odparł już uspokojony.

— O, te już dawno potłuczone— odpowiedziała mu — w jedną z nich przeszłego roku wpadł mi kamień a drugą wiatr przewrócił i rozbił podczas burzy.

A potem pokazała mu miejsca gdzie pierwej stały.

— A to jest kompas — ciągnęła dalej.

— Gdzie? — spytał zadziwiony, oglądając się dokoła. Stali przed szarym, niczem nie odznaczającym się słupkiem, na którym był przytwierdzony rodzaj drewnianej tablicy. Dziecko roze śmiało się i powiedziało mu, że to jest ów kompas.

— Ah, pfe — odpowiedział z gniewem — chcesz mnie wyprowadzić w pole.

— Po cóż miałabym cię chcieć wyprowadzić w pole? — spytała. — Przecież tyś mi żadnej nie wyrządził przykrości.

A potem potwierdziła raz jeszcze, że to właśnie był ów kompas, o który dopytywał się tak ciekawie; i ukazała mu wskazówkę, nędzny zardzewiały kawałek blachy, wystający z pośrodka tablicy, który rzucał swój cień właśnie na cyfrę sześć, na tablicy obok różnych wypisaną.

— Ah, ależ to nadto głupie, prawdziwie! — zawołał i odwrócił się z pogardą.

Kompas w ogrodzie białego domu był pierwszem wielkiem rozczarowaniem jego życia...

Kiedy z nową swą przyjaciółką powrócił do altany, zastał tam wysokiego, barczystego pana z brodą gęstą, długą, na dwie połowy rozczesaną, w strzeleckiem popielatem z zielonemi wyłogami ubraniu, którego oczy zdały się sypać iskry.

— Kto to jest? — spytał Pawełek, trwożnie się kryjąc po za swą towarzyszkę.

Ona zaśmiała się i odrzekła:

— To mój ojciec; jego nie potrzebujesz się lękać bynajmniej.

I skoczyła z głośnym wybuchem radości na kolana nieznajomego.

Wówczas pomyślał sobie, czy też on kiedy odważyłby się skoczyć swemu ojcu na kolana, i wywnioskował z tego, że nie wszyscy ojcowie są

sobie równi. Ów pan zaś w myśliwskiej kurtce pieścił dziecko, głaskał je po twarzyczce, całował, posadził na kolanie, jak na koniu, i począł hustać.

— Patrzaj, Elżuni przybył nowy towarzysz zabawy — przemówiła piękna pani i ukazała Pawełka, który, ukryty wśród liścia obrastającego altanę, nieśmiało przypatrywał się siedzącym w jej środku.

— Dalej, śmiało naprzód zawsze, mój chłopcze! — zawołał mężczyzna wesoło.

— Chodź tu; na drugiem kolanie dość jeszcze dla ciebie jest miejsca—wołała dziewczynka, a kiedy pytającym wzrokiem spojrzał na matkę i nieśmiało podszedł nieco bliżej, pochwycił go nieznajomy, posadził na drugie kolano i szła teraz jazda na wyścigi.

I odbiegła go już wszelka obawa a kiedy na stół podano świeżo upieczone ciastka, zabrał się do nich nie na żarty.

Matka pogłaskała go po głowie i upomniała, aby nie popsuł sobie żołądka. Mówiła coś cicho i wciąż patrzała przed siebie w ziemię. A potem dzieci wysłano na agrest w ogród.

— Czy tobie na prawdę na imię Elżbieta? — spytał nowej swej przyjaciółki, a kiedy ta potwierdziła, wyraził zdziwienie, że nosi to samo co matka jego imię.

— Bo też na jej pamiątkę dostałam je na chrzcie — odpowiedziało dziecko — toć ona mnie do chrztu trzymała.

— Dla czegóż więc cię nie ucałowała kiedyśmy tu przyszli? — spytał.

— Nie wiem — wymówiła Elżbieta smutnie — może mnie nie lubi.

Ale że nie śmiała, o tem nie pomyślało żadne z nich dwojga...

Poczęło już ściemniać się, kiedy przywołano dzieci.

— Trzeba nam iść do domu — rzekła matka.

On zasmucił się bardzo, bo właśnie teraz dopiero poczęło mu się tu podobać.

Matka poprawiła mu kołnierzyk i rzekła:

— Tak, teraz ucałuj rączki państwa, pożegnaj się i podziękuj.

Wykonał co mu nakazano; uprzejma pani ucałowała go w czoło a pan w myśliwskiej kurtce podniósł go tak wysoko w powietrze, że mu się wydało, iż umiałby szybować jak ptaki.

Potem matka wzięła Elżunię na ręce, ucałowała ją kilkakrotnie i rzekła:

— Oby niebo kiedyś wynagrodziło ciebie za to, co twoi rodzice uczynili dla twej matki chrzestnej.

Ciężar jakiś, widocznie, spadł jej z piersi; lżej oddychała a oko jej błyszczało.

Elżunia i jej rodzice odprowadzili ich oboje aż do bramy dziedzińca a kiedy tam raz jeszcze z nimi żegnała się matka i przytem tysiące szeptała błogosławieństw, przerwał jej ze śmiechem gospodarz domu i powiedział, że cała ta sprawa nie zasługuje na podziękowanie.

Piękna pani zaś ucałowała ją serdecznie i prosiła, by ją odwiedziła niezadługo, lub przynajmniej przysłała do dworu dzieci.

Matka uśmiechnęła się smutnie i milczała.

Elżuni pozwolono pójść jeszcze kawałek, potem pożegnała gości uroczystym ukłonem.

Pawełkowi ścisnęło się serce, czuł, że jej jeszcze coś ma do powiedzenia, pobiegł więc za nią, a skoro dognał, szepnął jej w ucho:

— Słuchaj — a ja *jednak* umiem gwizdać...

Kiedy matka i syn weszli do lasu, noc zapadła już właśnie. Dokoła ciemno było, choć oko wykol, jednak on nie bał się ani trochę. Gdyby teraz wilk nawet wyszedł z gęstwiny, pokazałby mu dopiero!..

Matka nie mówiła ani słowa; dłoń, którą ujmowała jego rączkę płonęła a oddech głośno, jakby westchnienie, wychodził z jej piersi.

A kiedy oboje weszli na łąkę, zeszedł księżyc na widnokrąg — blady i wielki jak srebrna tarcza. Błękitnawa opona przysłaniała dal. Woń tymianku i jałowcu rozchodziła się w powietrzu. Tu i owdzie ptaszę przed snem nocy ćwierkało w krzaczku na ziemi.

Matka usiadła na brzegu przydrożnego rowu i poglądała ku smutnej siedzibie, z którą skuła ją troska wieczna. Zarysowały się ciemne kontury budynków na wieczornem niebie. Z kuchenki błyszczało niepewne światło.

I nagle wyciągnęła ramiona i w ciszę nocy rzuciła z głębi serca okrzyk:

— Ah, jakżem ja szczęśliwa!

Pawełek przytulił się trwożny niemal do niej, nigdy bowiem jeszcze z ust jej nie słyszał takiego okrzyku. Tak nawykł do jej łez i smutku, że ta radość miała w sobie dla niego coś niepokojącego.

A przytem przyszło mu na myśl: Co też powie ojciec, gdy się dowie o ich bytności we dworze? Czy nie będzie łajał matki, czy nie będzie dla niej gorszym jeszcze niż zawsze? Bunt głuchy nim owładnął, zacisnął zęby, potem pieszczotliwie pogłaskał ręce matki, ucałował je i wyszeptał:

— On ci nic nie zrobi, nic zrobić nie może!

— Kto? — spytała, zadrżawszy, zbudzona z zamyślenia.

— Ojciec — wyrzekł zcicha i z wahaniem.

Ona westchnęła głęboko, ale nic nie odrzekła i w milczeniu już, skłopotani, podążyli do domu.

Szara kobieta stanęła na ich drodze i zatruła chwilę szczęścia, a była to jedyna jasna chwila w życiu pani Elżbiety.

. . . . . .

Nazajutrz miała miejsce przykra scena między nią a mężem. Łajał ją i wymyślał, że niema poczucia honoru ni obowiązku. Że przez swą żebraninę do ich ubóstwa dodała jeszcze hańbę.

Ale mimo to wziął pieniądze...

V.

Lata przeszły.

Pawełek stał się cichym, skromnym chłopczyną o nieśmiałem spojrzeniu i niezgrabnych ruchach.

Zawsze zamknięty w sobie, a choć często dozorował bliźniąt, całemi godzinami był w stanie siedzieć nad kawałkiem drzewa, które strugał nie odzywając się słowem. W ogóle był to duch zdolny tylko do podrzędnych zajęć, staranny do zbytku o drobnostki nawet i zastanawiający się głęboko nad wszystkiem.

Nigdy nie zaprzyjaźnił się z żadnym rówieśnikiem, z żadnym nawet w szkole kolegą. Nie, żeby ich unikał z umysłu — przeciwnie, pomagał im w czem mógł chętnie i niejeden rano, przed pacierzem, odpisywał od niego rachunki lub niemieckie zadanie, ale to, co ich zajmowało, jego nie zajmowało bynajmniej i dla tego też nie mógł się zaprzyjaźnić z niemi.

Razów też zbierał co niemiara. Szczególniej przed innymi wycierpiał on niemało od dwóch braci Erdmannów, śmiałych, dzikich, nieokiełznanych chłopców, którzy jako silniejsi i odważniejsi, przez wszystkich byli kochani i wywierali na resztę kolegów pewną terrorystyczną władzę poniekąd. Niewyczerpani oni byli w wymyślaniu coraz nowych figlów, które nieśmałemu chłopczynie zatruwały życie. Wrzucali mu zeszyty szkolne na

piec, napychali piaskiem tornister lub do kapelusza jego przytwierdziwszy w miejsce masztu kijek, puszczali takowy na wodę. Większą część psot tych znosił cierpliwie, raz tylko czy dwa razy wpadł w ślepą, o nic nie dbając już, wściekłość. Wówczas rzucił się, gryząc i drapiąc wszystkich dokoła jak szaleniec, tak że nawet daleko silniejsi od niego towarzysze wielce przezornie umknęli z placu. Pierwszy raz było to wówczas, gdy jeden z chłopców nazwał jego ojca „pijanicą“ a drugi, gdy go razem z jedną z dziewczynek chciano zamknąć w ciemnym chlewku.

Następnie wstydził się swego postępku i własnowolnie przyszedł prosić o przebaczenie. Dopieroż wyśmiano go wtedy i całe, zaledwie pozyskane poważanie znikło znów doszczętnie.

Nauka przychodziła mu bardzo ciężko. Zadania, do którego wyuczenia się koledzy potrzebowali zaledwie kwadransa czasu, on uczył się przez godzinę, dwie czasem. Za to pismo jego było jak wysztychowane a w rachunkach nigdy najmniejszego nie znalazłbyś błędu.

A jednak co zrobił nie zadawalniało go nigdy. Zawsze zdało mu się, że to jeszcze niedokładne i nieraz matka chwytała go na tem, jak wstawał w nocy potajemnie i powtarzał sobie lekcye, w obawie, że czego nauczył się wieczorem może mu przez noc wyjść z pamięci.

Aby jak bracia jego i on kiedyś miał pójść do wyższego zakładu—o tem nie można było nawet

myśleć. Matka początkowo przez czas jakiś żywiła w duszy plan, by poszedł śladami starszych, skoro złożą już maturę, bo macierzyńskiem sercem bolała nad tem, aby ten jeden tak był upośledzony wobec innych; koniec końcem jednak poddała się konieczności. I tak też było najlepiej. Pawełek sam nigdy nie spodziewał się czego innego. Uważał się za istotę nieskończenie podrzędną wobec braci i oddawna już wyrzekł się ambicyi doścignienia ich kiedykolwiek. Kiedy przyjeżdżali na wakacye w aksamitnych beretach na włosach sfalowanych, w jaskrawych szarfach przez piersi—należeli bowiem obaj do wzbronionego jakiegoś stundenckiego stowarzyszenia, patrzał na nich jak na jakieś istoty z wyższego świata, jak na półbogów. Chciwie słuchał, gdy między sobą mówili o Salustyuszu i Cyceronie, lub o tragedyach Eschylesa — a oni często rozmawiali o tem choćby dlatego już, aby mu zaimponować. Przedmiotem najwyższego jego podziwu jednak była gruba księga, na której okładce wypisany był wyraz „Logarytmy“, i która od pierwszej aż do ostatniej strony, nie zawierała nic innego, prócz cyfr. Same liczby w długich zwartych szeregach, na których sam widok tylko mąciło się człowiekowi w głowie. Jakże uczonym musi być ten, co to wszystko spamiętał? — myślał sobie w duszy, głaszcząc dłonią tajemniczą okładkę, bo w swej prostocie przypuszczał, że wszystkich tych cyfr wyuczyć się na pamięć trzeba.

Bracia byli niezwykle uprzejmi dla niego i dobrotliwie raczyli czasem zniżać się do jego pojęć; osobliwie ilekroć mieli jakieś do gospodarstwa odnoszące się żądanie, gdy chodziło naprzykład o osiodłanie konia lub szklankę mocniejszego grogu, wówczas zwracali się do niego z zaufaniem a jemu pochlebiało to niemało, że mógł im się czemś przysłużyć.

W gospodarstwie bo on był tak dobrze poinformowanym o każdym szczególe, jak gdyby sam był panem domu; cały niem był zajęty, w niem mieściły się wszystkie jego pragnienia, w niem koncentrowały wszystkie jego troski.

Co tak przyśpieszyło jego przedwczesną dojrzałość? Czy ta potrzeba pomagania osamotnionej matce, która go tak wcześnie wtajemniczała we wszystkie swe kłopoty i zmartwienia? Czy duch ten, rwący się do czynu, głęboko zastanawiający się nad wszystkiem i daleko patrzący w przyszłość, który był mu danym z natury?

Bardzo często, gdy tak siedział zamyślony z łokciami opartemi na stole — i w ruchach nawet był zawsze jak dorosły — matka twardą, spracowaną ręką głaskała mu czoło i twarz i mawiała:

— Uśmiechnijno się, mój chłopcze, rozpogódź, bądź jak inni wesołym, toć ci jeszcze nie ciążą troski.

O, miał on ich dosyć! Troska była częścią składową jego istoty, jak krew i ciało! — Czy to kur-

czę, co się dziś zabłąkało, jutro się znajdzie, czy też bułankowi pomoże ta maść, którą ojciec wczoraj przywiózł z miasta? Czy też siano było już całkiem suche, gdy je przewracano i czy też jaskółki, co pod dachem usłały sobie gniazdko, wychowają szczęśliwie swe młode, czy przypadkiem kot się do nich nie dostanie?

Rozmyślał wciąż o wszystkiem. Troska była mu wrodzoną, o siebie samego tylko nie troskał się nigdy.

Im był starszym i rozumniejszym, tem dokładniej wejrzeć mógł w nieład, jaki ojciec wprowadził do gospodarstwa i znowu nieraz wydzierało mu się z piersi westchnienie: „O gdybym już był dużym!“

Obawa przed wybuchami ojcowskiego gniewu oczywiście nigdy nie dopuszczała do jawnego wyrażenia tych obaw, a jeśli kiedykolwiek odważył się wyrazić je wobec matki, ona oglądała się trwożnie po pokoju i wołała:

— Cicho bądź, na Boga!

A mimo to, ojciec pomiarkował wprędce, czem zajęte są myśli jego syna. Nadał mu przezwisko „liczykrupy“ i dręczył go niem, ilekroć tylko spotkał. W chwilach dobrego usposobienia, rozumie się, bo w złych nie szczędził mu razów—łokciem, rączką szpicruty, grubym rzemieniem — wszystkiem wreszcie, co miał pod ręką w danej chwili. Najwięcej jednak obawiał się Pawełek tej ręki, co rozdzielała razy, i której uderzenie sto-

kroć było boleśniejszem od wszystkich kijów całego świata. Ojciec, bo miał osobliwy sposób bicia po twarzy. Rzucał rękę swą w twarz odwrotną dłoni stroną, tak że paznokcie jego pozostawiały na policzku krwią nabiegłe ślady. A ilekroć chciał opoliczkować tak Pawełka, wołała go słodziutkim głosem:

— Chodźno tu, mój synku, ja cię pocieszę.

Po takich upominkach, drżąc cały z wstydu i bólu, uciekał biedny chłopiec w pole i chcąc powstrzymać łzy, co mu biegły do oczu, zawsze wtedy gwizdał.

W tem gwizdaniu on wypowiadał wszystką swą tęsknotę, wszystkie sny dziecięce i gniew swój i oburzenia. Wrażenia, dla których duch jego, niekierowany z zewnątrz niczem, nieukształtowany, nie mógł znaleźć sobie wyrazu, na które brakło mu słów, ba, nawet myśli odpowiednich, wypływały z piersi jego niepowstrzymane i śmiałe w tem gwizdaniu w samotności. Tu znalazł sobie uciśniony, nieśmiały duch jego ujście. Wykonywał całe symfonie — przeraźliwe, krzykliwe początkowo, łagodniejsze i coraz łagodniejsze, słodsze a wreszcie topniejące w smutku i rezygnacyi.

Nikt ani przeczuwał jaką on uprawia sztukę w samotności i ile pociechy, ile podniosłych uczuć jej zawdzięcza, nikt, nawet matka. Odkąd raz w wieczór zimowy, nie domyślając się jej obecności, gwizdał sobie zcicha i potem spostrzegł jak

wybuchnęła potokiem łez, nigdy już wobec niej nie gwizdał. Sądził, że jej to sprawia przykrość; jaka moc daną mu była w tych tonach tego nie przeczuwał nawet.

Tylko czasami czuł się dumnym, gdy popatrzał ku białemu dworowi, że przecież nauczył się gwizdać a kiedy osobliwie udała mu się jakaś fantazya, myślał sobie: „Kto wie, czybyście wyśmieli mnie teraz, gdybyście to posłyszeli!“

Ale już nigdy nikogo ztamtąd nie spotkał.

VI.

Od niejakiego czasu pan Meyhöfer nosił się z wielkiemi planami. Odkrył, że torfowiska, które szerokim łukiem otaczały wydmę pustą, mogłyby stanowić znaczne a pewne źródło intraty. Już dwa czy trzy razy, kiedy miał nóż na gardle, w ostatecznej potrzebie kazał ciąć torf i po pięć fur jednokonnych wysyłał do miasta. Potajemnie, co prawda, całkiem potajemnie, bo był za dumnym na to, aby się narażać na porównanie z prostym chłopem, co furkami torf wozi do miasta. Ludzie jego wówczas przywozili za każdym razem po dwadzieścia, dwadzieścia pięć marek gotówki za torf i opowiadali, że nieraz znacznie więcej dałoby się uzyskać, bo torf czarny, zbity, był pokupnym na targu artykułem.

Ale niepodobna było skłonić Meyhöfera do tego rodzaju eksploatacyi.

— Ja się nigdy nie bawiłem w drobnostki—mówił. Wolę w wielkiem przedsiębiorstwie zmarnieć, niż z małego wynieść zyski.

A mówiąc to, przybierał pozę bohatera, pierś naprzód podawszy.

Ale moczary nie dawały mu spokoju. Było to we wrześniu, po żniwie wyjątkowo pomyślnem, kiedy Löb Lewi, uczynny przyjaciel wszystkich zadłużonych obywateli, począł pojawiać się po dwa, trzy razy tygodniowo na podwórzu folwarcznem i zawsze długie jakieś miewać z panem konferencye. Pani Elżbieta drżała z obawy, ilekroć żyd w zatłuszczonym swym chałacie wyłonił się z bramy dziedzińca; siadała w oknie i śledziła bez przerwy każdy ruch układających się o coś widocznie. Skoro zobaczyła na twarzy męża zamyślenie, lodowaty dreszcz ją przechodził a dopiero gdy się uśmiechnął znów i rozpogodził i ona odważała się odetchnąć swobodniej.

Przeczuwała w tych konferencyach coś niedobrego, nie śmiała jednak pytać męża o rodzaj interesów, o które traktował z okoliczną pijawką.

Niezadługo miało się jej wszystko to wyjaśnić. Pewnego dnia popołudniu, zauważył Pawełek jak na drodze od miasta, dziwnego jakiegoś rodzaju zaprzęg przesuwał się zwolna; z daleka wydawało się to podobne do olbrzymiego, czarnego kotła z pralni, osadzonego na kołach. Coś, co podobne było do komina, sterczało u góry i pochylało jak grzecznie kłaniający się człowiek, to na prawo,

to na lewo, ilekroć koła wpadły w jaki wybój nierównej drogi.

Wpatrywał się przez chwilę nieruchomie w to dziwo a potem pobiegł do matki, którą coprędzej wyciągnął za spódnicę przed bramę dziedzińca.

Ona przyłożyła rękę do oczu i patrzała na drogę.

— To jest lokomobila — powiedziała mu potem.

Pawełek równie z tego objaśnienia był mądrym jak poprzednio.

— Co to jest lokomobila? — spytał.

— To taka maszyna parowa, którą przewozić można z miejsca na miejsce i której potrzebują właściciele wielkich dóbr, aby za jej pomocą w ruch wprawić swe młockarnie — można też również żąć i orać, bo taka maszyna więcej ma siły niż dziesięć koni.

— Dla czegóż w takim razie muszą ją ciągnąć konie? — zapytał.

— Bo sama nie może nigdzie się ruszyć — była odpowiedź.

Tego nie zrozumiał.

— W każdym razie jednak — myślał sobie — wielkie to musi być szczęście posiadać taką maszynę z cudzoziemską nazwą — i skoro kiedy będziemy bogaci...

W tej chwili wybiegł ojciec wielce wzburzony z domu; na jednej nodze miał pantofel na drugiej but a krawat gdzieś w tyle na plecach.

— Jadą, jadą! — zawołał, uderzając w dłonie a potem pochwycił w pół matkę i począł z nią tańczyć na środku drogi.

Matka patrzała na niego wielkiemi, strwożonemi oczyma, jakby chciała mówić: „Jakież to nowe wymyśliłeś szaleństwo?“ On jednak nie chciał jej puścić i dopiero kiedy bliźnięta w różowych perkalikowych sukienkach z ciemnemi krótkiemi warkoczykami przybiegły z ogrodu, zabrał się do nich, wziął je na ręce, wsadził sobie na ramiona i chciał wreszcie przez rów przerzucić, tak że dopiero matka usilnem swem błaganiem wymogła, że dał spokój biedactwom.

— Tak, dzieciaki — wołał — teraz cieszcie się i tańczcie, teraz skończyła się nasza bieda — na przyszłą wiosnę będziemy mierzyć pieniądze na korce.

Matka popatrzała nań z boku, ale nic nie odrzekła.

Potwór zbliżał się coraz to więcej. Pawełek stał nieporuszony, cały zatopiony w przyglądaniu się. Następnie popatrzał w oczy matce, na której twarzy widoczna odźwierciedliła się troska i napadła go jakaś nieujęta obawa, jak gdyby na tym czarnym rydwanie wjeżdżał w dom sam szatan; potem jednak pomyślał sobie, jak szybko spełniło się jego życzenie i postanowił czarnego gościa przyjąć z ufnością.

Tymczasem parobcy i dziewki powybiegali już ze stajni i kuchni. Cała ludność folwarczku stała

rzędem wzdłuż płota i z podziwem patrzała na zbliżające się cuda.

— Powiedzże, proszę, co ty z tem robić zamierzasz? — spytała nakoniec pani Elżbieta męża.

Ten zmierzył ją od stóp do głowy litośnem spojrzeniem, potem zaśmiał się urywanym, krótkim śmiechem i zawołał: „Jeździć na spacer!"

Pani Elżbieta nie pytała więcej. A mąż jej zwrócony do karbowego wykładał temuż swe plany; teraz dopiero rozpocznie wycinanie torfu na wielką skalę, maszyna do cięcia i prasa są również w drodze a jutro raniuteńko robota rozpocząć się już może. Potem polecił mu pójść na wieś, celem zamówienia potrzebnych robotników. Dziesięciu ludzi wystarczy na początek, ma jednak nadzieję, że z czasem zajmie dwudziestu, ba, trzydziestu nawet.

Pani Elżbieta w milczeniu potrząsnęła głową i weszła do domu — w tej chwili właśnie, gdy lokomobila zajechała przed bramę podwórza. Pawełek nie mógł się nasycić widokiem tego dziwu. Po za żółtemi śrubami i kółkami zdało mu się, że mieści się cały świat tajemnic; palenisko z rusztem i popielnikiem u spodu wydawało mu się wstępem do owego ognistego pieca, w którym biblijni trzej młodzieńcy ongi śpiewali pośród płomieni swe hymny — a cóż dopiero komin, groźnie sterczący, z czeluścią, która zdawała się prowadzić w czarną niezgruntowaną jakąś przepaść...

Pawełek tak był zatopiony, że nie zwrócił uwagi na maleńki wózek, wlokący się tuż za maszyną, w którym jechał Löb Lewi z ognisto rudą, długą brodą i wesoło mrugającemi oczyma—nie zauważył nawoływania furmanów, ani krzyku maleńkich siostrzyczek, co jak opętane, klaszcząc w rączki, tańczyły do około kół czarnych. Skamieniały ze zdumienia, stał nieruchomie, jakby nie mógł wciąż jeszcze pojąć, co się do koła niego dzieje.

Kiedy później nieco wszedł do pokoju, zastał matkę wciśniętą w róg sofy i płaczącą.

Zarzucił jej ręce na szyję; ona jednak odsunęła go łagodnie od siebie i rzekła:

— Idź sióstr pilnować, by się gdzie nie dostały pod koła.

— Ale czemu ty płaczesz, mateczko?

— Już to z czasem zrozumiesz, mój chłopcze — rzekła, głaszcząc jego włosy. — Löb Lewi jest przy tem — już zobaczysz!

Wówczas w duchu urażony był formalnie na matkę; tam gdzie się cieszyli wszyscy, ona jedna tylko musiała kryć się gdzieś w kątku i płakać! Ale i jego odeszła radość; a kiedy Löb-Lewi w długim swym czarnym chałacie wlókł się przez podwórze, miał niekłamaną ochotę dać znak Ikarowi, aby się zapoznał z jego łydkami.

Bliźniątka kompletnie były upojone radością. Wzięły szmatę jakąś i ująwszy ją za oba końce, upędzały się jak szalone po ogrodzie. Jedna była

lokomibilą, druga koniem, ale każda chciała być lokomobilą, bo wówczas wsadzała na głowę ojcowski czarny kapelusz, który miał reprezentować komin.

Zanim poszły na spoczynek, znalazły już nazwę dla nowego potworu.

Utrzymywały, że maszyna bardzo podobną jest do grubej dziewki z długą szyją, która przed kilku dniami właśnie odprawioną została za niechlujstwo i na jej pamiątkę poczęły lokomobilę nazywać „czarną Zuzą".

I nazwa ta pozostała lokomobili na folwarku Meyhöfera po wieczne już czasy.

Nazajutrz rano na nowo rozpoczął się zamęt wczorajszy. Dziesięciu zamówionych robotników stało na dziedzińcu, niewiedząc co mają robić. Meyhöfer chciał kazać palić pod kotłem, ale Löb Lewi, który przenocował w stodole, aby zaraz rano nazajutrz być pod ręką, żądał pierwej, aby mu cenę kupna wręczono, jak to było wymówione w kontrakcie, zboże bowiem na południe musiało już być koniecznie w mieście.

— Co zboże? — spytała matka, blednąc.

Ha, nie było można przeczyć dłużej. Meyhöfer oddał cały niemal plon tegoroczny, wszystko, zarówno wymłócone już zboże, jak to, które jeszcze trzeba było młócić żydowi, za starą zużytą maszynę parową. W tryumfie odjechał on z worami pełnemi pięknego ziarna. A to była dopiero zaliczka, jedna rata, przed Bożem Narodzeniem miał przyjechać po resztę!...

Na chwilę może, nawet lekkomyślny Meyhöfer poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia, kiedy zobaczył wysoko zbożem ładowne wozy znikające mu z przed oczu w głębi lasu, ale w następnej już zaraz chwili zwykłe zarozumienie wzięło górę, wsadził ręce w kieszenie i rozkazał, aby maszynę miano w pogotowiu.

Równocześnie z owym potworem, przybył człowiek w niebieskiej bluzie, z nosem fioletowej barwy, który się zwał sam „palaczem", i który tem się odznaczał, że bezustannie jadł cebulę. Bo to dobre na żołądek, powtarzał. Człowiek ten wydawał się sam sobie bohaterem dnia. Stał wyprostowany przy maszynie, nazywał ją swoją „pupilką" i głaskał szaro-czarną swą szeroką ręką ordzewiałe jej ściany. Dźwięk tej pieszczoty ogromnie przypominał tarcie się o siebie dwóch tarek. Każdemu, co przyszedł, objaśniał w wielką dumą wewnętrzne urządzenie „lukmanbili", jak stale nazywał swą pupilkę; tylko trzeba mu było dawać pić często, inaczej bowiem klął i wymyślał. Skoro tylko jednak dostał wódki, jak żądał, rozrzewniał się dziwnie i utrzymywał, że raczej da sobie poucinać ręce i nogi, niżby się dał rozłączyć z swą pupilką. Tak ją już pokochał, tak do niej przywykł, jak do własnej krwi i ciała i ceni ją tysiąc razy więcej, niż wszystkich ludzi całego świata.

Meyhöfer, dumny, skakał koło niego, boć ta perła była już odtąd jego własnością i raz po raz

oświadczał z wielkim zadowolnieniem, że tutaj dopiero widzieć można, co to znaczy „niemiecka wierność“.

Kiedy jednak miano już przystąpić do palenia, ani sposób było znaleźć nigdzie owego wiernego człowieka. Nakoniec odkryto go w stodole na sianie — śpiącego. Kiedy go budzono, nazwał to postępowanie „wyzyskiwaniem ludzi“ i niemało trzeba było trudu, nim go namówiono, by wyszedł z swego ukrycia.

Palenie pod kotłem maszyny było nową uroczystością. Pawełek stał przed paleniskiem i patrzył zamarzonemi oczyma w czeluść ognistą, która rozwarła się tak szeroko, jak gdyby chciała pochłonąć wszystko co żyło. Przyszedł mu na myśl dawny bożek pogański, Moloch, o którym zasłyszał w historyi starego testamentu, i wydawało mu się ciągle, że lada chwila wyciągnie się ku niemu para rąk ognistych. Następnie z wnętrza potworu począł się dobywać jakiś syk, śpiew jakiś, to chwilami głuchy, jak daleki szum lasu, to znowu niby gdzieś z wysoka spływający jak dźwięki anielskich chórów. W wentylach poczęło coś syczeć — strumienie pary buchnęły w powietrze — żelazna szufla zadźwięczała i z szelestem nowe kupy węgla pobiegły w żar ogniska. Dokoła był gwar taki i hałas, że własnego nie mogłeś słyszeć głosu. Palacz z miedzianym nosem stał pośrodku jak król dumnie, pociągał z wązkiej kańciastej butelki i od czasu do czasu coś tam

majstrował przy wentylach, wydając głośne rozkazujące okrzyki, niby pogromca zwierząt w menażeryi. A potem poczęło się obracać wielkie koło — frr, frr, frr — coraz szybciej, coraz szybciej. Dostawałeś zawrotu głowy, patrząc na ten ruch szalony—a potem nagle nastąpił trzask głuchy—dźwięk, jakby rozbitego szkła — i wielkie koło stanęło — na zawsze.

Z początku wprawdzie palacz srożył się wielce i twierdził, że za pół godziny cała szkoda da się naprawić w zupełności, kiedy Meyhöfer jednak po dwudniowej robocie natarł na niego ostrzej, aby raz wreszcie skończył tę reparacyę, wtedy odpowiedział mu grubiaństwami i oświadczył, że w tej starej skorupie nic w ogóle naprawić się nie da, bo chyba całą sprzedać należy tylko tandeciarzowi na wagę żelaza.

— „Pupilka?“ Ślicznie dziękuję za taką pupilkę! Za wiele on wart na to, aby się opiekować taką kupą pordzewiałego żelaztwa. I wtedy dopiero wyszło wszystko na jaw: — Löb Lewi wynalazł go przed paru dniami w jakimś gdzieś szynku i spytał czy chce przez tydzień opływać we wszystko jak pączek w maśle; dłużej, co prawda, farsa ta nie potrwa. I na to zapewnienie dopiero posłuchał żyda, dłużej bowiem nad tydzień siedzieć na jednem miejscu — sprzeciwiało się jego zasadom!

Po tym monologu, sromotnie wypędzony został za bramę dziedzińca.

Następnego dnia sprowadził Meyhöfer ślusarza ze wsi. Ten pracował znowu przez dni kilka nad maszyną, jadł i pił za trzech i koniec końcem oświadczył, że kiedy teraz już iść nie chce, to chyba dyabeł się w to wmięszał. Ponownie poczęto palić pod kotłem, ale „czarnej Zuzy“ nie można już było przywołać do życia.

Kiedy około Bożego Narodzenia Löb Lewi ukazał się na folwarcznem podwórzu, aby zabrać resztę zboża, obił go Meyhöfer własną szpicrózgą. Żyd krzyczał gwałtu i coprędzej odjechał. Ale niebawem pojawił się pachołek sądowy z wielkim, czerwoną pieczęcią opatrzonym, listem.

Meyhöfer klął na czem świat stoi i pił więcej niż kiedykolwiek, koniec jednak był taki, że skazanym został na zapłacenie wszystkich kosztów i jeszcze kary za uszkodzenia cielesne. Z wielką zaledwie biedą udało mu się uniknąć więzienia.

Od tego dnia nie chciał już na oczy widzieć „czarnej Zuzy“. Zatoczono ją do najodleglejszej szopy i tam stała w ukryciu przez lat wiele, nieoglądana przez żadne ludzkie oko.

Pawełek tylko potajemnie od czasu do czasu brał klucz od tej szopy i zakradł się do czarnego potworu, który mu coraz więcej stawał się miłym i który w końcu wydawał mu się niemą, srodze zapoznaną przyjaciółką. Wtedy oglądał pilnie śruby i wentyle, wdrapywał się po kominie na sam jej szczyt i siadał na kotle jak na koniu — albo też wieszał się u wielkiego koła i usiłował

wprawić je w ruch siłą drobnych swych ramion. Ale jak martwe zwłoki poruszało się ono o tyle tylko, o ile je popchnięto, a potem znowu stawało.

A kiedy namęczył się aż do utrudzenia, krzyżował ręce i smutnie poglądając na obumarłe koła, szeptał sobie:

— Któż cię znowu do życia powoła?...

VII.

Kiedy Pawełek skończył lat czternaście, postanowił ojciec posyłać go na przygotowanie do pierwszej komunii.

— Nic porządnego i tak się w szkole nie nauczy, — mówił on. — Czas i pieniądze są wyrzucone daremnie. To też niech prędzej idzie do pierwszej komunii a potem obróci się go do gospodarstwa. Tak, czy owak, nie będzie z niego nic lepszego jak chłop prosty, niech zatem idzie śladem prostych chłopów.

Pawełek był zadowolniony, pragnął bowiem z całego serca, by módz choć część trosk, które ciężyły na matce wziąść na swoje barki. Chciał się stać pewnego rodzaju ekonomem, któryby nieobecnego wiecznie pana mógł zastąpić we wszystkiem o każdej porze a zarazem dołożyć własnej ręki, gdzie potrzeba było dla parobków dobrego przykładu. Obiecywał sobie, że wraz z jego działalnością rozpocznie się nowa błogosławiona era, a kiedy nocą leżał w łóżku, marzył

o falujących polach pszenicy i czyściuteńkich świeżo pobudowanych gumnach. Coraz więcej utwierdzało się w nim postanowienie zwrócenia wszystkich sił swych w tym kierunku, aby zapuszczony folwark podnieść. Bracia powiedzieć kiedyś o nim będą zmuszeni: „Przecież on zda się na coś na świecie, jakkolwiek nie mógł iść temi świetnemi, co my, drogami".

O, tak, bracia! Jak oni przez ten czas wyrośli, na jakich wyszli paniczów! Jeden studyował filologię na uniwersytecie, drugi wstąpił na praktykę do wielkiego banku. Mimo opieki jednak poczciwej ciotki, obaj potrzebowali pieniędzy, wiele pieniędzy, więcej daleko, niż im mógł dostarczyć ojciec. I dla nich również, wraz z objęciem domowego gospodarstwa, obiecywał sobie nastąpienie szczęśliwych, wolnych od wszelkiej troski czasów. Wszelkie zbywające pieniądze miały im być posyłane a on, o! on będzie umiał oszczędzać i troszczyć się o wszystko byle tylko oni wolnymi byli od kłopotów i bied wszelakich i mogli dążyć bez przeszkody ku wzniosłym swym celom.

Przejęty temi myślami, szedł Pawełek na pierwszą lekcyę przygotowania do komunii. Było to wsłoneczny dzień wiosenny na początku kwietnia.

Młoda trawka na łąkach połyskała zielonawym blaskiem, jałowce puszczały nowe prądki delikatne, mięciuteńkie, na skraju lasu kwitły anemony i żabińce.

Ciepły wietrzyk powiewał mu w twarz, radość dziwna rozpierała mu piersi i czuł głośne uderzenia własnego serca.

— Musi gotować się coś smutnego dla mnie — powiedział sobie— bo tak swobodnym, tak szczęśliwym nie należy chyba nigdy czuć się na ziemi

Przed ogrodem probostwa stał cały szereg wózków, które po większej części znane mu były z widzenia. Były tam i ozdobne karety. Z dumnym uśmiechem siedzieli ich woźnice w wygalonowanych sukniach na koźle, rzucając pogardliwie spojrzenia do koła na pieszą rzeszę.

W ogrodzie zebrana była liczna gromadka dzieci. Chłopcy osobno, osobno dziewczęta. Między pierwszymi znajdowali się obaj bracia, z przyczyny których tyle dawniej wycierpieć musiał a którzy od roku już nie uczęszczali do szkoły. Przystąpili teraz bardzo uprzejmie do niego i kiedy jeden podawał mu rękę na powitanie, drugi tymczasem z tyłu podstawił mu nogę.

Niektóre z dziewcząt przechadzały się po ogrodzie parami. Obejmowały się wpół i chichotały z cicha. Większa ich część była całkiem obcą, kilka było widocznie bardzo majętnych, sądząc z eleganckich płaszczyków i kapeluszy z piórami. Do nich prawdopodobnie należały owe karety, czekające przed probostwem.

Spojrzał po swojem ubraniu, aby się upewnić, że się wstydzić nie potrzebuje. Było ono z czarnego cienkiego sukna, przerobione z dawnego balo-

wego stroju brata studenta i wydawało się niemal nowem, na szwach tylko zmieniło się nieco. Zsumowawszy jednak wszystko, widział, że nie potrzebuje się wstydzić.

Dzwonek się odezwał. Było to hasło, aby wszyscy sposobiący się do komunii szli do kościoła. Pawełek czuł się szczególniej lekkim na duszy i pobożnym, kiedy go otoczył uroczysty półzmrok kościoła. Nie myślał już o swem ubraniu, postacie dokoła stojących chłopców utraciły dlań znaczenie, wydawały mu się jakiemiś cieniami tylko.

Po obu stronach ołtarza stały ławki. Po prawej stronie zająć mieli miejsca chłopcy, po lewej dziewczęta.

Pawełka wciśnięto w rząd najdalszy, gdzie siedzieli najmniejsi i najubożsi chłopcy. Zajął miejsce między dwoma bosymi synami jakiegoś komornika ze wsi, przybranemi w grube podarte katanki. Po przez ramiona siedzących przed nim chłopców widział jak porządkiem siadały dziewczęta, najbardziej eleganckie na przodzie, dalej coraz to biedniej ubrane.

I począł zastanawiać się nad tem, czy też to w niebie taki sam będzie panował porządek i przyszły mu wówczas na myśl słowa Ewangelii:

„Kto się poniża, będzie wywyższonym".

Wszedł proboszcz.

Był to otyły mężczyzna z podwójną kondygnacyą podbródków. Górna jego warga połyskiwała od częstego golenia, wyglądał przecież bardzo uroczyście i poważnie.

Nasamprzód odmówił długą modlitwę, po której nastąpiła przemowa na temat słów Zbawiciela: „Dopuście do mnie maluczkich". Następnie począł sławić proboszcz najważniejszą ze wszystkich cnót chrześciańskich: pokorę. Nikt w tem gronie dzieci nie powinien się wynosić nad drugiego dla tego, że może rodzice jego są majętniejszymi niż inni jego bliźni. Bowiem przed tronem Boga wszyscy są równi.

— Aha, widzicie! — pomyślał sobie Pawełek i z miłością ujął rękę swego obdartego sąsiada. Ten jednak myślał, że chce go uszczypnąć i zawołał półgłosem: „Daj ty mi spokój, słyszysz!"

Poczem wyjął proboszcz arkusik papieru z kieszeni i rzekł:

— Teraz odczytam wam porządek miejsc, w jakim na przyszłość zawsze siedzieć macie.

— Pocóż jakiś porządek miejsc? — pomyślał sobie Pawełek — skoro przed tronem Boga wszyscy są równi?

Proboszcz mówił dalej:

— Naprzód wymieniam dziewczęta, potem chłopców.

I począł czytać.

Pierwsze już zaraz nazwisko zwróciło uwagę Pawełka, bo to było nazwisko — Elżbiety Douglas. Zobaczył wybujałą, wysoką, bladą dziewczynkę przed sobą z twarzą głęboko przejętą ważnością chwili i źle z czoła zczesanemi niesfornemi, jasnemi lokami,—jak powstała i przeszła na pierwsze miejsce.

— A więc to ty! — pomyślał sobie Pawełek — i razem mamy oboje przystąpić do Stołu Pańskiego.

Serce biło mu gwałtownie z radości a i z trwogi zarazem, obawiał się bowiem wydać jej zbyt nędznym.

— Może już i nie pamięta cię, zupełnie — myślał sobie dalej.

Przypatrywał się jej bacznie, jak ze spuszczonemi w dół oczyma, siadała na wskazanem sobie miejscu, z twarzą uprzejmym rozjaśnioną uśmiechem.

— Nie, ona nie jest dumna — szepnął zcicha, ale dla bezpieczeństwa raz jeszcze spojrzał po swem ubraniu.

Z kolei ksiądz począł wywoływać chłopców. Najprzód wymienił dwóch braci Erdmannów. Ci nie czekając wezwania, poprzednio już sami zajęli pierwsze miejsce a potem posłyszał własne swe nazwisko. W tej chwili Elżbieta Douglas uczyniła to samo co on przed chwilą zrobił. Szybko podniosła głowę i popatrzyła w szeregi chłopców.

Kiedy usiadł już na swojem miejscu i on spuścił w ziemię oczy, bo chciał jej dorównać w pokorze, a kiedy wreszcie je podniósł, spotkał się z jej oczyma, ciekawie w siebie utkwionemi. Zaczerwienił się i zdjął piórko z rękawa swej kurtki.

Wtedy dopiero rozpoczęła się nauka. Proboszcz omawiał przeróżne zdania z biblii i zadawał pytania z katechizmu. Elżunia najprzód musiała

odpowiadać. Podniosła nieco głowę i spokojnie z zupełną swobodą odpowiadała na zadawane pytania.

— Do licha, to ci dziewucha ma odwagę — mruknął młodszy Erdmann, siedzący po lewej jego stronie.

Pawełek poczuł, że w nim nagle zakipiało gniewem. Gotów był tu w kościele porządny raz mu wymierzyć.

Niech-no mi raz jeszcze powie na nią „dziewucha“, to już ja go omłócę. Przyrzekał to sobie uroczyście. Ale młodszy Erdmann nie myślał już o niej, zajęty był pakowaniem szpilek w łydki siedzących po za nim chłopców.

Kiedy lekcya została ukończoną, naprzód dziewczęta opuściły parami kościół. Dopiero skoro te były już po za obrębem kościoła, wolno było wyjść z niego chłopcom. Na placu przed kościołem spotkał Elżbietę idącą ku swemu powozowi. Oboje popatrzeli na siebie z pod oka i minęli się wzajem bez powitania.

Przy jej powozie stała podeszła jakaś kobieta z siwemi loczkami u skroni w eleganckim szalu, która musiała czekać na nią na probostwie. Ucałowała Elżunię w czoło i obie usiadły obok siebie w powozie. Powóz ten był najpiękniejszym ze wszystkich, co tu stały, stangret miał czarną futrzaną czapkę z czerwonym, zwieszającym się fontaziem i złote galony u kołnierza oraz na wyłogach rękawów.

Właśnie wówczas, kiedy powóz odjeżdżał, napadli Pawełka dwaj bracia Erdmannowie, którzy go nieco poturbowali.

— Pfe, wstydźcie się, dwaj na jednego — rzekł, i chłopcy skonfundowani wypuścili go ze swych obrotów.

Zadowolniony, szedł ku ojcowskiemu domowi. Południowe słońce migotało po pól zieleni, a w zamglonej oddali toczył się przed nim powóz, malał, malał coraz bardziej, aż zniknął wreszcie jako punkcik czarny wśród lasu.

Skoro powrócił do domu, ucałowała go matka i zapytała:

— No, a jakże tam było?

— Bardzo ładnie wszystko — odpowiedział — a wie mama, że Elżunia z białego dworu była tam również.

Ona wówczas aż zarumieniła się z radości i jęła go dopytywać jak wygląda, czy wypiękniała i co z nim mówiła?

— Nic zgoła—odpowiedział zawstydzony, a kiedy matka popatrzała nań z zadziwieniem, dodał pośpiesznie: — Ale dumną ona jednak nie jest, nie myśl, mateczko.

Następnego poniedziałku, zastał ją już na wyznaczonem dla niej miejscu w kościele. Na jej kolanach leżała książka otwarta, z której powtarzała sobie zadany ustęp.

Niewiele jeszcze dzieci było obecnych a kiedy on usiadł na przeciw niej, zrobiła ruch,

jak gdyby chciała powstać i podejść do niego, usiadła jednak napowrót i uczyła się dalej.

Matka na wychodnem zaleciła mu, aby po prostu sam pierwszy przemówił do Elżuni. Kazała aby przez nią pani Douglas przesłał od matki serdeczne pozdrowienia a również miał się dowiedzieć, co się z nimi wszystkimi dzieje. Przez całą drogę układał sobie długą mowę — w jednej tylko kwestyi nie był zdecydowanym: czy jej mówić po imieniu, czy tytułować „panią". Po dawnemu mówić „ty", byłoby daleko prościej. Matka nawet widocznie uważała to za rzecz zupełnie naturalną, ale „pani" wyglądało daleko właściwiej, daleko jakoś stosowniejszem mu się wydało dla dorastającej panienki ze strony dorastającego też mężczyzny. A że nie mógł na nic stanowczo zdecydować się, więc też i dał pokój przemówieniu do niej. I on również wziął teraz do ręki książkę i oboje, wsparłszy łokcie na kolanach, uczyli się jak na wyścigi.

Jemu nie na wiele się to przydało, bo kiedy następnie podczas lekcyi ksiądz go o coś zagadnął, nie miał już o tem najmniejszego pojęcia.

Powstało przykre milczenie, obaj Erdmannowie śmieli się, wielce zadowolnieni z tej jego porażki a on, purpurowy ze wstydu, musiał napowrót usiąść na miejscu. Nie śmiał już podnieść oczu, a kiedy wychodząc z kościoła zobaczył Elżunię stojącą u drzwi, jakby na kogoś czekała, spuścił szybko oczy i chciał wyminąć ją szybko. Ona je

dnak śpiesznie przystąpiła do niego i pierwsza go zagadnęła:

— Matka moja poleciła mi, abym się zapytała — jak się powodzi teraz twej matce.

Odpowiedział, że dobrze.

— I kazała serdecznie ją pozdrowić — mówiła dalej Elżunia.

— A i moja matka toż samo dała mi zlecenie— odpowiedział, biblię i katechizm obracając w rękach — i tak samo miałem się dowiedzieć, co się dzieje teraz z twoją matką.

— Mama kazała powiedzieć — mówiła dalej, jakby wyuczoną recytowała lekcyę — że była słabszą daleko i często bardzo niewolno jej było wychodzić nawet z pokoju, ale teraz na wiosnę lepiej jest — i czy nie chciałbyś zabrać się z nami do twego domu. Mama mówiła, że mam ci to zaproponować.

— Patrzcie, Meyhöfer się wdzięczy — zawołał starszy Erdmann, który ukrył się za drzwiami kościoła, aby po przez szparę łaskotać wychodzących kolegow trzcinką.

Elżunia i Pawełek popatrzeli na siebie wzajem, zadziwieni, nie pojmowali bowiem znaczenia tej uwagi, że jednak poczuli, iż to musi oznaczać coś bardzo złego, zarumienili się mocno oboje i zaraz rozstali.

Pawełek patrzał za nią, jak wsiadała do powozu i odjeżdżała. Tym razem owa staruszka już nie

czekała na nią. Była to jej nauczycielka, jak się dowiedział. Miała więc własną nauczycielkę nawet.

— Erdmannów jednak bądź cobądź, raz obić muszę— tą decyzyą zakończył swe rozmyślania...

Następne tygodnie przeszły, a on nie miał już sposobności rozmawiania w nich z Elżunią. Ilekroć wszedł do kościoła, niemal zawsze już sie działa na swojem miejscu. Zwykle uprzejmie kłaniała mu się w takim razie, ale na tem też był koniec.

A potem zdarzył się jeden taki poniedziałek, w którym powóz nie czekał na nią. Spostrzegł to natychmiast dochodząc do kościoła i odetchnął swobodniej zaraz, bo ten pyszny stangret w czapce futrzanej, którą latem nawet nosił, wywierał zawsze na niego pewne deprymujące wrażenie. Dość mu było pomyśleć tylko o tym stangrecie, a już czuł się onieśmielonym, bo Elżunia wydawała mu się wówczas istotą z innego jakiegoś świata.

Dziś niemal poufale śmiał jej się ukłonić i wydało mu się, że ona również jakoś serdeczniej ten ukłon jego odwzajemniła.

A kiedy lekcya się skończyła, ona z własnego impulsu przystąpiła do niego i rzekła:

— Dziś muszę pieszo wracać do domu, bo wszystkie nasze konie robią w polu. Mama powiedziała, że mógłbyś odprowadzić mnie kawałek, skoro wspólną mamy i tak drogę.

Czuł się niezmiernie uszczęśliwionym, nie śmiał jednak iść obok niej, dopóki nie minęli domów wioski. Oglądał się też od czasu do czasu z przestrachem, czy gdzie nie czychają nań dwaj Erdmannowie ze swemi przycinkami.

Kiedy jednak znaleźli się już na otwartem polu, samo z siebie już się tak złożyło jakoś, że szli obok siebie.

Było to słoneczne, czerwcowe popołudnie. Biały piasek na drodze iskrzył się tysiącami blasków.... Do koła kwitnęły złoto żółte jaskry i podbiały, a wiatr roznosił puszek badylów w powietrzu.... Od strony wioski dobiegał dźwięk dzwonu, zwiastującego południe... Jak daleko okiem sięgłeś, nigdzie żywego ducha... Wszystko zdało się wymarłem.

Elżunia miała na głowie szeroki kapelusz słomkowy, który ją chronił od słonecznych promieni, zdjęła go teraz i założywszy gumkę na palec, kręciła nim w powietrzu.

— Opalisz się—rzekł, ale że go nieco wyśmiała, i on zdjął z głowy czapeczkę i rzucił ją wysoko w powietrze.

— Ależ ty jesteś wcale wesołym chłopcem — rzekła, uśmiechnąwszy się z zadowolnieniem.

On wstrząsnął głową i czoło zbiegło mu się na powrót w poważne fałdy, które zwykle tak znacznie postarzały twarz jego.

— O, nie — odpowiedział — ja nie jestem bynajmniej wesołym.

— A czemuż to nie? — zapytała.

— O tylu zawsze rzeczach myśleć muszę — odparł — a jeśli kiedy mam ochotę odetchnąć swobodniej i poweselić się trochę, zajść zawsze musi coś takiego, co mi odejmie możność uciechy.

— I o czemże ty tak możesz myśleć? — zapytała.

Namyślał się przez chwilkę, ale nic mu jakoś nie przychodziło do głowy.

— Ot, same głupstwa pewnie — odrzekł.

A potem opowiadał jej o braciach, o grubej ich książce, od początku do końca zapisasej cyframi— tytułu jej zapomniał—a którą oni całą już umieli na pamięć kiedy byli w jego wieku.

— Czemuż i ty się tego nie uczysz, skoro ci to przyjemność sprawia?... — spytała.

— Ależ to mi bynajmniej nie sprawia przyjemności — odpowiedział — ja mam tak tępą głowę.

— Jednakowoż cośkolwiek masz przecież zdolności? — pytała dalej.

— Ależ nie, nic zgoła nie umiem — odrzucił smutnie. — Nie pojmuję niczego, ojciec powtarza mi zawsze, żem taki głupi...

— Słuchaj — z tego sobie nic nie rób — pocieszała go — moja panna Rathmaler zawsze sobie również Bóg nie wie co do mnie upatrzy. Ale ja... ba, ja....

Umilkła; wyrwała łodygę szczawiu z ziemi i gryźć ją poczęła.

— Czy twój ojciec ma zawsze takie błyszczące oczy? — spytał po chwili.

Skinęła głową i twarz jej rozpromieniła się.

— Musisz kochać bardzo — twego ojca?

Popatrzała na niego naprzód zdziwiona, jak gdyby nie zrozumiała zupełnie jego zapytania, potem potwierdziła, o tak — kochała go bardzo.

— I on ciebie także?

— I jak jeszcze!

Teraz i on zerwał również sobie gałązkę szczawiu i westchnął przytem.

— Czemuż ty wzdychasz? — spytała.

Ot, tak, przyszło mu przypadkowo coś na myśl — tłomaczył się — a potem pytał ją ze śmiechem, czy też jeszcze i teraz bierze ją ojciec na kolana czasami, jak wówczas, kiedy on był w białym dworze.

Roześmiała się również i powiedziała, że teraz przecież jest już dużą dziewczyną i że nie powinienby tak niedorzecznych zadawać jej pytań, po chwili przecież wyszło na jaw, że siada często jeszcze na kolanach ojca „tylko nie tak jak na koniu“ oczywiście, dodała ze śmiechem.

— Tak, to był dzień piękny w mojem życiu — wymówił — a ja siedziałem na drugiem jego kolanie. Jakże wówczas musieliśmy być mali.

— A jak byliśmy głupiuteńcy, Boże odpuść! — odpowiedziała mu. — Jak to zabawnie było, przypominam sobie, kiedyś ty chciał gwizdać i nie mogłeś.

— Pamiętasz to jeszcze? — zapytał, i oko jego zabłysło samowiedzą obecnej swej umiejętności.

— Oczywiście — rzekła — a kiedy odchodziłeś, raz jeszcze przybiegłeś i — czy wiesz jeszcze?.....

Wiedział to dokładnie.

— Dziś już umiesz gwizdać zapewne— zaśmiała się — w naszym wieku to już nie jest bohaterstwem — wszakże i ja nawet umiem! — i złożyła usteczka w bardzo zabawny sposób.

Jego zabolało bardzo, że o jego sztuce wyrażała się tak lekceważąco i zastanawiał się nad tem, czy nie lepiej będzie zarzucić w zupełności gwizdanie.

— Czemu tak umilknąłeś nagle? — spytała — czyś i ty się zmęczył?

— O, nie, ale ty — zapewne.

Przyznała, że spacer po piasku w skwarze południa zmęczył ją bardzo.

— To wstąp do nas do domu i odpocznij trochę — zawołał i oczy mu zabłysły, bo wystawił sobie radość jakiejby doznała matka na jej widok.

Ale ona podziękowała mu grzecznie.

— Twój ojciec podobno źle jest dla nas usposobionym, mówiła mi mama, dla tego też i wam nie wolno bywać w Helenenthalu. Twój ojciec mógłby mnie jeszcze wyrzucić ze swego domu.

Zaczerwienił się po uszy.

— Tegoby ojciec nigdy przecież nie zrobił — zawołał i zawstydził się bardzo.

Spojrzała w stronę folwarku Meyhöferów, który zaledwie o trzysta kroków leżał od drogi. Czerwone sztachety połyskiwały w słonecznem świetle i nawet szare, zapadłe stodoły wyglądały jakoś ponętniej, niż zazwyczaj po tych złotych blaskach.

— Wcale tu u was ładnie—rzekła, prawą ręką przysłaniając sobie oczy.

— O, tak — odpowiedział a serce wezbrało mu dumą. — Ale to będzie całkiem inaczej tu jeszcze — dodał po chwili poważnie: — Niech tylko ja wezmę wszystko w swoje ręce.

A potem począł opowiadać jej o planach na przyszłość. Słuchała go uważnie, ale kiedy skończył, powtórzyła raz jeszcze:

— Zmęczona jestem okropnie — muszę odpocząć.

I zabierała się usiąść na krawędzi przydrożnego rowu.

— Nie tutaj, w tym upale—ostrzegł ją—chodź, wyszukamy sobie pierwszy lepszy krzak jałowcu, tam będzie trochę cienia przynajmniej.

Wsunęła rękę pod jego ramię i obezwładniona dała mu się prowadzić przez ugór powydymany kretowinami, jak falujące morze, na którem od strony lasu porozrzucane były pojedyncze krzaki jałowcu, sterczące na równinie, niby rój czarnych gnomów.

Pod pierwszym krzakiem zaraz usiadła a skąpy cień jego okrył w zupełności szczupłą jej postać.

— Ot, tu jest jak raz dość miejsca na twoją głowę — rzekła, wskazując mu jedną kretowinę, która leżała jeszcze w obrębie ocienionym.

Wyciągnął się w całej długości na trawie, głowę złożywszy na kretowinie, z czołem nakrytem rąbkiem jej sukni.

Ona, znużona, oparła się, plecami o gęstwinę krzaku, szukając w jego gałęziach podpory.

— Iglicowe listeczki nie kłują mnie wcale — rzekła — wielce są na nas łaskawe. Zdaje mi się, że moglibyśmy przejść bez szwanku przez wał cierniowy, co strzeże zamku zaklętej królewny.

— Ty może — ale nie ja — odparł z ziemi, ku niej wznosząc oczy — mnie dotąd każdy cierń kłuł do krwi - ja nie jestem królewiczem z baśni, gorzej, ja nie jestem nawet zwykłym szczęśliwcem.

— Jeszcze wszystko to kiedyś się znajdzie — pouczała go;—niepowinieneś dopuszczać do głowy tak smutnych myśli.

Chciał jej coś odpowiedzieć na to, ale nie mógł znaleźć właściwych wyrazów i kiedy tak namyśliwszy się nad odpowiedzią poglądał w niebo, nagle przemknęła wśród przestrzeni jaskółka w powietrzu. Wtedy mimowolnie wydał gwizd przeciągły, jakby ją chciał zwabić a kiedy nie zbliżała się ku niemu, powtórnie gwizdnął, potem raz drugi i trzeci.

Elżbieta roześmiała się, on przecież gwizdał dalej — naprzód nie wiedząc jak, — i nie namyślając się czemu — ale skoro jeden ton po drugim wydzierać mu się począł z ust, zdało mu się nagle, że stał się bardzo wymownym i że tym sposobem może wypowiedzieć wszystko, co mu na sercu ciąży i co wypowiedzieć słowami nigdyby się nie odważył... Wszystko to, co go czyniło smutnym i o co się troskał wyszło na jaw teraz. Przymknął oczy i sam słuchał również jak za niego przemawiały tony. Wierzył święcie, że sam Bóg z niebios zabrał głos za niego i opowiada wszystko, co jego obchodzi, to nawet, z czego on sobie sam nigdy nie zdał jasno sprawy.

Kiedy napowrót otworzył oczy, nie wiedział jak długo tak leżał i gwizdał, spostrzegł tylko, że Elżunia płakała.

— Czemu ty płaczesz? — zapytał.

Nie odpowiedziała mu nic, otarła tylko oczy chusteczką i podniosła się.

W milczeniu szli obok siebie przez chwilę.

Kiedy doszli do lasu, który ciemną, gęstą ścianą rozściełał się przed niemi, ona przystanęła i zapytała:

— Kto ciebie tego nauczył?

— Nikt — rzekł — to mi samo z siebie przyszło.

— A umiesz ty także grać na flecie? — pytała dalej.

Nie, on nie umiał, nie słyszał nawet nigdy gry na flecie, wiedział tyle tylko, że to miała być ulubiona rozrywka „Starego Fryca“ [1]).

— Tego się musisz nauczyć koniecznie.

Wyraził mniemanie, że to prawdopodobnie zbyt trudnem będzie dla niego.

— Powinienbyś sprobować jednak koniecznie— radziła mu. — Z ciebie musi być artysta—wielki artysta!

Zląkł się słów jej. Nie miał odwagi zastanawiać się dalej nad jej myślą.

Kiedy wyszli na przeciwną lasu stronę, rozstali się. Ona poszła dalej ku białemu dworowi — on zawrócił. Kiedy mijał w powrocie krzak jałowcu, pod którym siedzieli oboje, wszystko, co przeżył w tych paru godzinach, wydało mu się snem — i snem też pozostało nadal.

. . . . . .

Dwa czy trzy dni minęły, nim się ośmielił wspomnieć coś o matce, o swej przygodzie, wtedy jednak nie mógł już wytrzymać dłużej i wyznał jej wszystko.

Matka patrzała mu w oczy długo i wreszcie wyszła z pokoju, ale od tego dnia nasłuchiwała potajemnie czy nie podsłucha gdzie jego gwizdania. Niejednokrotnie jeszcze oboje dzieci razem wracali do domu, ale taka godzina, jaką była owa

[1]) Popularna nazwa Fryderyka Wielkiego.

spędzona w cieniu jałowca, nie wróciła dla nich nigdy.

Stokroć przechodzili obok niego, zamieniali z sobą porozumiewające spojrzenia, ale żadne z nich nie śmiało zaproponować, aby raz jeszcze usiąść pod tym krzakiem.

I o grze na flecie nie było już odtąd wspomnienia, Pawełek jednak potajemnie często bardzo o niem myślał. Wydawało mu się to jako coś niebiańskiego, coś niesłychanego, coś podobnego do tej wiedzy, której uczą tablice logarytmów. Tak, gdyby to on był rozumnym i utalentowanym, jak obaj jego bracia! — ale on był głupim, ograniczonym chłopcem, który czuć się powinien szczęśliwym, gdy mu pozwolą pracować dla innych.

Bardzo często zadawał sobie pytanie, jak też to brzmieć może taka gra na flecie i jacy to byli ludzie, co tę sztukę posiadali. Miał o nich wielkie wyobrażenie i wierzył w to, że ich myśli tak musiały być święte, takie podniosłe, jakie jemu w rzadkich tylko chwilach życia przychodziły do głowy, kiedy się zatopił w swem gwizdaniu.

A potem nadszedł raz dzień taki, w którym na własne oczy zobaczyć miał flecistę.

W chmurne, dżyste popołudnie w październiku, kiedy już poczynało się zmierzchać, wychodził on ze szkoły i zwolna szedł ku domowi drogą przez wieś. Wtem do ucha jego dobiegły z szynku, w którym schodziła się zwykle czeladź okoliczna,

szczególniejsze jakieś tony. Nie słyszał ich nigdy jeszcze, ale natychmiast wiedział, że to flet być musi. Wsłuchany, stał przed drzwiami szynkowni. Serce biło mu głośno, jak młotem, członki drżały febrycznie. Tony podobne były do jego gwizdania ale daleko pełniejsze, miększe.— „Tak grać muszą anieli u tronu Boga", pomyślał sobie.

Jedno tylko było mu niewytłomaczonem, jakim sposobem ta gra, co brzmiała taką skargą, taką jakąś tęsknotą mogła zabłąkać się do tak osławionego miejsca. Krzyk, wrzaski podochoconych, brzęk szklanic, co się wraz z grą przedzierały doń przezedrzwi, sprawiały duszy jego ciężką przykrość, nagła ogarnęła go wściekłość; gdyby tak był dorosłym już i silnym, wpadłby tam i rozpędził hałastrę, aby nie bezcześciła swą wrzawą niebiańskiej harmonii tonów.

W tej chwili z wewnątrz drzwi rozwarto, pijany robotnik zatoczył się niepewnym krokiem tuż obok niego — nieznośny dym buchnął mu w twarz z drzwi szynkownianej izby..... Wrzaski stały się głośniejszemi jeszcze... Flet zaledwie zdołał je zagłuszyć i wybić się po nad wrzawę zmieszanych głosów.

Blady zebrał się na odwagę i zanim jeszcze drzwi całkowicie zamknięto, wsunął się przez nie do wnętrza szynkowni... Wciśnięty po za próżną beczkę, stał on sam... Nikt nie zwracał na niego uwagi.

W pierwszej chwili nic nie był w stanie rozróżnić.... Dym tytoniu, opar wódki i hałas zaćmiły jego zmysły i tony fletu przeraźliwe wydały mu się teraz i monotonne, tak że raziły niemal.

W pośrodku krzyczącej i tupiącej ciżby, na wywróconej dnem do góry beczce siedział obdartus z twarzą obrzękłą, zmysłową, z czerwonym nosem i czarnemi, tłuszczem ociekającemi włosami — postać, na której widok Pawełka wstręt przejął... On to właśnie grał na flecie. Skamieniały ze zgrozy i przerażenia, poglądał wciąż na niego chłopczyna. Zdawało mu się, że chyba niebo się zapada i świat cały kończy. Teraz muzykant odłożył flet na bok i rzucił szorstkim, zachrypłym głosem kilka brudnych wyrazów, wlał chciwie w usta wódkę, którą mu podał ktoś z otaczających i począł, nogami takt wybijając, grać jakąś piosenkę uliczną, której słuchacze wtórowali rykiem.

Wówczas Pawełek uciekł z szynkowni i biegł, biegł tak, że nie widział nic, nie słyszał, jak gdyby lękał się przyjść do przytomności.

Kiedy już sam był na łące, po której hulał teraz wicher i siekł deszcz drobny i na skraju której siarczano-żółty pas wieczornego światła mu przyświecał, wtedy dopiero zatrzymał się, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał gorzko...

. . . . . .

Następnej zimy Pawełek zaprzestał zupełnie swego gwizdania, a większy jeszcze czuł wstręt

do gry na flecie. Kiedy o niej pomyślał, stawał mu zawsze przed oczyma obraz tego wyrzutka, który mu zbezcześcił jego tęsknotę.

Elżuni odtąd już nie widywał. Z nastaniem zimnej pory roku, lekcye przygotowawcze do komunii przeniesiono z kościoła na plebanię, a że tam było zbyt ciasno, aby wszyscy przyspasabiający się do komunii razem pomieścić się mogli, osobno zatem zbierali się chłopcy, osobno dziewczęta. Czasami wprawdzie widział mijający go powóz Elżuni, ale ona sama tak była otulona w futra i chusty, że nawet nie mógł rozeznać jej twarzy. Nie miał nawet pewności czy go zauważyła choćby.

W tymże czasie niemało miał przykrości z dwoma Erdmannami, którzy umieli go zawsze dręczyć do żywego. Wobec nich był całkiem bezbronny, bo każdy z nich z osobna w dwójnasób miał tyle co on siły, a przytem napadali go zawsze we dwóch razem a podczas gdy jeden go przytrzymywał, drugi tymczasem okładał bez miłosierdzia. Nie dla tego, by obaj byli z gruntu złośliwymi chłopcami, przeciwnie, względem innych umieli nieraz okazywać się życzliwymi, uczynnymi, wspaniałomyślnymi nawet, ale właśnie jego cicha, zamknięta w sobie natura, była im nawskróś nienawistną, jego nieporadność wyzywała ich swawolę. Nazywali go „milczkiem“, dokuczali, że chodzi wciąż „ze zwieszoną głową“, a kiedy go obili co się zowie, mówili zawsze:

— No, teraz poskarż na nas, będzie to godne ciebie!

W nim gniew i żal do prześladowców wzbierał coraz więcej. Często bardzo czynił sobie wyrzuty, że się zachowuje względem nich tak tchórzliwie, że tak mało okazuje ambicyi i obwiniał się w duszy o nikczemne, służalcze usposobienie. Pewnego dnia, kiedy biegał po zasypanem śniegiem podwórku przed ojcowskim domem, tak rozmyślaniem podżegł gniew w sobie, że postanowił uwolnić się od swych prześladowców, choćby go to nawet kosztować miało życie. Pobiegł do stajni gdzie stał kamień szlifierski, odtopił zamarzłą w korycie wodę i wyostrzył sobie scyzoryk tak, że przecinał skrawek najcieńszej nawet bibułki. Kiedy jednak następnego poniedziałku znowu odniósł porządne cięgi, nie znalazł w sobie dosyć odwagi, aby swój scyzoryk wyciągnąć z kieszeni, i znowu musiał czynić sobie gorzkie za swe tchórzostwo wyrzuty. Odkładał zemstę na raz następny — ale też na tem się skończyło.

I ze strony ojca niemało też znosić musiał. Ten ostatni znowu teraz wszedł w stadyum wielkich planów, a ilekroć nachodziło go to usposobienie, czuł się zawsze istotą wyższą o szerszym ducha polocie i biada było wówczas Pawełkowi, który zwykle był u niego w pogardzie, dzięki swemu drobiazgowemu, pedantycznemu usposobieniu.

— Czemu na tego chłopca nie przeszła ani jedna iskierka mego geniuszu? — mawiał — jakże

wówczas mógłbym go sobie do planów swoich pięknie urobić, wychować. Ale — to idyota — dla niego szkoda czasu i atłasu!

Zamierzał teraz, celem wyeksploatowania swoich torfowisk, założyć towarzystwo akcyjne, zgromadzić znaczne kapitały i przeprowadzić, aby zamianowano dyrektorem z roczną pensyą tylu a tylu tysięcy talarów. Co tygodnia jeździł dwa do trzech razy do miasta i często przesiadywał tam po dwa dni nawet.

— Ciężko idzie — mówił potem, kiedy przespał miejskie libacye — ale i tak ja ich dostanę na wędkę. I ten Douglas, ten truteń musi sobie dać trochę krwi upuścić. Gdybym tylko wiedział jak go zajechać? Helenenthalu nie przestąpi nigdy moja noga już dla tego choćby, aby nie widzieć, jak go spustoszył ten dureń — bo to rzecz pewna — a w mieście nigdy się z nim spotkać nie mogę. Ale krwi muszę mu upuścić — muszę. Jeśli mi nie podpisze korca akcyj, niech go dyabli wezmą.

Pani Elżbieta słuchała tego wszystkiego smutnie, nie odpowiadając mu ani słowem, Pawełek jednak zawsze po takich ojca monologach zdejmował z kołka klucz od szopy, aby z „Czarną Zuzą“ porozmawiać sam na sam nieco. Trudno, klinem wbiła mu się w duszę ta wiara, że przez nią tylko ma dla nich przyjść ratunek.

. . . . . .

Kiedy minęły Wielkanocne święta, lekcye religii napowrót rozpoczęły się w kościele. Chłopcy i dziewczęta po półrocznym rozdziale znowu poczęli się razem schodzić.

Elżunia przez przeciąg zimy zmieniła się bardzo. Wyglądała już teraz na dorosłą niemal pannę. Nosiła półdługie sukienki i grzywkę zfryzowaną nad czołem.

Pawełek ukłonił jej się wielce nieśmiało; wydało mu się, że teraz jest już niestosowną dla niej znajomością — ale ona powstała ze swego miejsca, postąpiła ku niemu kilka kroków i wobec wszystkich uścisnęła mu serdecznie rękę.

Następnej zaraz lekcyi pomiędzy chłopcami poczęła kursować karteczka, która niemałą wywołała wesołość. Na kartce tej, pośród różnych kunsztownych kaligraficznych zakrętasów, figurował następujący napis:

„*Oznajmia się*
o
zaręczynach
Pawła Meyhöfera
i
Elżbiety Douglas".

Pismo było młodszego Erdmanna. Ręka Pawła sięgnęła do kieszeni po scyzoryk, przez chwilę czuł, że mógłby tu, w pośrodku kościoła, rzucić się na swego sąsiada; wydarł mu kartkę z ręki i podarł ją na strzępki.

Elżunia patrzała na niego zdziwiona a proboszcz wezwał go do porządku. Wtedy dopiero uląkł się własnej śmiałości. Erdmannowie jednak pomiarkowali, że na tym jednym punkcie z sobą żartować nie da i odtąd już nigdy nie prześladowali go Elżunią...

Ostatniej niedzieli przed Zielonemi Świątkami miała się odbyć pierwsza komunia. Pawełek całą noc poprzedzającą nie mógł zasnąć ani na chwilę; przed wschodem słońca wstał po cichutku, ubrał się w nowe sukienne ubranie, które mu przysłała na dzień ten poczciwa ciotka, i poszedł przejść się po uśpionem obejściu i rosą osypanych polach aż do torfowiska, które w swej kwiecistej sukience dziwnie uroczyście dziś wyglądało.

W obliczu wschodzącego słońca złożył ręce i począł się modlić z głębi duszy. Od tego dnia rozpocznie nowe, lepsze życie, wszelkich uraz zapomni i kochać będzie swych nieprzyjaciół, jak Chrystus Pan nakazał... Wtem przyszedł mu na myśl nożyk, który niegdyś wyostrzył był na Erdmannów, wyjął go coprędzej z kieszeni i rzucił w grząskie torfowisko. Gorące łzy popłynęły mu z oczu. Złym i przewrotnym wydał się sobie, niegodnym przystąpienia do Pańskiego stołu... Nie śmiał wejść do domu, dopiero kiedy bliźniątka w nowiuteńkich muślinowych sukienkach przybiegły do niego z głośnemi okrzykami radości, lżej mu jakoś zrobiło się na sercu... Uścisnął siostry i poprzysiągł sobie w du-

szy, że zawsze odtąd pozostanie wiernym ich opiekunem i przyjacielem.

Następnie przyszła matka, przybrana w jedwabną suknię wyszarzaną, ucałowała go w czoło i policzki i długo trzymała twarz jego w obu swych dłoniach, wciąż głęboko patrząc w jego oczy. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła nic wymówić więcej nad:

— Mój chłopcze, mój drogi, kochany chłopcze!

Ojciec nawet był dziś w jakiemś niesłychanie dobrem usposobieniu. Pochwycił go za obie ręce i miał do niego długą przemowę, jak powinien się uczyć, zawsze zwracać wzrok na to, co w życiu ludzkiem jest wyższego i dążyć za swoim ojcem, którego wprawdzie prześladowało zawsze nieszczęście i złość ludzka, ale który przecież nigdy się nie zniechęcił i zawsze dążył „ad astra“ do gwiazd, nawet z tej nędznej nory, w którą go wrogi los zepchnął. I marszczył przy tem brwi groźnie i jeżył włosy marsowo, w każdym celu wzniosłość wcielona, wcielona wielkoduszność.

Pawełek ucałował obie jego ręce i przyrzekał wszystko.

O ósmej zobaczył na drodze wiodącej przez folwark przejeżdżającą karetę, której srebrne ozdoby połyskiwały w porannych promieniach słońca.

Długo spoglądał za powozem. Wszystko wydawało mu się snem... Tak mu dziwnie było błogo

na duszy, że czuł jak szczęście to niepokoiło go niemal.

— Czem ja na to zasłużyłem sobie? — zadawał sobie pytanie i począł rozmyślać, jakiem też przyszłem zmartwieniem trzeba okupić tę szczęśliwość. Kiedy bliźnięta przyszły go zawiadomić, że wózek już zajechał, poczuł smutek jakiś i bolesne serca ściśnienie.

W ogrodzie probostwa, w którym kwitły bzy i jaśminy i na którego trawnikach brylantami perliła się rosa w promieniach słońca, stały dwie gromadki ludzkie, jedna biała, druga czarna, odłączone ściśle od siebie. Byli to chłopcy i dziewczęta, mające przystąpić do komunii.

Elżunia w śnieżystej muślinowej sukience, w koronkowej chusteczce skrzyżowanej na piersiach, wyglądała tak uroczo i wonnie jak biały kwiatek tarniny.

Twarzyczka jej była niezwykle blada, oczy miała wciąż spuszczone a w rękach obracała to książkę do nabożeństwa to gałązkę bzu trzymaną.

Pawełek długo się jej przypatrywał, ale ona nie podniosła nań oczu. Nie chciała widocznie żadną myślą światową mącić sobie uroczystego nastroju duszy.

A potem przyszedł proboszcz. Ozwały się dźwięki dzwonu i organ zabrzmiał z murów świątyni — a oba orszaki parami zwolna posunęły się przez kościół ku ołtarzowi.

Pawełek szedł tuż za obu Erdmannami, którzy w długich czarnych surdutach wcale pokaźnie i poważnie wyglądali. Nagle poczucie winy, owego pragnienia zemsty niedokonanej, ze wznowioną siłą mu wróciło. Pochylił się nieco naprzód, trącił ich zlekka w plecy i szepnął z załzawionemi oczyma:

— Przebaczcie mi! Zawiniłem przeciw wam bardzo!

Trącili się obaj łokciami i filuternie spuściwszy oczy, żałosnym odpowiedzieli mu głosem zapoznanej i udręczonej niewinności:

— Mój synu, przebaczamy ci!

Pawełek czuł dobrze, że drwią sobie z niego, ale serce jego tak pełnem było miłości i uczuć pobożnych, że szyderstwa całego świata nie dosięgały go w tej chwili.

Po obu stronach ołtarza ustawiły się dwie gromadki dzieci.

Pawełek rzucił nieśmiałym wzrokiem po nawie kościoła napchanej tłumem ludu, ale nie mógł rozróżnić w tym tłumie nikogo.

Przez ciąg mszy i przemowy proboszcza, wciąż patrzał nieruchomie przed siebie. Wszystko wydawało mu się snem.

W chwilę później poczuł, że kolana jego spoczywają na miękiej poduszce na stopniach ołtarza... Potem odchodząc, widział jak Elżunia zatopiona w gorącej modlitwie, rzewnie płakała i pomyślał sobie:

— Płacz, płacz teraz, niebawem będziesz się śmiała znowu.

A potem zadał sobie pytanie, czemu wszyscy ludzie w ogóle tyle się śmieją, kiedy zsumowawszy życie całe tak niewiele jest na śmiech zasługującego na tej ziemi.

Wtem ozwały się radosnemi tony organy i śpiew chóralny popłynął przez kościół, — wtedy wzrok jego pobiegł w górę przez tęczowe barwy malowanych okien kościoła, przez które wpadały snopy światła.

I kiedy tak patrzał w grę kolorów, przeląkł się nagle. Właśnie po nad ołtarzem, u samego jego szczytu stała olbrzymiej wielkości ponura, w szare szaty przybrana postać kobieca i spoglądała na niego wielkiemi, głęboko zapadłemi oczyma... Istna pokutnica - Magdalena!

Czuł, jak nim wstrząsnął dreszcz lodowaty.

— Kuma-Troska — szepnął i schylił głowę, jakby w pokorze chciał przyjąć wszystko, czem go ona na życie obdarza.

A kiedy ponownie podniósł oczy, słońce świeciło znów wspanialej niż kiedykolwiek, przez różnokolorowe okien malowidła.

Purpurowe i szmaragdowe płomyki tkały promienną aureolę do koła głowy kobiety.

Ona jednak stała smutna pośród tego barw przepychu i spoglądała na niego wielkiemi, zapadłemi oczyma...

Nagle hucznym akordem zakończył organ swą przygrywkę... radośnie uderzyły serca zebranych w kościele... gromadka dzieci pobiegła rzucić się w objęcia rodziców... i z załzawionych oczu Elżbiety padło nań powitalne spojrzenie.

VIII.

Paweł od tej ważnej w swem życiu chwili, począł zajmować się gospodarstwem. Przysięgi, którą sobie uczynił rano w dzień pierwszej komunii, dochowywał wiernie. Pracował jak najostatniejszy z parobków a kiedy matka prosiła go, by się oszczędzał, wówczas całował ją w rękę i mówił:

— Wiesz, mateczko, że tyle mamy do naprawienia jeszcze...

Wieczorem, kiedy czeladź poszła na spoczynek a bliźnięta, nabiegawszy się, usnęły gdzieś wreszcie, wówczas matka i syn częstokroć całemi godzinami siedzieli obok siebie i planowali, rachowali razem; ilekroć jednak powzięli jakieś postanowienie, ilekroć zabłysł im promyczek nadziei, wówczas zdarzało się, że nagle przerażeni spoglądali sobie w oczy i z westchnieniem zwieszali głowy — żadne z nich niewypowiadało jednak jaki to ciężar tłoczy im piersi...

W tym czasie poczęła pani Elżbieta starzeć się raptownie. Długie, wązkie bruzdy twarz jej poprzerzynały, dolna szczęka wystąpiła wyraziście

a włosy przybrały połysk srebrzysty. Z oczu tylko ciemnych, teraz zapadłych głęboko i pełnych smutnej troski, można było jeszcze wyczytać jak piękną niegdyś była.

-- Tak, widzisz, teraz ze mnie już stara kobieta — mówiła pewnego ranka do syna, rozczesując przed lustrem włosy — a godzina szczęścia dotąd jeszcze nie wybiła dla mnie.

— Nie mów tak, mateczko, od czegóż ja tu jestem? — odpowiedział, jakkolwiek w sercu nie miał bynajmniej radosnej nadziei.

Wtedy ona uśmiechnęła się smutnie, pogłaskała go po twarzy i powiedziała:

— Ty mi też właśnie tak wyglądasz, jakbyś szczęście pochwycił za skrzydła... ale nie będę tak mówić — ciągnęła dalej — bo i cóżbym ja poczęła, gdybym ciebie nie miała...

Taka chwila wybuchającego na zewnątrz uczucia musiała im starczyć na długo, często bowiem mijały całe miesiące, w których udręczone serca matki i syna nie śmiały porozumieć się z sobą serdeczniejszem słowem.

Bliźnięta tymczasem wyrastały na parę tęgich, szalejących dzikusów, dla których żadne drzewo nie było zbyt wysokiem, żaden rów zbyt głębokim. Kędzierzawe czarne włosy wiły się im w tysiące przekornych loczków do koła skroni i z po za nich poglądały w świat dwie pary oczu tak pełne figlarności, tak błyszczące trwogą i śmiałością razem, jak gdyby oztery zabłąkane

słoneczne promienie wychylały się z gęstwiny ciemnego lasu.

Śmiechy ich obu rozlegały się od wczesnego poranka do późnego wieczoru po odosobnionym domu folwarcznym, i tem też więcej ciężyła wszystkim cisza kiedy przebywały w szkole lub uganiały gdzieś po za domem po polach i łąkach.

Dla bliźniąt wszystko było obojętne. Czy blask słońca, czy burza w domu, one miały zawsze głowy pełne figlów, a jeśli kiedy wybuchy ojcowskiego gniewu były tak gwałtownemi, że uznawały za bezpieczniejsze skryć się przed niemi po za piecem, wówczas wynagradzały sobie tę przymusową spokojność przynajmniej wzajemnem szczypaniem się po nogach.

Dla Pawła żywiły miłość bezgraniczną, co im nie przeszkadzało wszakże najlepsze kęski z jego talerza, najbielsze kartki papieru z jego teczki — uważać za swoją własność i jako taką reklamować dla siebie, bo kradły jak sroki.

Niemało się on biedny nakłopotał o nie, bo lękał się, że coraz więcej dziczeć będą, ponieważ matka z każdym dniem słabsza, coraz już bezsilniejsza i coraz bardziej zniechęcona, pozwalała na wszystko, nie o wiele się mogąc i chcąc troszczyć. Ale próby swe wychowawcze zaczynał wielce niefortunnie, nie umiał się jakoś zabrać do tego właściwie. Upomnienia jego nic nie skutkowały a raz kiedy właśnie rozpoczął najpiękniejsze moralne kazanie, stało się, że jedna z dziewczynek najnie-

spodziewaniej wskoczyła mu na kolana, pochwyciła go za nos i obróciwszy się do siostry zawołała:

— Ty, słuchajno, jemu się już puszcza broda!

Na skutek tej obserwacyi wskoczyła mu i druga na kolana i obie na wyścigi próbowały skubać mu wargi. Kiedy wreszcie naprawdę już się rozgniewał, rozpłakały się głośno:

— Pfe, nie będziemy już z tobą odtąd nic mówiły.

Elżbiety od dnia pierwszej komunii już nie widywał, jakkolwiek od owej epoki upłynął już rok cały.

Mówiono, że wysłana została w tym czasie do miasta, aby tam nabyć „towarzyskiego wykształcenia“. To słowo sprawiło mu dziwną przykrość, zaledwie wiedział co ono oznacza, ale czyż to nie jasne było, że teraz już ona coraz, coraz to więcej od niego się oddalała.

Wtem pewnego dnia około Wielkanocy zdarzyło się, że poszedł uprawiać pole, które było nieco oddalonem od reszty posiadłości i leżało nieopodal lasu.

On sam siał, a parobek z parą koni bronował za nim.

Białą płachtę do siewu przewiązał sobie przez ramię i przypatrywał się w niemem zadowoleniu, jak spadające ziarna padały, niby złota kaskada, połyskując w słońcu. Wtem wydawało mu się, że z po za ciemnych pni lasu widzi przebły-

skający biały jakiś przedmiot, który podnosi się i spada wahadłowym ruchem — jak kołyska zawieszona w powietrzu. Ale nie zadał sobie pracy baczniejszego zwrócenia na ten przedmiot uwagi, bo siew jest pracą, wymagającą pilnej uwagi.

Tak nadeszła chwila odpoczynku, przeznaczona na śniadanie. Parobek usiadł na worku ze zbożem, on sam zaś, ponieważ zgrzał się bardzo, poszedł w stronę lasu, szukając cienia.

Rzucił przelotnie spojrzenie ku owej bujającej się w powietrzu kołysce i pomyślał:

— Musi to być pewnie hamak—ale o tego, który w nim leżał, nie troszczył się zupełnie.

Nagle zdało mu się, że posłyszał jak ktoś go woła po imieniu:

— Pawle, Pawle! — Głos był donośny, miękki, milutki i wydał mu się jakimś znajomym.

Przestraszony obejrzał się.

— Pawle, chodźże tutaj — wołał ten sam głosik ponownie. Przeszło go zimno i gorąco naprzemiany, bo teraz już wiedział kto go woła.

Objął jednem spojrzeniem, zażenowany bardzo, ubiór swój od pracy i właśnie chciał odwiązać płachtę z ziarnem, kiedy spostrzegł, że węzeł wykręcił mu się gdzieś na kark i że go dosięgnąć nie zdoła.

— Ależ chodź, tak jak jesteś — wołał głos i zobaczył teraz górną połowę ciała podnoszącą się z hamaku, z którego zsunęła się równocześnie na murawę książka w czerwono-złotej oprawie.

Z wahaniem postąpił bliżej, starając się nieznacznie oczyścić sobie o mech buty, do których przywarło błoto świeżo zoranej roli.

Ona znów w ostatniej dopiero chwili spostrzegła, że jej buciki i biała pończoszka wysunęły się z pod sukni i coprędzej poczęła wyciągać szal, który miała narzucony na ramiona, aby je nim okryć. Ale nie mogła tego dokazać; nie widząc zatem innej rady, podsunęła je pod siebie, tak że siedziała w tej chwili jak kurczę w gnieździe, gdy hamak tymczasem chwiał się gwałtownie na obie strony.

Być może, że zamierzała pierwotnie zaimponować nieco pewnością siebie i świeżo w mieście nabytą ogładą, los jednak tak zrządził, że i ona niemniej była zarumienioną i niemniej zakłopotaną od niego.

On, ze swej strony, nie zauważył zupełnie jej zaambarasowania, widział tylko, że bardzo wyładniała, że włosy jej spięte były w jakiś sztuczny wielce węzeł a biały żabot chwiał się zlekka pod wpływem przyśpieszonego oddechu, na falującem zaokrągleniu. To ostatnie dało mu poznać jasno, że przez ten rok, w którym jej nie widział, przemieniła się już w dorosłą osobę.

Przeszła chwilka, zanim udało się im obojgu przyjść wreszcie do słowa.

— Dzień dobry ci — rzekła nakoniec ona, roześmiawszy się i wyciągnęła ku niemu prawą rękę bo spostrzegła, że ma nad nim przewagę.

Milczał i uśmiechał się do niej.

— Pomóż mi troszeczkę ten szal wyciągnąć — mówiła dalej.

Dokonał tego.

— Tak, teraz się odwróć.

I na to się zgodził.

— Teraz już dobrze.

Napowrót ułożyła się w hamaku i szybko zarzuciwszy na nogi chustkę, poglądała teraz filuternie ku niemu po przez oczka hamaku.

— Prawdziwa to przyjemność dla mnie, że jestem znowu z tobą — mówiła. — Bądź cobądź, ty jesteś najlepszym z wszystkich. A ty, czy też tęskniłeś za mną?

— Nie — odpowiedział zgodnie z prawdą.

— A pfe, wstydź się — odpowiedziała, usiłując niby z gniewem odwrócić się od niego, ale że hamak znowu gwałtownie się zakołysał, pozostała w dawnej pozycyi i roześmiała się głośno z swej nieudałej próby.

On dziwił się w duchu, że była tak wesołą. Prócz bliźniąt, nie słyszał jeszcze dotąd nikogo, coby się śmiał tak serdecznie. Ale tamte to były dzieci.

Ten śmiech jednak wrócił mu swobodę, bo czuł teraz instynktownie o ile więcej on dojrzał duchem w tym czasie od niej.

— Dobrze ci się musiało powodzić zapewne — przez czas ten cały? — zapytał.

— Chwała Bogu — dobrze — odparła. — Mama wprawdzie słabuje nam trochę, ale to i wszystko.

Cień smutku przemknął po jej twarzy, lecz zniknął natychmiast niemal, poczem paplała dalej wesoło:

— Wiesz, że byłam w mieście — ah, słuchaj, co ja tam przeszłam — muszę ci to kiedy opowiedzieć wszystko przy sposobności. Brałam lekcye tańca. Miałam nawet adoratorów — wierz mi. Paradowali na moją cześć pod naszemi oknami, przysyłali bezimiennie bukiety, nawet wiersze, wiersze przez nich samych układane. Był między nimi student uniwersytetu w czerwono-biało-zielonej czapeczce — o, ten umiał nadskakiwać! Co on nie nagadał zawsze człowiekowi — następnie zaręczył on się z Betty Schirrmacher, moją przyjaciółką, to jest właściwie zaręczył się potajemnie, tak że nikt a nikt o tem nie wiedział i nie wie prócz mnie tylko jednej.

Pawełkowi spadł ciężar z piersi, łodetchną spokojniej, bo ten student jakoś dziwnego zrazu nabawił go niepokoju.

— A tyś się nie gniewała? — spytał.

— Czego?

— Że ci się przeniewierzył.

— Nie, myśmy wyżsi nad takie małostki — odparła, wzruszając ramionami. — O, mój kochany — to są wszystko niedojrzałe młodziki, żółto-dzióbki w porównaniu z tobą!

Gorąco przestrachu go przeszło na myśl, że ktoś może niedojrzałym młodzikiem nazwać studenta uniwersytetu i to jeszcze w porównaniu z nim.

— Mój brat nie jest niedojrzałym młodzikiem— odpowiedział.

— Ja nie znam twego brata!— zauważyła z filozoficznym spokojem — może on takim nie jest... tak, tak, ja już dziś znacznie jestem starszą niż przed rokiem — ciągnęła dalej — brałam lekcye literatury—wiele nauczyłam się pięknych rzeczy.

Dręcząca zazdrość zbudziła się w nim nagle.

— Podnieśno tę książkę.

— Uczynił, co mu poleciła.

— Znasz ty to?

Przeczytał na czerwonej okładce złocony napis: „Heinego Księga Pieśni", i wstrząsnął smutnie głową.

— Ah, w takim razie nic nie znasz, bo nie ma nic chyba, coby się dało z tem porównać. — Czegóż tam nie ma, czego nie ma! A kiedy czytasz w tej książce przez chwilę — rad nierad płakać jesteś zmuszony.

— Czyż to takie smutne? — spytał i z nieukrywaną ciekawością spojrzał po czerwonej okładce.

— Tak, bardzo smutne; tak piękne i tak smutne, jak... jak... mowa tam tylko o miłości, o niczem więcej i czuje człowiek, jak go ogarnia tęsknota, jak chciałby gdzieś ulecieć daleko, nad sine wody Gangesu, gdzie kwitnie kwiat lotosu i gdzie...

Urwała, roześmiała się głośno i zauważyła:

— Ah, to zbyt już głupie — nieprawdaż?

— Co?

— To, co ja plotę.

— Nie—jabym cię tak chciał słuchać przez całe życie.

— Naprawdę? —h cciałbyś? — Ah, słuchaj, jak tu przyjemnie! Zdaje mi się, że jestem w jakiemś niewytropionem ukryciu, kiedy jestem z tobą.

I wyciągnęła się w hamaku, jak gdyby przez jego wiązania oprzeć chciała swą główkę na ramieniu Pawła.

Dziwne uczucie spokoju i szczęścia ogarnęło go, uczucie, jakiego nie doświadczył oddawna.

— Czemu tam gdzieś patrzysz? — spytała...

— Nie patrzę nigdzie.

— Jednak.. Powinieneś na mnie patrzeć, ja to tak lubię... Masz takie poważne, serdeczne oczy. I słuchaj, teraz wiem już z czem dadzą się porównać te pieśni!

— No, z czemże?

— Z twojem gwizdaniem. To jest także takie... takie... no, ty już wiesz, prawda?... Czy i teraz gwizdasz czasami?

— Rzadko!

— A i na flecie pewnie dotąd grać się nie nauczyłeś?

— Nie!

— A, pfe! — Jeśli mnie kochasz, musisz się nauczyć... A na przyszły raz przyniosę ci tu flet ładny.

— Kiedy ja nie mam nic, czembym ci się mógł odwzajemnić za ten podarek.

— O, i owszem. Podarujesz mi wszystkie te pieśni, które na nim wygrasz. A jeśli ci będzie kiedy bardzo ciężko na sercu... wtedy poczytaj tylko trochę z tej książki — tam znajdziesz wszystko.

Paweł oglądał ją na wszystkie strony: „Co to musi być za dziwna książka!“ — myślał sobie.

— A teraz, opowiedz mi coś o sobie! — rzekła. Co robisz? Czem się zajmujesz? Co porabia twoja kochana, dobra mateczka?

Paweł spojrzał na nią z wdzięcznością. Czuł, że dziś mógłby mówić, mógłby wypowiedzieć jej wszystko co miał na sercu,—wtem nagle przyszło mu na myśl, że godzina oddawna już przeminęła i że parobek z końmi na niego czeka. Do południa musiał się z tem załatwić, bo po obiedzie konie miały iść do miasteczka z furą torfu, którego kazał naciąć potajemnie.

— Muszę wracać do roboty — wybąknął.

— Ah, co za szkoda! A czy prędko z tem będziesz gotów?

— Do południa.

— Tak długo czekać nie mogę, boby się mama niepokoiła. Ale tych dni najbliższych przyjdź tu znów zajrzeć — może mnie zastaniesz. Teraz poleżę tu sobie jeszcze z godzinę i będę ci się przypatrywać. Jak to ładnie wygląda, kiedy z tą śnieżno białą chustą chodzisz tam i napowrót

a ziarno z rąk twych pada jak deszcz złotawy na ziemię...

Podał jej rękę w milczeniu i odszedł.

— Książkę zaś pozostawię ci tu pod drzewem— zawołała za nim — przyjdź po nią, skoro się już z robotą załatwisz...

Parobek uśmiechnął się domyślnie, widząc go powracającego, a Paweł nie śmiał mu spojrzeć w oczy.

Za każdym razem kiedy w swej robocie zbliżył się do miejsca, gdzie ona w lesie spoczywała, podnosiła się wpół w hamaku i powiewając chusteczką posyłała mu pozdrowienie. Około dwunastej zwinęła swój hamak, podeszła na skraj lasu i przyłożywszy do ust obie dłonie rzuciła mu głośno pożegnanie...

On, dziękując, zdjął czapkę, parobek zaś patrzał w inną stronę i pogwizdywał sobie, jak gdyby nie chciał zwracać uwagi na to wszystko...

Podczas obiadu dnia tego, matka ani na chwilę nie spuściła oka z syna a kiedy z nim została sama, przystąpiła doń, wzięła głowę jego w obie dłonie i rzekła:

— Co ci się to zdarzyło, mój chłopcze?

— Dlaczego? — spytał zmieszany.

— Twoje oko tak dziwacznie błyszczy.

On roześmiał się głośno i uciekł, ale kiedy i przy wieczerzy wciąż jeszcze mu się przypatrywała uparcie — pytająco i smutnie zarazem — wówczas zabolało go, że nie miał tyle zaufania do matki,

poszedł za nią i wyznał jej wszystko, co mu się przytrafiło tego ranka.

Wtedy zaś jakby promień słoneczny rozświeciło jej coś twarz stroskaną a kiedy z płonącą twarzą wymykał się od niej śpiesznie, poglądała za nim wilgotnemi oczyma i złożyła jak do modlitwy ręce.

Do północy niemal siedział w swej izdebce z głową wspartą na rękach. Tajemnicza książka spoczywała na jego kolanach, ale nie mógł jej czytać, bo ojciec zakazał mu palić światła wieczorem. Trzeba było czekać do niedzieli.

Rozmyśxał tylko, ljaą ona stała się teraz inną. — Gdybyż tylko nie śmiała się tak często! Jej wesołość odsuwała go od niej i całe to w pełni rozkwitające życie, któremu dała się unosić, porywać, oddalało ją bezprzestannie gdzieś coraz to więcej w tę daleką krainę, w której żyją sami szczęśliwi. I chociaż w swej dobroci, w swem ujmującem obejściu pozostała dawną, czuł, że zwolna musi nauczyć się nim pogardzać, boć z niego chłop prosty a jeszcze w dodatku głupi, niezgrabny i niewesoły nawet.

W głowie jego wrzał chaos bezładny szczęścia, wstydu i wyrzutów, które czynił sam sobie, bo czuł, że byłby mógł zachować się daleko lepiej, daleko stosowniej. I do tych uczuć dołączyła się zagadkowa jakaś trwoga, która mu ściskała gardło i zapierała oddech — daremnie jednak badał

i śledził w swej duszy za źródłem tej trwogi, — kogo czy czego się lękał? — nie widział.

Nazajutrz popołudniu, kiedy zajęty był na podwórzu wbijaniem pali, zobaczył na skraju lasu coś białego, co się kołysało w powietrzu. Zaciął zęby z bólu i udręczenia, ale nie mógł przenieść na sobie, aby rzucić pracę.

Jeszcze przez dwa dni z rzędu ów biały punkcik chwiał się na skraju lasu — potem zniknął zupełnie.

W niedzielę rano wyjął ze stolika „Księgę Pieśni" i wyszedł z nią do lasu, — na obiad nie powrócił — a nad wieczorem znalazły go bliźnięta, które na łące się bawiły, — jak leżał pod krzakiem jałowcu i gwizdał, kiedy tymczasem łzy toczyły mu się po twarzy.

Tak przetłomaczył sobie „Księgę Pieśni" na własny swój język...

. . . . . .

Wkrótce potem posłyszał, że pani Douglas zalecili lekarze stały pobyt na południu i że Elżbieta ma jej towarzyszyć.

— Tak będzie lepiej — pomyślał — przynajmniej wtedy nie będziesz sobie nią zaprzątał głowy.

Długo nie mógł się zdecydować, czy ma jej odesłać pożyczoną książkę, czy nie; rad był ją zatrzymać, ale nie pozwalało mu na to sumienie. Czekał na pomyślną jaką sposobność—aż wreszcie dowiedział się, że już wyjechała. Wtedy był uspokojonym.

IX.

Minęło lat pięć—pięć lat pełnych troski i ciężkiej pracy. Paweł gorzkiem prawdziwie uczynił sobie życie; zajęty od wczesnego ranka do późnej nocy, do każdej roboty przykładał pilną swą rękę a co ujął w swe dłonie, to się udawało zawsze. Ale on niemal nie spostrzegał tego, bo o każdej dnia godzinie duch jego wybiegał z troską w przyszłość.

Czoło jego w każdej chwili pomarszczone było w tysiące fałdów, oczy poglądały zamyślone głęboko, zwrócone gdzieś wewnątrz i częstokroć przechodziły dnie całe, całe tygodnie, w których zarówno przy stole, jak przy pracy, nikt słowa nie posłyszał z ust jego.

Nosił w sobie przekonanie, że w gruncie rzeczy cała jego praca, wszystkie zabiegi są bezowocnemi zupełnie. Na wdzięczność ojca nie mógł liczyć nigdy i wprędce nauczył się zbyt wielkiej do tej straty nie przywiązywać wagi, co mu wszakże przychodziło daleko trudniej, to poddawać się cierpliwie temu, by kaprys ojca w jednej godzinie niweczył to, co mozolnie przez tygodnie całe budował.

Kiedy ojciec powracał z swych podróży, zdarzało się nierzadko, że go w obecności parobków nazywał smarkaczem, głupcem i ubolewał gorzko nad tem, że gospodarstwo zdał w tak nieudolne

ręce i w nich pozostawiać musiał, kiedy go obowiązek — nikt nie wiedział, co to był za obowiązek — trzyma zdaleka od domu.

Paweł milczał wówczas, głęboko bowiem w duszy jego zapisanem było przykazanie: Czcij ojca twego i matkę twoją „ojca ze względu na matkę", tak je sobie dopełnił — ale oko jego ponurem, badawczem spojrzeniem śledziło twarze parobków, każdego z nich po kolei, a kiedy dostrzegł, że się który uśmiecha, lub pokryjomu trąca w łokieć sąsiada, tego następnego dnia zaraz odprawiał.

Był wszakże jeden najemnik, który przez cały ciąg niemal gospodarstwa Pawła, pracował na folwarku. Nazywał się Michał Rauczus i był z rodu litwinem. Zamieszkiwał on nędzną odosobnioną lepiankę w polu, niedaleko Helenenthalu; ściany jej obłożone były torfem dokoła, snać dla tego, aby nią nie miotały burze. Miał żonę zdziczałą, rozpuszczoną, która już po dwakroć siedziała w więzieniu i przyuczała dzieci do żebractwa.

Był to chłop tęgi, barczysty, wiecznie milczący i ponury, który pracę powierzoną sobie wykonywał wzorowo i bez szemrania odchodził, kiedy go już niepotrzebowano, natomiast zawsze pojawiał się punktualnie, kiedy się nowa nadarzyła robota.

Paweł z początku nie mógł go znosić, milczące jego bowiem, stroniące od ludzi usposobienie i trwożna, ponura fizyonomia, sprawiły na nim przykre wrażenie, potem raz przyszło mu na myśl

nagle, że i jego własne zachowanie niewiele się różni od zachowania Rauczusa i od tej chwili polubił serdecznie biednego chłopa.

Ojca znów, rzecz dziwna, onieśmielał jakoś ten milczący, ponury robotnik, bo choć po pijanemu nieraz grzmocił parobków wszystkich, jego jednego nie tknął nigdy.

— Zdawało się, że spojrzenia, które nań litwin z pod krzaczastych brwi swych rzucał, trzymały go na wodzy.

Ten robotnik był wiernym Pawła towarzyszem, prawą jego ręką. Jemu mógł powierzyć nawet sprzedaż zboża na targu, on umiał zawsze najwyższe osiągnąć ceny...

Na cichym folwarczku w ciągu tych lat pięciu, zwolna, niepostrzeżenie wielkie zaszły zmiany. Coraz, coraz to bardziej zacierały się ślady ubóstwa, rzadziej i coraz to rzadziej zaglądała bieda do ich stołu. W ogródku widać było teraz ozdobne grządki kwiatów, długiemi rzędami stały tyki cukrowego groszku i szparagowe łodygi a zapadły parkan zdawna już zastąpiony został nowym zupełnie. Trzoda wzrastała co roku odwie, lub trzy cenne krowy a wózek mleczarski, który co rano jeździł do miasta, co pierwszego przywoził do domu grosz wcale pokaźny.

Że mimo to wszystko o poczynającej się choćby zamożności nie mogło być mowy, to było wyłącznie tylko winą ojca, który większą część dochodów, jeśli ich nie przepuszczał przez gardło, tracił na spekulacye jakieś.

Po za jego plecami tylko udało się Pawłowi tak rzecz urządzić, by dla rodzeństwa zebrać co miesiąc po kilka choćby talarów.

Bracia bo potrzebowali więcej niż kiedykolwiek pieniędzy. Maks złożył był egzamin państwowy a teraz miał być bezpłatnym suplentem przez rok cały przy gimnazyum, a Godfryd, urzędnik bankowy, co roku był po parę miesięcy bez zajęcia. Obaj pisali listy błagań pełne na wszelkie możliwe tony, począwszy od humorystycznego: „Pozwól, że cię naciągnę w tej chwili na 30 talarów", aż do rozpacznego: „Jeśli nie chcesz, abym został zgubionym bezpowrotnie, to zmiłuj się nademną i t. d."

Paweł spędzał niejedną noc bezsenną, rozmyślając nad sposobem, jakimby się dało im dopomódz i nierzadko zdarzało się, że sobie odejmował od ust, aby im tylko posłać.

Raz napisał Godfryd, że jest całkowicie obdarty i że nieodbicie potrzebuje letniego garnituru. Paweł zamierzał był właśnie sprawić sobie odświętny tużurek, bo z dawnego wyrósł już był zupełnie, z westchnieniem zapakował odłożone na ten cel pieniądze w kopertę i posłał je bratu, w liście jednak do tej posyłki dołączonym coś o tem nadmienił, że i z jego garderobą nie lepiej rzecz stoi. Brat okazał się wspaniałomyślnym i we dwa tygodnie później przysłał mu paczkę dobrze podniszczonych sukien wraz z następującym listem: „Przy niniejszem posyłam ci mój przenoszony

garnitur. Ty, w skromnej twej pozycyi, będziesz go umiał zapewne zużytkować jeszcze".

I bliźniętom umożliwił Paweł przyszłość świetniejszą niżby spodziewać się było można po szczupłych środkach, któremi dom rozporządzał. Wyrobił to, że siostra proboszcza, była nauczycielka, przyjęła je do swego pensyonatu, który założyła dla córek zamożnych właścicieli.

Opłacanie wpisu szkolnego nie było tu jeszcze najtrudniejszą rzeczą— książki i kajety także się jakoś znalazły zawsze — ale co było najtrudniejsze, to utrzymanie w porządku garderoby dziewczynek, duma jego bowiem nie mogła znieść tego, by jego siostry miały pozostawać w tyle za innemi koleżankami i przez nie być uważane na dzieci nędzarzy. Zbyt dobrze znanem mu było to uczucie lekceważącej kolegów wzgardy, aby miał go życzyć swym siostrom.

W matce nie znajdował już podpory w tych czysto kobiecej natury troskach. Biedaczka wieczystem wymyślaniem ojca tak bardzo była zahukaną i onieśmieloną, że nie miała nawet odwagi kupienia bodaj skrawka wstążki na własną odpowiedzialność.

— Co ty uczynisz, mój synu, zawsze będzie dobrze — mówiła mu i Paweł jechał do miasta i po zwalał się obdzierać kupcom i krawcowym.

Bliźnięta rozkwitały rzadką pięknością, wzrastały, nie troszcząc się o nic, swawolne, wesołe,

nie domyślając się nawet tragedyi, jaka się odgrywała w najbliższem ich otoczeniu.

W dziesiątym roku staczały bójki z wiejskiemi chłopakami, w dwunastym chodziły razem z nimi kraść gruszki, a w piętnastym przyjmowały od nich bukiety fiołków...

Daleko i szeroko biegła ich sława, uważano je bowiem za najpiękniejsze w okolicy dziewczyny. Paweł wiedział o tem dobrze i dumnym był niepomiernie z tego; czego nie wiedział jednak, to że siostry jego naznaczały sobie schadzki po za ogrodowym płotem i że połowa przynajmniej tych chłopców, którzy wraz z niemi przystępowali do pierwszej komunii mogła z czystem sumieniem pochlubić się tem, że całowała różane ich, słodkie usteczka.

X.

Było to w czerwcu, w słoneczne, niedzielne popołudnie.

Z lasu dobiegały stłumione trąb odgłosy. Dziś obchodzono tam wielką uroczystość. Wędrowna orkiestra dała się skłonić do dania jednego koncertu. Ze wszech stron napłynęli mieszkańcy okolicznych wiosek, nawet właściciele znaczniejszych tych stron majątków nie wzgardzili zaproszeniem i przyrzekli swój udział w zabawie, coś podobnego bowiem nie zdarzało się często w cichej okolicy.

Od południa począwszy, przejeżdżały długie szeregi wozów i powozów drogą około folwarku i stary Meyhöfer, który rad był zawsze ze sposobności niesiedzenia w domu, zwłaszcza też, gdy gdzieś tylko się coś działo, pod wpływem nagłego jakiegoś napadu dobroci zawołał na kobiety, aby się prędzej zbierały, choć się dla nich poświęcić bowiem i zawieźć je na ów festyn.

Bliźnięta, które już oddawna z błyszczącemi oczyma wyglądały przez okno, wybuchnęły głośną uciechą. Pani Elżbieta uśmiechnęła się do nich w milczeniu, a potem zwróciła się do Pawła, który siedział w kącie i spokojnie strugał dalej pręciki do kwiatów, jakby go wszystko to nic nie obchodziło zgoła.

— A ty, czy nie pójdziesz z nami? — spytała.

— Paweł może powozić — zawołał Meyhöfer w przystępie łaskawości.

Podziękował ojcu i oświadczył, że surdut jego zbyt jest zniszczony, a potem skontrolować musi robotników, którzy zgłosić się mieli o zachodzie słońca. Jutro miano rozpocząć zbiór siana.

Bliźnięta popatrzyły na niego, pochyliły ku sobie głowy i zachichotały półgłosem; potem gdy szedł ku drzwiom, uwiesiły mu się u ramion i Kasia zapiszczała:

— Słuchaj, my coś wiemy!

— Cóż takiego wiecie?

— Coś ciekawego! — przywtórzyła Gosia.

— To powiedźcież nareszcie.

— Elżunia Douglas powróciła do domu...

I wybuchając głośnym śmiechem, pierzchły co prędzej, każda w swoją stronę.

Paweł naprzód doznał uczucia wielkiego gniewu, że ośmieliły się drwić z niego, potem wreszcie zadziwił się, że mu serce nagle poczęło bić tak głośno.

W pół godziny później odjechała cała jego rodzina.

— Przyjdź tam za nami niedługo!—wołała nań matka z wózka jeszcze, a Kasia, stojąc na stopniu, szepnęła mu w ucho:

— Zdaje mi się, że i oni tam będą.

Stał teraz sam jeden na opustoszałym dziedzińcu... Dziewki poszły na łąkę do krów dojenia,— nie było nigdzie żywej duszy w całym domu.

Kaczki w kałuży pochowały główki pod skrzydła, pies łańcuchowy ospale kłapał szczękami, łapiąc przelatujące muchy.

Paweł siadł na ogrodowym płocie i poglądał ku lasowi, na skraju którego migały odblaski jasnych sukien kobiecych lub od czasu do czasu zaświecił blask jasny, ilekroć promienie słoneczne odbiły się w błyszczących zaprzęgach stojących pod lasem powozów.

Wieczór nadszedł. Wciąż jeszcze wahał się, czyby się ośmielić podążyć tam za resztą rodziny.

Tysiące przyczyn przychodziło mu na myśl, dla których obecność jego w domu koniecznie była potrzebną a kiedy już pojął dokładnie, że należy do domu i tylko wyłącznie do domu, że po za nim będzie zawsze na niewłaściwem miejscu wówczas przywdział świąteczne ubranie — i poszedł na festyn.

Poczęło już sciemniać się, kiedy szedł polem. Serce ściskała mu tajemna trwoga. Nie śmiał rozbierać jej powodów, kiedy jednak mijał krzaczek jałowcu, pod którym niegdyś wygwizdał Elżuni najpiękniejszą swą piosenkę, poczuł dojmujący ból w piersiach, jakby otrzymał pchnięcie nożem.

Stanął i począł się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby dlań zawrócić...

— Moje ubranie zbyt jest jednak zniszczonem— myślał sobie — niepodobna mi w niem pokazać się w przyzwoitem towarzystwie.

Zdjął surdut i począł mu się przyglądać bacznie ze wszystkich stron. Szwy pleców odznaczały się szarzejącemi pasami, łokcie połyskiem srebrnawym a brzegi klap na piersiach obrzeżone były nawet nieznaczną frendzelką strzępków.

— Przy najlepszej woli niepodobna — rzekł a potem usiadł pod krzakiem jałowcu i marzył o tem jak elegancko będzie wyglądał, kiedy wreszcie uda mu się dojść do sprawienia sobie nowego surduta.

— Ale nie tak to pewnie prędko jeszcze nastąpi — ciągnął dalej. — Pierwej Maks i Godfryd

muszą silnie stać już na własnych nogach; pierwej Kasi i Gosi trzeba sprawić balowe sukienki których tak pragną i fotel matki obić na nowo... a im dłużej myślał, tem więcej przychodziło mu do głowy rzeczy, które przed jego sprawunkiem miały pierwszeństwo.

Potem znowu wyobraził sobie, jakby wyglądał w nowiuteńkiem, prosto z igły, czarnem ubraniu, w lakierkach, w krawacie modnego koloru na szyi, jak z dumnie podniesioną głową i niedbale eleganckiem obejściem wchodzi na salę balową, kiedy tymczasem Elżunia z daleka uśmiecha się doń z poważaniem, jak do równego sobie stanowiskiem.

Nagle otrząsnął się z tych marzeń.

— Pfe, toż ze mnie głupiec i pyszałek! — łajał się surowo — cóż ja mam wspólnego z lakierkami i modnym krawatem, — a teraz za karę właśnie pójdziesz w starym surducie do lasu. Zresztą teraz już zciemniło się niemal całkowicie — dodał przezornie.

Głośniej zabrzmiały trąby. Okrzyki i śmiechy dochodziły do jego ucha z pośród gęstwiny sosnowych gałęzi.

Okrągła polanka w lesie zamienioną była na salę balową. W pośrodku wznosiła się trybuna dla muzykantów, po prawej ręce mieściła się budka, w której szynkarz wioskowy sprzedawał kwaśne piwo i słodkie ciastka, po lewej zaś stronie odgrodzona była przestrzeń przeznaczona na

arenę tanecznych popisów, do której za wstęp płaciło się osobno dziesięć fenigów, jak to można było wyczytać z napisu na wielkiej drewnianej tablicy.

Szerokim kręgiem dokoła porozstawiano stoliki i ławki, gdzie przybyłe rodziny spożywały przywiezioną z sobą wieczerzę a po za tem cisnął się śmiejący, wrzawliwy, gapiący się tłum, żądny miłości i szturchańców.

Koncert już się był skończył a rozpoczął taniec; na ubitym twardo mchu leśnym kręciły się kołem pary zdyszane i potykające się co chwila.

Odblask wieczorny leżał jeszcze na polanie, kiedy do koła tymczasem gąszcz lasu już w zupełnej pogrążona była ciemności. Tu mieścili się parobki i dziewki z najbliższych wsi okolicznych, nawet woźnice przechodzili z kozłów, zwabieni widokiem zabawy. Każdy krzak zagaju zdawał się żywym a z łona nocy dochodził szept cichy zakochanych.

Nieśmiało, jak złoczyńca, skradał się Paweł dokoła polanki. Lęk przed obcymi ludźmi był zawsze już jego właściwością, nigdy jednak jeszcze nie dręczyła mu serca taka obawa jak w tej chwili.

— Czy też tu jest Elżunia? — Nigdzie w tłumie nie mógł dopatrzeć i śladu mieszkańców „białego dworu“, ale też i jego rodzina zniknęła gdzieś bez wieści. Raz zdało mu się, że gruchający śmiech

bliźniąt dobiegł jego ucha, ale w następnej zaraz chwili zgłuszyła go ogólna wrzawa.

Dwa razy obszedł już do koła polanę, wtem nagle — zdawało się, że serce bić mu przestanie z przestrachu i rozkoszy — zobaczył tuż przed sobą ojca i matkę razem z rodziną Douglasów, siedzących w najpiękniejszej zgodzie pospołu przy jednym stole.

Ojciec, oparty łokciami na stole, perorował coś z wielkim zapałem, cały czerwony, zwracając się wciąż do pana Douglasa. Barczysty olbrzym z gęstą, siwą brodą, słuchał go w milczeniu, kiwał czasami głową i uśmiechał się zlekka tylko, jakby do własnych myśli. Wychudła, chorobliwie blada postać z zapadłemi policzkami i sinemi dokoła oczu kręgami, co znużoną głowę oparła o pień drzewa i szczupłemi białemi palcami obejmowała rękę pani Elżbiety, to była jego chrzestna matka, która mu zawsze wydawała się jakiemś zesłańcem z lepszego świata. Obok niej jednak — obok niej ta panna w prostej bez wszelkich ozdób popielatej sukience z gładko zaczesanemi na tył głowy jasno blond włosami...

„Elżunia, Elżunia“ —ozwało się radosnym okrzykiem w jego piersi a potem nagle obłok jakiś stanął między nim a nią i lodowatem zimnem położył się na jego piersi, a wilgotną zasłoną przysłonił oczy.

Naprzeciw niej siedział pan jakiś z zuchwałą blond bródką i jeszcze zuchwalszemi niebieskiemi

oczyma, który poufale pochylał się ku niej kiedy na jej twarzy tymczasem igrał spokojny uśmiech.

Za tego ona wyjdzie — powiedział sobie z tą pewnością, która była czemś więcej niż zazdrosne przeczucie. Jasnowidzeniem miłości poznał on, że obie te natury uzupełniają się wzajem i jako takie wzajem też szukać się muszą.—Czyż szukać tylko? — Może, może się już znalazły podczas gdy on sam trwonił życie na bezpłodnych marzeniach.

Jak skamieniały stanął i począł bacznie rozpatrywać się w mężczyźnie, który mu nagle uwidocznił co stracił — stracił, to prawda, nigdy jednak nie posiadając.

Jakżebo kiedykolwiek ośmieliłby się mierzyć z tamtym! Takim, takim właśnie co do joty, wystawił sobie męzki ideał, o którym marzył zawsze.

Śmiały, energiczny, pewien zwycięztwa—takim on sam chciał być kiedyś w przyszłości — takim samym właśnie jak ten młodzieniec nieznajomy, który z lekkomyślnym uśmiechem poglądał teraz ku Elżuni. Miał nawet lakierki, krawat modnej barwy i suknie z cieniutkiego, czarnego, połyskującego sukna.

Z godzinę tak może stał Paweł, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca, oczyma pochłaniąc wciąż Elżunię i jej vis-à-vis.

Noc zapadła. On ledwie to zauważył.

Długie rzędy lampionów pozapalano i niepewny półzmrok tych światełek oświecał tłum różnobarwny.

— Jak ja tu jestem pysznie ukryty przed ich wzrokiem — myślał sobie Paweł, rad z tej ciemności, w której udało mu się schować. Nie zauważył, że dwóch ludzi podeszło w tę stronę i w jego pobliżu zaczęli coś manewrować na ziemi. Wtem nagle, zaledwie o trzy kroki od niego, zapłonął purpurowy ogień bengalski, który wszystko do koła zatopił w olśniewającej powodzi światła.

Śpiesznie chciał się ukryć w cieniu pnia, ale już było zapóźno.

— Czy to nie Paweł tam? — zawołała matka.

— Gdzie? — spytała Elżunia ciekawie, zwracając się w jego stronę.

— Chłopcze, czego ty się tam kryjesz w ciemnościach? — wrzasnął ojciec.

Rad nierad, musiał już teraz wyjść i czerwony ze wstydu, mnąc czapkę w ręku stał przed Elżunią, która z głową opartą na dłoni poglądała ku niemu z uśmiechem.

— Taki to on zawsze — wiecznie się gdzieś kryje i podkrada — powiedział ojciec, uderzając go po ramieniu a nieznajomy młodzieniec odrzucił sobie włosy z czoła i uśmiechnął się na wpół dobrodusznie, na wpół ironicznie.

Wówczas podniósł się stary Douglas, postąpił ku niemu i pochwycił obie jego ręce.

— Głowa do góry, młody mój przyjacielu, i pierś naprzód! — zawołał stentorowym swym lwim głosem. — Nie masz potrzeby spuszczać oczu — ty

mniej niźli ktokolwiek na całym świecie! Kto w dwudziestu latach tyle dokonał, co ty dokonałeś, ten jest człowiekiem całą gębą i nie potrzebuje nikomu ustępować z drogi ani kryć się przed nikim. Nie chcę wbijać cię w próżność, ale spytaj, kto tego dokaże, czegoś ty dokazał! Może ty, Leonie?—zwrócił się do młodego eleganta, który z wesołym odparł mu śmiechem:

— To trudno, wujaszku, mnie trzeba brać takim, jakim jestem i takim też spożytkować.

— Gdybyż przynajmniej było co w tobie, coby spożytkować było można! — odciął Douglas. — Ten ot jegomość właśnie to mój siostrzeniec, Leon Heller, sowizdrzał w nowem wydaniu...

— Wuju, wyzwę cię!

— Cicho, dzieciuchu!

— Wuju — dwadzieścia kufli — kto pierwszy będzie leżał pod stołem...

— I *ten* nazywa to szacunkiem.

— Wuju — ależ dopiekasz!

— Cicho — przypatrz się temu młodemu gospodarzowi — ma lat dwadzieścia a już całe gospodarstwo prowadzi jak po sznurku.

— No, panie Douglas, toć i ja tam jeszcze jestem — zawołał Meyhöfer, któremu twarz się nieco przeciągnęła.

— Nie ujmując panu bynajmniej — odpowiedział tenże — przyznać przecież trzeba, że pan masz zbyt wiele zajęcia z tem swojem towarzy-

stwem akcyjnem — pan, rzecz jasna, nie możesz się troszczyć o takie drobnostki.

Meyhöfer ukłonił się, mile połechtany w swej próżności, Paweł jednak zawstydził się za niego, bo doskonale zrozumiał ironię tych słów.

Pani Douglas skinęła na niego z uśmiechem, aby się zbliżył, a potem ujęła serdecznie jego rękę.

— Wyrosłeś pan i wyładniałeś — rzekła słabym swym sympatycznym głosem — a jaką już masz pan brodę...

— Ależ proszę, mów mu pani po imieniu — przerwała matka, dziś daleko swobodniejsza jakoś niż zwykle. Pawle, prośże o to twoją chrzestną matkę...

— Proszę, bardzo proszę o to... — wybąknął Paweł, czerwieniąc się znowu.

— Bóg błogosławić ci będzie, mój synu, — wymówiła pani Douglas — boś sobie na to zasłużył—a potem głowa jej, jakby zmęczona, pochyliła się znowu na pień drzewa, szukając tam oparcia.

Paweł stał teraz po za ławką, nie wiedząc co począć z sobą. Po raz to pierwszy, odkąd dorósł, znajdował się w obcem towarzystwie. Wzrok jego padł na Elżunię, która z głową wspartą na łokciu spoglądała ku niemu.

— Cóż to, a ze mną to się już wcale nie przywitasz? — spytała go z figlarnym półuśmiechem.

Poufałe „ty“, dodało mu odwagi. Wyciągnął do niej rękę i spytał, co się z nią przez ten tak długi czas działo.

Cień smutku przemknął po jej twarzy.

— Nic dobrego — odrzekła z cicha — ale o tem później, kiedy będziemy sami.

Posunęła się nieco na ławce i wskazała, aby przy niej usiadł. A kiedy zajmował wskazane sobie miejsce, łokieć jego mimowoli dotknął jej pleców. Przeszedł go dreszcz dziwny, jakiego nigdy w życiu nie doznał.

Leon przez stół podał mu rękę i rzekł ze śmiechem:

— Na zadatek dobrej przyjaźni, mój panie arcywzorze.

— Niestety, nie jestem wart tego, aby mnie ktokolwiek za wzór sobie stawiał — odrzekł mu skromnie.

— W takim razie, bądź pan rad z tego — i ja nim nie jestem. Nie ma dla mnie nic wstrętniejszego, jak taki arcywzór doskonałości...

— Dla czegóż zatem mnie pan tak nazwałeś?

Leon popatrzał na niego zdumiony.

— Ah, pan widocznie wszystko bierzesz na seryo — rzekł po chwili.

— Daruj pan — ja tak mało do żartów nawykłem — odpowiedział, a rumieniec wstydu wybiegł mu na twarz. Kiedy następnie odwrócił się ku Elżuni, zauważył, że dziwnie poważnem, głębokiem spojrzeniem spojrzała mu w oczy. I poczuł w tej chwili błogość nieznaną w głębi duszy. Przeczuł, że jest ktoś, co go nie uważa za ograni

niczonego i śmiesznego, co zrozumiał jego naturę i prawa, które nią rządzą.

Kiedy ci troje milczeli, na drugim końcu stołu ojciec w dalszym ciągu wykładał panu Douglasowi plan przyszłego swego akcyjnego towarzystwa.

— O, bo gdybyś pan tylko miał do mnie zaufanie! — ale nie, co ja mówię? — Tu zaufania nawet nie potrzeba — gdybyś pan po prostu tylko lekkomyślnie nie odtrącał szczęścia, które ci się nadarza — a nie godził się stawać na drodze swemu szczęściu — jeśli w panu tli bodaj iskierka przedsiębiorczego ducha — a, wtedy, wtedy!... Toć tam można zarobić sta tysięcy, pokład torfu tego jest niewyczerpany — po cóż chcieć, panie, innym dać się wzbogacać tam, gdzie samemu wywieźć można krocie! Naprzód!... przez ciemności do światła, to moja dewiza — walczyć będę i dążyć naprzód aż do ostatniego tchnienia. Nie mój to własny interes jest tu w grze, mnie on się wydaje raczej kwestyą dobra całej ludzkości! Chodzi o to, by pozyskać te puste dziś szmaty ziemi dla kultury, chodzi o to, by dla całej tej okolicy wytworzyć świeże soki żywotne, krew świeżą, chodzi o to, by nędzę tej ludności całej zamienić w dobrobyt — — o to, aby stać się dobroczyńcą ludzkości, panie!...

I w tym tonie perorował dalej.

Potem nagle przycisnął już na dobre Douglasa do ściany i jakby mu przykładał pistolet do piersi, wrzasnął:

— A więc chcesz pan przyjąć udział w mojem przedsiębiorstwie?

Douglas pochwycił spojrzenie żony, która oczyma ukazała mu panią Elżbietę i prosząco mrugnęła na męża, wyrzekł zatem w pół gniewny:

— Mniejsza z tem.

Paweł zawstydził się znowu, bo wyczytał z twarzy Douglasa, że dla niego jest to tylko po prostu kwestya wyrzucenia za okno kilkuset talarów. Sam on wiedział aż nazbyt dobrze, że żaden rozumny człowiek nie mógł brać na seryo planów jego ojca.

— Czy nie widziałeś naszych dziewczynek, Pawle? — spytała matka, niemniej widocznie od niego zaambarasowana całą tą sceną.

Nie, nie widział ich nigdzie.

— To idźże, obejrzyj się za niemi, poszły tańczyć, powiedz im, żeby nie tańczyły zawiele, bo się pozaziębiają.

Paweł podniósł się.

— Ja pójdę z tobą - rzekła Elżbieta.

— Czy i mnie wolno pójść z wami, kuzyneczko?—spytał Leon.

— Ty tu pozostań — odpowiedziała najspokojniej, poczem on oświadczył, że teraz z rozpaczy chyba wypadnie mu odebrać sobie życie.

— Wesoły chłopiec — wymówił Paweł z westchnieniem zazdrości, kiedy się wraz z nią przeciskał przez tłumy.

— Tak, ale też nic więcej—odpowiedziała.

— Czy lubisz go?

— Oczywiście — bardzo.

Ona *jednakże* wyjdzie za niego — rozmyślał Paweł.

Do koła nich krzyczał i weselił się tłum zebrany. Jeden z lampionów zajął się a cała gromadka młodzieży usiłowała zerwać go ze sznura. Płonące strzępki papieru unosiły się w powietrzu, krople zaś stearyny pryskały do koła.

Elżunia wsunęła rękę pod jego ramię i głowę o nie wsparła. Powtórnie przebiegł go ten sam dreszcz rozkoszny, którego sobie wytłomaczyć nie umiał.

— Tak, — teraz jestem bezpiecznie ukryta, — rzekła mu szeptem. — Pójdziem później do lasu, mam ci tyle do opowiedzenia — tam nam nikt nie przerwie.

A kiedy tak mówiła, jego z radości przejęła aż przesądna trwoga.

Doszli teraz do ogrodzenia, gdzie tańczono. Huczały trąby a tańczące pary kręciły się w szalonym wirze.

— Czy i my potańczymy? — spytała z uśmiechem.

— Toż ja nie umiem tańczyć — odpowiedział.

— Nic nie szkodzi — odrzekła — do takich rzeczy jest przecież Leon...

Przyszły mu na myśl szalone marzenia dzisiejszego wieczora, kiedy siedział pod krzakiem jałowcu.

— Mam jeszcze twoją książkę, Elżuniu — przemówił po chwili.

— Wiem, wiem — odpowiedziała, podnosząc na niego oczy z uśmiechem.

— Daruj, że...

— Jaki też z ciebie drobiazgowicz! — żartowała. — Leon przez ten czas zniszczył mi całą moją biblioteczkę a teraz chce, żebym mu się za to postarała o nową — bo niema nic do czytania.

Leon — i wciąż tylko Leon!... pomyślał Paweł.

— Cóż, czy dużo z niej przeczytałeś? — zagadnęła po chwili.

— Był czas, żem ja całą umiał na pamięć.

— A teraz?

— Teraz, ah, Boże drogi! — tyle myśleć muszę o najprozaiczniejszych w świecie rzeczach — dziś już to nie znajduje miejsca w mojej głowie.

— I w mojej także nie, Pawle! To dla tego pewnie, że za wiele doświadczyliśmy życia — zatraciliśmy w sobie poezyę.

— I ty także?

Westchnęła.

— Biedna matka! — rzekła potem.

— Cóż to takiego?

— Widzisz, od lat pięciu jestem dozorczynią chorej — rzekła — nieraz więc niejedną smutną przeżyć trzeba chwilę, a kiedy w pokoju pali się nocna lampka, na dworze zaś szaleje wicher, co wstrząsa szybami okien — wtedy nachodzą człowieka przeróżne myśli o życiu i śmierci, o miło-

ści i opuszczeniu — słowem — człowiek wtedy we własnej swej głowie wysuwa sobie własną „księgę pieśni“ już nie czyta cudzych... Ale wyjdźmy z tego gwaru—chciałabym cię o tyle rzeczy zapytać—a tu zaledwie można rozumieć własne słowa.

— Zaraz — rzekł — pierwej tylko muszę...

Oczy jego pobiegły śledząc bacznie ku arenie tańca, wtem po za sobą posłyszał śmiejący się głos męzki.

— Patrzno — widzisz ty tam te dwie małe, co szaleją formalnie za mężczyznami?

Mimowolnie odwrócił się i zauważył dwóch braci Erdmannów, których od lat kilku stracił już był zupełnie z oczu. Przez ten czas byli oni w jakiejś szkole agronomicznej i wyszli na wielkich panów.

— Wartoby trochę pożartować sobie z niemi— mówił drugi. I po tych słowach obaj wmieszali się w koło tańczących.

Wkrótce też spostrzegł Paweł swoje siostry również. Las ciemnych włosów opadł im splątany na czoło, twarze ich płonęły, piersi falowały przyspieszonym ruchem a oczy dziwnym jakimś, dzikim świeciły blaskiem.

— Jakże się wydają szczęśliwe — urocze istotki — wymówiła Elżbieta.

Paweł nagadał im trochę morałów, że tańczą zbyt wiele — ale ledwie zwróciły na niego uwagę i przebiegły z głośnym chichotem, otarłszy się o jego ramię. A kiedy się odwrócił, zobaczył obu-

Erdmannów jak ukryci po za trybuną muzykantów, ztamtąd dawali jakieś porozumiewające znaki.

Bliźnięta tymczasem gdzieś mu się wymknęły a natychmiast niemal znikli też i obaj dawni jego koledzy.

— Chodźmy ztąd — rzekła Elżbieta.

On skinął głową, ale stał wciąż jak wrosły w ziemię.

— Co tobie? — spytała go.

Potarł ręką czoło — ohydne słowo, które posłyszał, nie mogło mu wyjść z pamięci.

Siostry były młode — swawolne — niedoświadczone — nikt nie czuwał nad niemi — cóż gdyby się zapomniały — gdyby... zimny dreszcz przeszedł mu po ciele.

A on, który sobie poprzysiągł, że będzie ich opiekunem i stróżem, on biegł za własną przyjemnością.

— Chodź w las — prosiła ponownie Elżunia

— Nie mogę — wyrzucił gwałtownie.

Zdziwiona, spojrzała na niego...

— Muszę... siostry — nikt nie jest z niemi — nie gniewaj się na mnie...

— To odprowadź mnie do stołu — rzekła.

Uczynił to. Oboje nie mówili już z sobą ani słowa.

W pięć minut później zastał siostry jak pod rękę z Erdmannami zamierzały wymknąć się w las.

— Dokąd? — spytał, zastępując im drogę.

Zmieszane, spuściły w dół oczy, a Kasia wybąknęła:

— Chciałyśmy przejść się trochę.

Bracia Erdmannowie uderzyli odrazu w ton serdecznej uprzejmości, uścisnęli mu kordyalnie rękę i wyrazili gorące pragnienie odnowienia przyjaznych dziecięcych stosunków.

— Pójdziecie do matki—rzekł ostro do bliźniąt a kiedy te się ociągały, wziął je pod ręce i pociągnął w stronę, gdzie siedzieli rodzice...

Stół opróżnił się był do połowy... Państwo Douglas opuścili już festyn.

Wówczas poszedł w las, rozmyślając o tem, co mu też mogła chcieć powiedzieć Elżunia—i o tem, co on byłby znowu jej mógł był powiedzieć w zamian. Ale tak być nie miało widocznie, nigdy już nie miało, — bo ilekroć zdarzyła się sposobność, zawsze stanęło coś temu na przeszkodzie.

XI.

Była to noc Świętojańska. Paproć rozlewała wonie. W srebrzystych obsłonach księżyc zawisł nad ziemią.

W wiosce było wesoło. Porozpalano smołowe beczki, a na łące tańczyli parobcy i dziewki. Daleko widać było migocące w polu płomienie a smętne tony fujarki biegły w ciszę nocną.

Paweł stał u ogrodowego płota i patrzył w dal. Parobcy poszli na sobótkę świętojańską a i sióstr

nie było w domu. Wyprosiły sobie pozwolenie odwiezienia Jadwigi, córki dzierżawcy poblizkiego folwarku, ich rówienniczki, skromnej, cichej dziewczyny, w której towarzystwie widział je chętnie.

Zamierzał czekać aż wszyscy powrócą do domu.

Blask księżyca wyciągnął go na pole. Leżało ono przed nim w głębokiej, nocnej pogrążonej ciszy; tu i owdzie tylko w krzakach jałowcu zabrzęczał komar, jakby zbudzony ze snu. Dzikie goździki schylały różowe swe główki a „królowa-łąk“ przyświecała swą białą wysoką kiścią, jakby się współubiegała o pierwszeństwo z księżycem.

Powolnym krokiem szedł wciąż dalej i dalej, od czasu do czasu potykając się o kretowinę lub o zwój jakiej pnącej rośliny, co mu oplotła nogi. W błyszczących iskierkach świeciła dokoła rosa. Tak doszedł do krańca jałowcowych krzaków, które jeszcze fantastyczniej teraz wyglądały niż zwykle.

Niby mur czarny, stał przed nim las a blask księżyca kładł się na jego wierzchołku jak pokład świeżo spadłego śniegu. Znalazł miejsce, w którem przed laty wisiał hamak — w tajemniczym zmroku jaśniała polanka po przez czarne drzew gałęzie. Coraz, coraz to dalej coś go ciągnęło naprzód. Biały dom zdał się błyszczącym, marmurowym pałacem, gdy wyłonił się nagle przed jego oczyma z swemi balkonami i wysokiemi szczytami. Głęboka cisza panowała na dworskim dzie-

dzińcu. Od czasu do czasu tylko zaszczekał pies, aby zamilknąć natychmiast.

Stanął przed bramą sztachet, ani wiedząc jak tu przyszedł. Pochwycił sztabki oburącz i zajrzał do wnętrza. W blasku księżyca skąpany leżał przed nim obszerny dziedziniec — czarne kontury gospodarskich wozów rysowały się ostro, rzędami równemi ustawione przed stajniami — biały kot przemykał się ku ogrodowemu płotowi, zresztą wszystko było pogrążone we śnie.

Wzdłuż sztachet szedł wciąż dalej. W kupie popiołów po za kuźnią leżała garstka żarzących się węgli, które jak płonące oczy patrzały z ciemności. Teraz poczynał się ogród. Wysokie pnie lip pochylały swe gałęzie nad jego głową a woń jaśminu i wczesnych róż odurzającym owiała mu twarz powiewem. Przez gałęzie krzaków, co rosły pod parkanem, świeciły, jak srebrne wstęgi, żwirowane ścieżyny a kompas, który był dziecięcem jego marzeniem, widniał ponury w dali.

Biały dom coraz więcej występował z zarośli, teraz mógł już niemal zajrzeć w okna. I tu zdało się zasypiać wszystko.

Słyszał to dość często, nawet w „Księdze pieśni" czytał o tem, że zakochany w księżycowe noce stawał przed oknami pani swych myśli i wykonywał na jej cześć serenadę — przy dźwięku gitary lub mandoliny, o ile możności. Tak bywało za pięknych czasów rycerskich, a może i dziś jeszcze we Włoszech i Hiszpanii. Przyszło mu to na

myśl i wyobraził sobie, jakby to wyglądało gdyby on, Paweł, tu jako błędny rycerz uderzył w struny lutni i począł pisać tęskne, miłosne pieśni...

Musiał się aż roześmiać głośno na tę myśl samą a potem przypomniał sobie, że przecież on swój istrument o każdej porze z sobą nosi. Usiadł na brzegu rowu, oparł się plecami o filar sztachet i począł gwizdać—naprzód nieśmiało i zcicha, potem coraz już śmielej i głośniej wreszcie — jak zawsze, kiedy się całkiem dał opanować wrażeniom, tak dalece, iż zapomniał o otaczającym go świecie.

Dopiero, jak zbudzony ze snów głębokich, zerwał się kiedy z przeciwnej strony parkanu posłyszał jak zaszeleściły i zatrzeszczały gałęzie. Przelękły, obrócił się w tę stronę.

Przed nim, po za sztachetami stała Elżunia w białem, nocnem ubraniu i w płaszczyku zarzuconym na nie w pośpiechu.

W pierwszej chwili było mu tak, jak gdyby musiał natychmiast ztąd uciekać, ale członki mu zesztywniały, nie mógł nóg podnieść od ziemi.

— Elżuniu, co ty tu robisz? — wybąknął.

— A ty co tu robisz? — spytała z uśmiechem w odpowiedzi.

— Ja... ja... gwizdałem trochę.

— I w tym celu tu przyszedłeś?

— Dla czego mi przyjść nie było wolno?

— Masz słuszność — *ja* ci tego nie wzbronię z pewnością.

Przycisnęła czoło do sztachet ogrodzenia i poglądała na niego. Oboje milczeli.

— Czy nie zechcesz przyjść tu bliżej? — zagadnęła go po chwili, prawdopodobnie nie wiedząc nawet co mówi.

— Czy mam przez płot przeleźć? — spytał całkiem naiwnie.

Uśmiechnął się.

— Nie — rzekła, wstrząsając głową — mogliby nas spostrzedz z okna a to byłoby niedobrze. Ale pomówić z tobą muszę — czekaj — ja do ciebie wyjdę i pójdę z tobą kawałek.

Popchnęła na bok obluźnioną nieco szlachetę i wymknęła się przez nią, potem podała mu rękę i rzekła:

— Jak to pięknie z twojej strony, żeś tu przyszedł, tak często nachodziło mnie pragnienie pomówienia z tobą, cóż, kiedy cię nigdy wtenczas nie było.

I westchnęła głęboko, jak gdyby zawładnęło nią wspomnienie przykrych chwil życia.

On drżał całem ciałem. Widok tej dziewiczej postaci, co w nocnym stroju tak niepokalanie swobodna stała przed nim, zapierał mu niemal oddech w piersi. W skroniach waliło mu jak młotem — oczy spuszczały się mimowoli ku ziemi.

— Czy nic do mnie nie mówisz?

Błędny uśmiech prześliznął się po jego twarzy.

— Nie gniewaj się — ledwie zdołał wyrzucić z po za ust ściśnionych.

— Czegóż miałabym się gniewać? — spytała — toż ja się cieszę, że raz wreszcie mam cię całkowicie dla siebie. Ale to dziwne jednak — całkiem jak w baśni. Stałam sobie w oknie i patrzałam w księżyc — mama właśnie usnęła — rozmyślając nad tem, czy mogę się położyć — ale taki czułam niepokój w głowie i czoło tak mnie paliło — tak nie mogłam jakoś przyjść do równowagi. Wtem naraz słyszę od strony ogrodu, jak ktoś gwiżdże, tak ślicznie, tak żałośnie, jak to raz jeden tylko w życiu słyszałam i to już dawno, bardzo dawno... „To tylko Paweł być może, nie kto inny", powiadam sobie, i im dłużej słucham, tem więcej utwierdzam się w tem mniemaniu „Ale, zkąd on się wziął tutaj?" — zadaję sobie pytanie, a że mi koniecznie potrzeba było pozyskać całkowitą pewność, zarzucam płaszczyk i po cichutku schodzę na dół. I jestem tutaj, widzisz, a teraz chodź — pójdziemy do lasu — tam nikt nas nie zobaczy.

Wsparła się na jego ramieniu. W milczeniu szli obok siebie łąkami, oblanemi srebrnym blaskiem księżyca.

Nagle obu rękami zakryła twarz i poczęła gorzko płakać.

— Elżuniu, co tobie? — zawołał przestraszony.

Zachwiała się, wiotką jej postacią wstrząsały ciche łkania.

— Elżuniu, czy ja ci nic pomódz nie mogę? — prosił ją.

Wstrząsnęła gwałtownie głową.

— Daj pokój — wymówiła przez zaciśnięte zęby — to przejdzie zaraz.

Chciała iść dalej, ale siły ją zawiodły. Z ciężkiem westchnieniem upadła u przydrożnego rowu w zaroszonej trawie.

On stał przed nią, pełnem współczucia mierząc ją spojrzeniem. „Dać się wypłakać!”, była to reguła, którą niejednokrotnie wypróbował w życiu. Cały poprzedni niepokój odszedł go zupełnie. Tu należało pocieszać, a on w pocieszaniu był mistrzem.

Kiedy się uspokoiła nieco, usiadł obok niej i wymówił cicho:

— Czy nie zechcesz powiedzieć mi, Elżuniu, co ci tak dolega?

— Tak, tego pragnę właśnie — zawołała — wszakżem na to czekała całe trzy lata! Tak długo dławiłam to w sobie, żyłam z tem ciągle, Pawle, i niemal upadam już pod ciężarem, a nie znalazłam nigdzie na całym szerokim świecie człowieka, któremu zwierzyćbym się mogła. Tam we Włoszech, na uroczej Capri, gdzie wszystko śmieje się do ciebie, gdzie wszystko jest jednym hymnem wesela, tam często bardzo pośród nocy wykradałam się nad morze, aby w męczarni mej krzykiem bólu przynieść sobie ulgę. Morze było jedynym moim powiernikiem. A rano powracałam znów na pozór spokojna i śmiałam się jeszcze więcej niż inni, bo matka... oh! matka... matka!—

zawołała i na nowo wybuchnęła rozdzierającem łkaniem:

— Uspokój się, masz mnie teraz, mnie, z którym podzielić się możesz wszystkiem, co cię boli — szepnął jej.

— Tak, ciebie mam — mam ciebie — wymówiła zdławionym głosem i oparła twarz na jego ramieniu. Widzisz, ja to wiedziałam, ale cóż mi to pomogło? — Tyś był daleko — często miałam już ochotę pisać do ciebie, ale lękałam się, że przez ten czas stałeś mi się już obcym i że źle to sobie wytłomaczysz... Teraz, odkąd znów jesteśmy razem, jedną mam już myśl tylko: „Jemu musisz się zwierzyć ze wszystkiego, on jest jedynym, który pojmie twą boleść—on cię zrozumie“.

— Mówże, co ci jest, Elżuniu — prosił.

— Ona umrzeć musi! — wybiegł rozdzierający okrzyk z jej piersi.

— Twoja matka?

— Tak, ona!

— Kto ci to powiedział.

— Profesor w Wiedniu, któremu dała się zbadać. Wobec niej miał minę spokojną i powiedział: „Jeśli się pani będziesz oszczędzać, możesz żyć ze sto lat jeszcze“, ale potem posłał po mnie i zapytał mnie: „Jesteś pani dość silną na to, by módz znieść prawdę?“ — „Proszę pana o nią“, odpowiedziałam mu. Wówczas rzekł mi: „Pani to wyjawić muszę, bo pani jesteś tu jedyną, co nad nią czuwa“. I wtedy zawiadomił mnie, że biedna

matka moja lada dzień umrzeć może — jeśli tylko... tu dał mi całą listę przestróg jak nam z nią postępować należy, przepisów, od których nie wolno odstępować ani na jotę, co do pokarmów, napojów, klimatu, wzruszeń wszelkiego rodzaju i wielu, wielu innych jeszcze. Widzisz, od tego dnia ja drżę od rana do wieczora codziennie i troskam się i czuwam i ani na chwilę nie znajduję spokoju. Czasami nachodzi takie usposobienie, że powiadam sobie „Przecieżeś i ty młoda jak inne i jak inne masz pragnienie życia“, i wtedy staram się cieszyć i śpiewać, ale głos zamiera mi w gardle i znowu czuję się złamaną jak poprzednio. Prawda i to, że matce zawsze okazywać muszę twarz wesołą i ojcu także.

— Ale czemuż nie zwierzyłaś się z tem ojcu?— przerwał jej.

— Miałoż i jego życie być zatrutem? — odpowiedziała.—Nie, lepiej wolę już znieść to sama, niż patrzeć jakby i on cierpiał. On jest wesoły z natury a całą duszą przywiązany do niej — zresztą prędki jest, porywczy i łatwo wybucha, jej tylko jednej przez życie całe nie powiedział przykrego słowa — pozwól mu mieć nadzieję, póki zdoła — ja przed nim tego nie zdradzę.

Oparła głowę na obu dłoniach i patrzała nieruchomie przed siebie.

Jemu na myśl przyszła baśń matki.

— Kuma Troska, Kuma Troska — mruczał w zamyśleniu.

— Co mówisz? — spytała, patrząc nań wielkiemi oczyma, w których leżało pragnienie pociechy.

— Ah, nic — odpowiedział ze smutnym uśmiechem, — pragnąłbym, aby było w mej mocy do pomódz ci!

— Któżby to mógł?

— A przecież może mi się to uda— brak ci było człowieka, przed którym mogłabyś się wyspowiadać ze wszystkiego, co ci cięży na sercu, dla tego też skoro wypowiedziałaś mi dziś wszystko, może lżej ci będzie — wprawdzie i ciebie Kuma Troska pobłogosławiła na życie...

— Co to znaczy? — spytała.

Wtedy opowiedział jej, o ile zapamiętał początek baśni, którą go niegdyś usypiała matka.

— I jakże wyswobodzić się od tego błogosławieństwa? — spytała, wysłuchawszy.

— Ja tego nie wiem — odpowiedział — matka nie chciała mi nigdy dopowiedzieć końca tej baśni. I nie sądzę nawet, aby tu było wyzwolenie. Tacy ludzie, jak my, muszą dobrowolnie wyrzec się szczęścia; choćby ono leżało niewiedzieć jak blisko, im patrzeć w nie nie wolno — bo i tak zawsze smutek jakiś stanie w poprzek ich drogi do szczęścia. Jedyne, co im wolno, to czuwać nad szczęściem innych, troskać się o to, by tym ich drogim, najbliższym — było o ile możności jak najlepiej.

— Ależ ja i dla ciebie chciałabym trochę szczęścia na ziemi — rzekła, podnosząc ku niemu oczy z rzewnym wyrazem prostoty.

— Ja pragnąłbym choć tak jak ty być szczęśliwym — odpowiedział.

— Gdyby tylko nie ta wieczna trwoga! — skarżyła się.

— Z tą obawą wieczną, z tem drżeniem o wszystko, co ci drogie, miłe, musisz się już zapoznać ściśle—ja z nią obcuję bezprzestannie przez całe życie, często nawet nie wiedząc dla czego; to też wytłomaczyłem sobie niezadługo jej powód. Nic to tak bardzo złego — gdyby się człowiek wiecznie o coś nie lękał, nie wiedziałby, na co żyje. — Ale pomyśl nieco nad tem, jak możesz się czuć zadowolnioną: do koła siebie widzisz same szczęśliwe, wesołe twarze, matka czuje się szczęśliwą mimo wszelkie cierpienia — wszakże nią jest?

— Tak, to prawda, chwała Bogu, — odrzekła — nie przeczuwa nawet, że z nią tak źle.

— No, widzisz! — A ojciec niemniej nie domyśla się tego; nie dolega im żadna troska, nie znają co to kłopoty; kochają się wzajem i ciebie kochają oboje, nigdy żadne przykre słowo między was nie padnie, nie zmąci harmonii waszego życia — a jeśli kiedyś zamknie matka twoja oczy na wieczny spoczynek, może je zamknie z uśmiechem i będzie mogła powiedzieć sobie: jednakże zawsze, przez życie całe byłam prawdziwie szczęśliwą! Powiedz mi: czy mogłabyś wymagać czegoś więcej?

— Ale ona nie może, nie powinna umierać! — zawołała gwałtownie Elżunia.

— Czemu nie? — spytał — jestże śmierć czemś tak bardzo złem, tak strasznem?

— Dla niej nie — ale dla mnie.

— O nas samych nigdy nam chodzić nie powinno — odparł surowo, zacisnąwszy usta, — z sobą samym trzeba szybko załatwić rachunek: jest jak chcę, to i wszystko. — Śmierć wówczas tylko jest czemś złem, kiedy przez ciąg całego życia czekało się na szczęście a ono nie przyszło! Wówczas wydawać się musi człowiekowi, że wstaje zgłodniały od suto zastawionego stołu i tego uczucia chciałbym oszczędzić wszystkim tym, których kocham. Patrzaj, i ja mam matkę — a ta matka również pragnęła kiedyś być szczęśliwą, roiła że ma do szczęścia prawo i dziś jeszcze, o! jakżeby nią być chciała — ja jestem jedynym, który jej brzemię troski zdjąć mógłbym, a nie jestem w stanie tego uczynić. Jak sądzisz, co ja też czuć muszę? Widzę jak się starzeje codzień więcej ze zmartwień i nędzy... mogę policzyć zmarszczki na jej twarzy i czole, które tam poorało cierpienie.. usta jej zapadają, broda się przedłuża... od dawna już nie posłyszysz od niej głośniejszego słowa, z dnia na dzień milknie bardziej... i tak cicho którego dnia umrze... a ja będę stał przy jej śmiertelnem łożu i powiem sobie: tyś temu winien, boś jej ani jednego dnia szczęścia nie umiał zgotować!...

— Biedny, biedny z ciebie człowiek! — szepnęła, — czyż ja już w niczem pomódz ci nie mogę?

— Nikt pomódz mi nie może — dopóki ojciec...

Urwał, przestraszony dźwiękiem własnej myśli.

Oboje zamilkli. Długo siedzieli tak nieruchomie obok siebie, dwudziestoletnie, pełne trosk głowy wsparłszy na ręku. Blask księżyca srebrzył ich włosy, któremi łagodny wiatr z lekka poruszał.

Potem cień obłoczka przesunął się po księżycu.

Zadrżeli oboje.

Zdało im się, że owa smutna wróżka, którą oni zwali Kumą Troską, rozpostarła nad niemi ponure swe skrzydła.

— Trzeba wracać do domu — rzekła Elżunia, podnosząc się.

— Idź z Bogiem — odpowiedział on uroczyście.

Pochwyciła obie jego dłonie.

— Dzięki ci — wymówiła zcicha — wielką mi ulgę przyniosłeś.

— A jeśli mnie jeszcze potrzebować będziesz...

— To przyjdę do ciebie zagwizdać — odpowiedziała z uśmiechem.

A potem rozstali się.

Jak we śnie, szedł Paweł przez las ciemny.

Sosny szumiały zcicha... po mchu szarawym tańczyły księżycowe promienie.

— Dziwna to jednak — pomyślał sobie — że mi się wszyscy spowiadają ze swych cierpień — i wywnioskował z tego, że on ze wszystkich najszczęśliwszym jeszcze być musi.

— Albo najnieszczęśliwszym — dodał w zamyśleniu; wślad za myślą zaśmiał się tajemniczo i rzucił czapką w powietrze.

Kiedy wyszedł z lasu na pole jasne, zauważył jak dwa cienie przemknęły przed nim i znikły w mglistej oddali.

Zaraz potem posłyszał po za sobą trzask jałowcowego krzaku.

Szybko odwrócił się i spostrzegł drugą cieniów parę, która po za krzakiem zapadła się jak w ziemię.

— Pole zdaje się dziś ożyło — szepnął i dodał z uśmiechem: Prawda, toć to noc Świętojańska!

Wkrótce po nim wróciły do domu siostry z włosami w nieładzie i rozpłomienionemi twarzami. Oświadczyły, że żona dzierżawcy kładła im do północy karty. Kabała wywróżyła im, że wkrótce dostaną mężów.

Chichocząc się, coprędzej uciekły do swej sypialni.

XII.

Stary Meyhöfer opływał teraz w szczęściu. Przyrzeczenie bogatego Douglasa, że weźmie udział w jego przedsiębiorstwie, podniosło nagle jego szanse do niebywałej wysokości. Uszy, które dotychczas zamkniętemi były przed nim, poczęły chciwie słuchać teraz jego wywodów a w gospodach, gdzie dotąd witano go z uśmiechem na

wpół drwiącym, na poły litościwym, począł teraz uchodzić za wielkiego człowieka.

— Połowę swego majątku zamierza w to włożyć — perorował zebranym dokoła niego; — już nawiązaliśmy stosunki z fabryką Borsiga w Berlinie, która nam chce dostarczyć wszystkich potrzebnych maszyn; z Oldenburga zapisaliśmy sobie technicznego dyrektora a codziennie przychodzą obstalunki i zapytania do nas, po czemu sprzedawać będziemy milion cegiełek torfu.

Następstwem tego było, że poczęto go naciskać, aby rozpoczął wreszcie emisyę akcyj. A kiedy cisnięto się do niego i proszono, aby po tyle i tyle akcyj dla każdego zarezerwował, wtedy prostował się dumnie i mówił, że prawdopodobnie pozostaną one w pewnych a mocnych rękach.

W domu zajmował się obmyślaniem emblematów do listowego papieru przyszłej firmy a we wszystkich jego kieszeniach brząkały pożyczone pieniądze.

Cztery tygodnie minęły od owej świętojańskiej nocy, kiedy nagle z Helenenthalu przyszły dwa zaproszenia, jedno dla młodego pana Meyböfera, drugie dla panien.

„Na zabawę ogrodową“, było wypisane.

— Aha! już się starają o naszą łaskę — zawołał stary — szczury poczuły słoninę!...

Paweł poszedł z swem zaproszeniem, napisanem ręką Elżuni po za stóg siana i w samotności studyował litery z godzinę przynajmniej.

Potem poszedł do swego pokoiku w szczycie domu i stanął przed lustrem.

Znalazł, że broda znacznie mu urosła a z boków tylko pewne okazywała jeszcze braki.

— Jakoś to będzie — rzekł sobie w przystępie próżności, kiedy jednak w lustrze obaczył swoją twarz uśmiechniętą, zadziwił się ile na niej uśmiech wywołał głębokich smutnych zmarszczek.

— Mniejsza z tem, zmarszczki czynią twarz daleko bardziej interesującą — pocieszał się.

Od tej chwili zajętym był wyłącznie tem, jaką też rolę odegra na owej zabawie. Wprawił się przed lustrem w ukłon poprawny, oglądał co rana najlepsze swe suknie, próbując pozacierać na nich ślady zniszczenia.

Zaprosiny te w jego duszy wywołały formalną rewolucyę. Były dlań poselstwem z krainy Obiecanej, którą jak Mojżesz niegdy widział dotąd tylko zdala. A nie darmo przecież człowiek ma lat dwadzieścia.

Nadszedł wreszcie dzień zapowiedzianej zabawy.

Siostry przywdziały muślinowe sukienki i wpięły we włosy ciemne róże. Wciąż przybiegały do lustra i pytała jedna drugą: „A co, czym ładna?“ Ale jakkolwiek na to pytanie chętnie odpowiadały twierdząco, to zaledwie przeczuwały tylko, jak bardzo były piękne. Matka siedziała w kąciku, przyglądała im się i uśmiechała zadowolona.

Paweł biegał tam i napowrót, zakłopotany, — dziwiąc się w duszy, że tak przyjemne zdarzenie tyle nabawiać może człowieka obawy. W ostatnich godzinach uporządkował sobie w głowie najrozmaitsze tematy rozmowy, aby nieprzygotowanym całkiem nie wejść w towarzystwo. Zobaczą, że i on umie układnie prowadzić z damami konwersacyę.

Odkryty kabryolet, pozostałość minionej wspaniałości, zawiózł siostry na zabawę. Z powrotem mieli powrócić pieszo...

Gdy zajeżdali, spostrzegł Paweł przez sztachety ogrodowe migające wśród zarośli jasne sukienki i posłyszał śmiechy licznych głosów dziewczęcych. Jeśli poprzednio już czuł się jakoś nieswój, teraz usposobienie to wzrosło jeszcze.

Na werendzie powitał ich pan Douglas serdecznym śmiechem. Pogłaskał ładne twarzyczki panienek a jego poklepał po ramieniu.

— No, młody giermku, dziś trzeba nam sobie pozyskać rycerskie ostrogi.

Paweł obracał czapkę w ręku i głośnym niedorzecznym wybuchnął śmiechem, za który sam gniewał się na siebie.

— A teraz *allons* do pań! — zawołał pan Douglas, biorąc pod ręce siostry, on musiał iść z tyłu za niemi.

Śmiechy zbliżały się coraz to więcej — słychać też było wesołe męzkie głosy — jemu zdawało się, że idzie na ścięcie. A potem jakaś mgła zakryła

mu oczy — niewyraźnie zobaczył przed sobą niezmierną ilość całkiem obcych twarzy, które jak z po za obłoku na niego patrzały. Przyszły mu na myśl przygotowane temata, ale żaden z nich w tej chwili nie nadawał się do zużytkowania.

Nareszcie zobaczył twarz Elżuni wypływającą z za tej mgły. Miała jakąś broszkę z błękitnych kamieni i uśmiechała się do niego przyjaźnie. Mimo uśmiechu, nigdy nie wydała mu się tak obcą jak w tej chwili.

— Pan Paweł Meyhöfer, mój przyjaciel lat dziecinnych—wymówiła, biorąc go za rękę i oprowadzając dokoła. Kłaniał się na wszystkie strony i doznawał niejasnego uczucia, że się śmiesznym wydawać musi.

— A, otóż i mój arcywzór — ozwał się wesoły głos kuzynka, a wszystkie panny zawtórowały śmiechem.

Nagle wskazano mu miejsce i podano filiżankę kawy.

— Mama położyła się trochę — poszepnęła mu Elżunia — dziś jest cokolwiek znów słabszą.

— Tak — rzekł i uśmiechnął się niedorzecznie przy tem.

Kuzynek Leon zebrał dokoła siebie grono dam i opowiadał im anegdotkę o pewnym młodym referendarzu sądowym, który takim był zwolennikiem słodyczy, że na widok paczki pralinek, której nie mógł posiąść, zamienił się w gło-

wę cukru, niby żona Lotowa w słup soli. Panny śmiały się do rozpuku.

— O, czemuż ty nie umiesz opowiadać podobnych historyek! — pomyślał sobie Paweł a że mu nic lepszego nie przychodziło na myśl, począł zjadać jeden kawałek ciasta po drugim.

Siostry otoczyło natychmiast kilku obcych panów; oczy ich błyszczały wyzywająco, a zręczne, figlarne odpowiedzi z ust się sypały.

Siostry wydały mu się w tej chwili istotami nieskończenie wyższemi.

— Teraz, zabawimy się w grę bardzo ładną, wiecie panie — mówił Leon, zakładając nogę na nogę i rozpierając się niedbale w fotelu. Gra ta nazywa się „rozdawaniem koszyków". Panie pojedynczo przechadzają się, panowie również. Mężczyzna pyta spotkanej panny: „*Est-ce que vous m'aimez?*" a dama odpowiada albo: „*Je vous adore*" i wtedy bierze go sobie za męża na czas gry, albo też w milczeniu daje mu koszyk. Kto zbierze największą ilość koszów, otrzymuje wielką szlafmycę, którą musi nosić przez cały wieczór.

Panny uznały, że to bardzo wesoła zabawa i wszyscy powstali, aby ją rozpocząć. I Paweł wstał również, jakkolwiek gdyby mu dano do wyboru, wolałby gdzie pozostać w jakim ciemnym kącie.

— Jakie to być może to cudzoziemskie słowo?— zadawał sobie pytanie; rad był zapytać się o nie którego z panów, ale wstyd mu było zdradzić się

z swem nieuctwem i tym sposobem zaszkodzić siostrom. Elżunia wraz z innemi pannami odeszła, jej jeszcze najprędzej mógł się poradzić.

Szedł zatem smutnie za innymi, ale kiedy zobaczył zdala pierwszą pannę, z którą trzeba się było spotkać, taka przejęła go straszna trwoga, że coprędzej zeszedł ze ścieżki i wpadł w najgęstszy klomb krzaków.

Tu ukrył się pośród gęstwiny liści i chwastów, usiadł na ziemi i oparłszy łokcie na kolanach, rad był, że uniknął wzroku bawiących się.

A więc to nazywają ludzie zabawą? Dobrze było, że raz wreszcie poznał te ich zabawy, ale podobać, nie podobały mu się one bynajmniej. W domu w każdym razie było przyjemniej — a potem kto wie, czy tam dziewki na czas skończyły żąć, co miały wyznaczone?... czy torfu nieprzeschniętego jak należy, nie poskładano mu w pryzmy?... Tyle roboty było w domu a on tu siedzi i zabawia się w jakieś gry niedorzeczne jak błazen... Gdyby nie Elżunia... ale cóż on dziś ma z niej?... Jak uśmiechała się do niego? tak samo uśmiechała się do każdego z gości, a cóż dopiero do Leona, którego figle i pochlebstwa, sypane wszystkim bez wyjątku, miały dar wywoływania uśmiechów! O, jakiż ten świat zły jest, przewrotny, jakie one wszystkie są fałszywe, — wszystkie, wszystkie!

Posłyszał, że ze szpaleru ktoś go woła, ukrył się więc jeszcze głębiej w swej kryjówce. Duszne, przejęte wilgocią powietrze zwiastowało bliskość burzy.

— Owszem, niech deszcz przepada trochę, ja nie mam nic do stracenia — jęczmień ozimy już posiany.

Zrobiło się cicho w ogrodzie, zdala dobiegał brzęk szklannych talerzyków i łyżeczek, od czasu do czasu tylko mieszały się stłumione śmiechy.

Paweł powstrzymał oddech. Im dłużej przebywał w swej kryjówce, tem pozycya jego stawała się przykrzejszą — nakoniec wydał się sam sobie wielce podobnym do chłopca w szkole, który się schował przed czekającą go od nauczyciela karą Zapach chwastów stawał się coraz przenikliwszym — nieprzyjemny opar począł podnosić się z wilgotnej ziemi — lekka mgła przysłoniła mu widok — szare, stalowe chmury w górze pędziły po niebie, zdala rozlegał się odgłos dalekiego grzmotu.

— To więc nazywa się rozrywką, — myślał Paweł.

Gałęzie poczęły szumieć gwałtownie, gnąć się do ziemi, grube krople deszczu z szelestem padały na liście, wówczas dopiero wysunął się Paweł jak winowajca z swojej kryjówki.

Głośny śmiech chóralny powitał go od strony werendy.

— Idzie nasz klown — zawołał jeden z panów półgłosem.—Pan ten był w Berlinie i widział tam produkcye cyrkowe — reszta mu przywtórzyła.

— Szanowni państwo — wołał głośno Leon, wszedłszy na krzesło — ten arcywzór, zwany Pa-

włem Meyhöferem w sposób niedozwolony uchylił się od sądu towarzystwa. W przewidywaniu, że na niegodną swą głowę ściągnąć mógłby większość koszów, jakie były do rozdania, w karygodnem tchórzostwie...

— Nie pojmuję, dla czego tak mnie pan oczerniasz — rzekł urażony Paweł, który to wszystko brał na seryo.

Nowy olbrzymi wybuch śmiechu powitał te jego słowa.

— Stawiam zatem wniosek, aby za to przewinienie ukarać go włożeniem mu na głowę szlafmycy i proszę o ukonstytuowanie się trybunału *ad hoc.*

— Proszę, przyjmę ją i bez sądu — odpowiedział Paweł podrażniony.

Teraz dość mu już było otworzyć usta, aby nową w całem towarzystwie wzbudzić wesołość.

Oczywiście, ukoronowany został szlafmycą...

— Pocieszniez muszę wyglądać — myślał sobie, bo wszyscy kładli się od śmiechu. Siostry jego tylko nie śmiały się, lecz zaczerwienione po uszy ze wstydu, spuściły w dół oczy a Elżunia patrzała zakłopotana, jakby chciała prosić go o przebaczenie za te wszystkie żarty.

— Klown, istny klown — szeptano sobie w gronie panów.

Wkrótce potem powstała burza. Gromadnie wszyscy pobiegli do domu. Panny pobladły, więk-

sza ich część bała się gromów a jedna zemdlała nawet.

Leon zaproponował, by zasiąść do koła i po kolei opowiadać jakieś powiastki... gdy komu nie przyjdzie nic do głowy, musi dać fant.

Zgodzono się na tę propozycyę. Losy ciągnięto o kolej i jeden z panów rozpoczął wesołą historyjkę z czasów studenckich, która, wedle jego twierdzenia, jemu samemu przydarzyć się miała. Potem przyszła kolej na parę panienek, które wstały dać fanty, a następnie wywołano nazwisko Pawła.

Panowie poczęli krząkać szyderczo a panienki poglądały na siebie porozumiewająco i uśmiechały się zcicha. Wówczas gniew go ogarnął i zmarszczywszy czoło, począł mówić:

— Był raz człowiek, co tak był śmiesznym, że dość było na niego spojrzeć, gdy się miało ochotę pośmiać. On jednak nie pojmował, jakim się to działo sposobem, bo sam przez ciąg całego swego życia nie śmiał się nigdy...

Cisza zapanowała do koła. Uśmiech zniknął z twarzy a ten i ów spuścił w dół oczy.

— Dalej! mów dalej! — wołała Elżunia i skinęła nieznacznie głową z zadowoleniem.

Ale jego przejął wstyd na myśl, że tym obcym sobie ludziom ma pozwolić zajrzeć do głębi swej duszy.

— Nie wiem co dalej — rzekł i powstał.

Tym razem jednak nikt się nie śmiał, na chwilę zapanowało przykre milczenie, potem podeszła doń panienka, która podjęła się zbierania fantów i rzekła z uprzejmym ukłonem:

— W takim razie musisz pan dać fant.

— Chętnie — odpowiedział i odpiął od łańcuszka zegarek.

— Nieprzyjemny jakiś człowiek! — posłyszał, jak jeden z panów rzekł do drugiego. Był to ten sam, który pierwej nadał mu nazwę cyrkowego błazna.

Z kolei teraz opowiadał Leon jakąś nadzwyczaj wesołą, nawet trochę drastyczną historyjkę, ale humor nie chciał już powrócić.

Głucho uderzały krople deszczu o szyby... czarne chmury zaciemniały salon... Zdało się, że owa szara kobieta, ulatując wśród chmur, ponuremi swemi skrzydły musnęła te młode twarze, że tak spoważniały nagle — niby postarzały nawet...

Dopiero kiedy Elżunia usiadła do fortepianu i wesoły jakiś zagrała taniec, zbudziła się napopowrót dawna wesołość.

Paweł stał w kącie i patrzał na tańczących Dawano mu teraz spokój, od czasu do czasu tylko spotykał rzucane na siebie ukradkowe, nieśmiałe spojrzenia.

Bliźnięta szalały w tańcu, ślizgając się po woskowanej posadzce — loki ich powiewały w powietrzu, a w oczach żarzył się błysk dziki, namiętny.

— Niech szaleją, niech się bawią — myślał Paweł — i tak aż nadto wcześnie wrócą w boleść i niedolę.

Ale że dla nich nie było ani niedoli, ani boleści, o tem nie pomyślał.

Kiedy Elżunię zwolniono u fortepianu, przystąpiła do niego i rzekła:

— Nudzisz się pewnie bardzo?

— Nie tak znów—odpowiedział. Toż to wszystko całkiem nowe jest dla mnie.

— Bądź wesoły—prosiła go— wszakże raz tylko żyjemy.

Ale w tej samej chwili podbiegł do niej Leon, pochwycił ją w pół i pomknął z nią w wir taneczny.

— Jednak ona tobie jest obcą— pomyślał Paweł.

Kiedy w tańcu przesunęła się znów koło niego, szepnęła mu w ucho:

— Idź do bocznego pokoju, mam ci coś powiedzieć.

— Cóż ona może mieć do powiedzenia mnie? — pomyślał sobie, ale wykonał co poleciła.

Wpół ukryty za firanką czekał, ale nie przyszła. Z każdą minutą wzrastała w duszy jego gorycz. Przyszły mu na myśl przygotowywane w domu temata rozmowy i szyderczo wzruszył ramionami, myśląc o własnej głupocie. Wydało mu się, że w ciągu tego popołudnia postarzał się i dojrzał o jakie lat dziesięć przynajmniej.

A potem nagle przyszło mu na myśl pytanie: Co ty tu masz do roboty? Co ciebie obchodzą weseli ludzie, którzy śmieją się i wzajem sobie chcą podobać, — co żyją bezmyślnie z dnia na dzień? Głupcem byłeś i nędznikiem kiedyś sądził, że i ty masz prawo się weselić, że i ty mógłbyś być takim jak oni.

Posadzka paliła go pod stopami. Zdawało mu się, że zgrzeszyłby, gdyby bodaj minutę dłużej tutaj pozostał.

Wysunął się do sieni, gdzie wisiała jego czapka.

— Powiedz moim siostrom — prosił służącej, która tam czekała — że poszedłem do domu, aby po nich przysłać powóz.

Odetchnął jak wyzwolony, kiedy drzwi za nim się zamknęły.

Burza ustała — drobniutki deszczyk padał tylko jeszcze jako finał burzy, chłodny wiatr wiał po polu przyjemnie a na skraju widnokręgu, gdzie ostatnie zachodu blaski dogorywały, drgały purpurowe chmury błyskawicami dalekiej gdzieś burzy.

Jak gdyby go gnano, pędził po przemiękłej drodze ku lasowi, który zawarł niebawem szumiącą kopułę swych gałęzi nad jego głową; ten szum leśny działał na niego uspokajająco. Wilgotny mech roznosił woń do koła a z iglic sosen spływały połyskujące kropelki.

Kiedy wyszedł na pole i zobaczył przed sobą leżące w oddali ciemne kontury ojcowskiej zagrody

wyciągnął ku niej ręce i z wichrem posłał ku niej słowa:

— Tu jest moje miejsce — tu ja należę — i nikczemnikiem byłbym, gdybym kiedykolwiek jeszcze szedł w obcy świat szukać dla siebie uciech. Teraz, tu, uroczyście sobie poprzysięgam, że zrzucę z siebie wszelką próżność i zrzeknę się na zawsze wszystkich dotychczasowych pragnień niedorzecznych. Teraz wiem, czem jestem, a co nie nadaje się do mnie, niechaj ginie!

Temi uroczystemi słowy żegnał młodość i jedyne młodości marzenie, jedyny swój sen złoty.

XIII.

Kiedy nazajutrz rano się zbudził, zobaczył matkę siedzącą u swego łóżka.

Jakto, już wstałaś, mateczko — spytał zadziwiony.

— Nie mogłam spać dzisiaj — rzekła cichym głosem, który zawsze tak brzmiał jak usprawiedliwienie tego co mówi.

— Czemuż to? — zapytał.

Nie odpowiedziała, ale rozsunęła mu na czole włosy i uśmiechnęła się doń smutnie; wtedy domyślił się, że bliźnięta wygadały się ze wszystkiem i że martwiąc się o niego, nie mogła już zasnąć.

— Nie tak znów źle było, mateczko — rzekł w tonie pociechy, — ot trochę się pośmieli i zabawili moim kosztem i tyle tylko...

— I Elżunia także?— spytała, wlepiając w niego wielkie zatrwożone oczy.

— Nie, ona nie—odpowiedział— ale...—umilkł i odwrócił się do ściany.

— Ale? — spytała matka.

— Nie wiem — odpowiedział — jednak jest w tem jakieś „ale“

— Może jesteś względem niej niesprawiedliwym — mówiła matka — widzisz, dziś przysłała ci to przez służącą.

Wyjęła z kieszeni jakiś podłużny przedmiot, starannie owinięty w bibułkę.

Był to flet z czarnego hebanowego drzewa, opatrzony błyszczącemi srebrnemi klapkami.

Paweł zarumienił się ze wstydu i radości razem, ale radość wnet minęła a kiedy przez chwilę przypatrzył się instrumentowi, rzekł zcicha:

— Cóż ja teraz z tem poczne?

— Nauczysz się grać na nim — odpowiedziała matka z pewną dumą.

— Zapóźno już — odparł smutnie, wstrząsnąwszy głową — teraz inne rzeczy mam przed sobą, które spełnić trzeba.

Doznawał uczucia, jakby go znaglano do budzenia z grobu czegoś, co zamarło.

— No, ślicznieś się tam podobno wczoraj zblamował — rzekł ojciec, kiedy przy rannej kawie zeszedł się z nim u stołu.

On uśmiechnął się spokojnie, a ojciec pomruknął coś o braku „poczucia honoru“.

Bliźnięta miały dziś wielkie rozmarzone oczy, a ilekroć wzajem spojrzały po sobie, twarze ich przebiegał błysk jakiś błogi. Te przynajmniej były szczęśliwe...

Minęły tygodnie. Żniwa szczęśliwie ukończono, a plon nieuszkodzony złożono do gumien—dzięki niezmordowanym staraniom Pawła. Był to rok błogosławiony prawdziwie, rok urodzaju, jakiego od lat wielu nie pamiętano. Ojciec wszakże rachował już naprzód, jakby dochód ze zbiorów najlepiej mógł użyć na swe torfowe przedsiębiorstwo.

Szeroko rozwodził się znów wszędzie o tych zamierzonych spekulacyach, a im mniej pan Douglas dawał znaku życia, tem więcej on chełpił się po knajpach i wynosił pod obłoki fakt jego uczestnictwa.

— A że już raz puścił się na kłamstwa, trzeba było kłamać coraz dalej i codzień nowe fałsze dodawać do łańcucha dawnych. Pan Douglas, acz cierpliwy na to, co do uszu jego dochodzić musiało, wkońcu, rzecz jasna, nie mógł już dłużej znosić tej swawoli, której się dopuszczano z jego nazwiskiem.

Pewnego przedpołudnia w ostatnich dniach sierpnia, kiedy Paweł razem z Michałem Rauczusem zajęty był pracą na podwórzu, zobaczył zdala kroczącą przez pola wprost ku ich dworkowi wysoką postać sąsiada.

Przeląkł się — wizyta nie mogła żadną miarą wróżyć nic dobrego.

Pan Douglas podał mu rękę serdecznie, ale z pod jego brwi krzaczastych padał blask jakiś złowrogi.

— Czy ojciec w domu? — spytał, a w głosie jego czuć było gniew i irytacyę.

— Jest w pokoju — odrzekł Paweł, któremu aż tchu zabrakło— jeśli pan pozwoli, poprowadzę go do ojca.

Ojciec na widok nieoczekiwanego gościa zerwał się nieco zaambarasowany z krzesła; natychmiast przecież zapanował nad sobą i w swym zwykłym junackim tonie począł:

— Ah, jak to dobrze, że pan tu jesteś, panie... mam tyle z panem do pomówienia koniecznie.

— Ja z panem niemniej! — odrzekł pan Douglas i olbrzymia jego postać stanęła wyprostowana tuż przed gospodarzem. — Jakiem prawem, łaskawco, nadużywasz mego nazwiska?

— Ja... pańskiego nazwiska... panie... jak pan śmiesz — Paweł, za drzwi!

— Niech lepiej tu pozostanie — odrzekł Douglas, zwracając się do Pawła.

— Ma ztąd iść precz natychmiast — wrzasnął Meyhöfer — przecież może jestem jeszcze panem u siebie w domu!...

Paweł opuścił pokój.

W ciemnej sieni spotkał matkę, która ze złożonemi rękami, nieruchomym wzrokiem patrzała

w drzwi, po za któremi słychać było wrzawę podniesionych głosów. Na jego widok wybuchnęła płaczem i załamała ręce.

— Pozbawi nas ostatniego przyjaciela, jakiego mamy jeszcze na ziemi - wyłkała i padła w jego ramiona, wstrząsana konwulsyjnem łkaniem, ilekroć krzyk męzkich głosów doszedł jej ucha.

— Chodź ztąd, mateczko — błagał — zanadto cię to wzrusza a i tak ani przeszkodzić ani poradzić temu nie możemy.

Niezdolna do oporu, dała mu się zaprowadzić do sypialni.

— Daj mi trochę octu — prosiła — czuję, że zemdleję.

Zrobił co chciała, a nacierając jej skronie, z umysłu mówił nadto głośno, aby tylko nie mogła słyszeć donośnych głosów mężczyzn.

Nagle z trzaskiem drzwi się zamknęły — na chwilę zapanowała cisza — złowroga cisza — potem rozległ się brzęk łańcucha i ochrypły wściekłością głos ojca:

— Sułtan — huź go!

— Na miłość Boską, szczuje go psami, — krzyknął Paweł i wypadł na podwórze.

Przybiegł właśnie na czas jeszcze, by zobaczyć jak Sułtan, wielki, zażarty kundel, skoczył na kark Douglasowi, gdy tymczasem ojciec z podniesioną szpicrutą pędził za nim.

Michał Rauczus, włożywszy ręce w kieszenie, przyglądał się temu widowisku.

— Ojcze, co robisz! — krzyknął, wyrwał mu szpicrutę z ręki i chciał się z nią na psa rzucić; zanim wszakże dobiegł do grupy zapaśników, zwierzę leżało już, wyciągnąwszy przed siebie wszystkie cztery nogi, powalone potężną pięścią olbrzyma.

Douglasowi krew ciekła po ramionach i szyi; gniew, zdało się, opuścił go zupełnie. Stanął, otarł sobie ręce chustką i rzekł z dobrodusznym uśmiechem:

— Biedne zwierzę, przywykło do posłuszeństwa!

— Pan zraniony jesteś, panie Douglas — zawołał Paweł, łamiąc ręce.

— Ot, biedaczysko, wziął kark mój za ćwiartkę cielęciny widocznie — rzekł. — Chodź pan kawałek ze mną i pomóż mi się obmyć cokolwiek, by moich kobiet nie przestraszyć zbytnio.

— Przebacz mu pan — błagał Paweł — on nie wiedział, co czyni.

— Nie pójdziesz mi ty ztąd, chłystku!—wrzasnął ojciec z dziedzińca, czy chcesz brać stronę tego zdrajcy?!...

Zadrżały dłonie sąsiada, ale zapanował nad sobą i ze sztucznie wywołanym uśmiechem rzekł:

— Wracaj pan, syn powinien pozostać przy ojcu.

— Ależ ja pragnąłbym przejednać, naprawić...— wybąknął Paweł.

— Oszust, łajdak!...—zabrzmiało od dworka.

— Wracaj pan — rzekł Douglas, zacinając zęby — uspokój go, inaczej gotów się rozchorować jeszcze!

Potem zaczął gwizdać głośnego marsza, aby nie słyszeć obelg i wielkiemi krokami wyszedł za bramę.

Stary Meyhöfer wrzeszczał i miotał się po podwórzu jak szaleniec, rzucał kamieniami, chwycił dyszel od wozu i cisnął nim w powietrze, kopał nogami wszystko co napotkał na drodze.

Kiedy spotkał Pawła, chciał się mu rzucić do gardła, ale w tej samej chwili matka z przerażającym krzykiem rzuciła się między nich. Opasała Pawła ramionami, zasłoniła sobą, chciała coś powiedzieć nawet, ale trwoga przed mężem obezwładniła jej język. Oczy jej tylko w męża utkwione, za wymowne starczyły słowa.

— Babskie plemię—zawołał, pogardliwie wzruszając ramionami i odwrócił się, ale że wściekłość na kimś wywrzeć musiał, przyskoczył do Rauczusa, który zwolna zabierał się napowrót do roboty.

— Ty psie, co się tu będziesz gapił?

— Ja pracuję, panie—odpowiedział tenże i rzucił nań ponure, przenikliwe spojrzenie z pod gęstych brwi czarnych.

— Co mnie powstrzymuje, psie podły, żem cię dotąd jeszcze nie starł na miazgę? — wrzeszczał stary, grożąc mu pod nosem pięścią.

Chłop schylił się a w tejże chwili obie zaciśnięte pięście pana padły mu na twarz. Zatoczył się w tył — z ponurej jego twarzy uciekła krew

do ostatniej kropli;—nie wydawszy z siebie głosu pochwycił za siekierę...

Ale w tejże chwili Paweł, który z wzrastającą trwogą przyglądał się tej scenie, przypadł z tyłu, pochwycił go za ramię, wydarł mu broń z ręki i rzucił w studnię.

Ojciec chciał znowu chwycić za gardło parobka, ale z nagłem postanowieniem pochwycił go w pół Paweł i choć stary wywijał gwałtownie rękami i nogami, poniósł go, wytężając wszystkie siły, na ręku do pokoju, którego drzwi z zewnątrz za nim na klucz zamknął.

— Coś ty zrobił ojcu! — jęczała matka, która temu wszystkiemu przyglądała się, skamieniała z trwogi i zgrozy, bo żeby syn mógł podnieść rękę na ojca, to się jej zdawało całkiem niepojętem. Wzrok jej z obawą podnosił się ku niemu i powtarzała z wyrazem skargi i wyrzutu w głosie:

— Co ty zrobiłeś ojcu, coś zrobił ojcu?

Paweł pochylił się ku niej, ucałował jej rękę z uszanowaniem i rzekł:

— Cicho, mateczko, bądź spokojna, wszakże musiałem ocalić mu życie.

— A teraz zamknąłeś go, uwięziłeś? oj Pawle, Pawle!

— Dopóki Michał jest jeszcze, nie może się tu pokazać — odpowiedział — nie odmykaj drzwi, mateczko, inaczej bowiem mogłoby się stać nieszczęście.

Potem wyszedł na dziedziniec. Parobek stał oparty plecami o drzwi stajni, gryząc czarną brodę i z ukosa poglądał na niego hytrze.

— Michale Rauczus! — zawołał na niego.

Chłop przystąpił bliżej. Żyły na czole nabrzmiały mu jak postronki. Nie śmiał popatrzeć mu wprost w oczy.

— Pozostałość twej zapłaty wynosi 5 marek 40 fenigów. Masz je tutaj. Za pięć minut opuścisz folwark.

Parobek spojrzał na niego tak złowrogo jakoś, tak ponuro, strasznie, że Paweł przeraził się na myśl, że tak długo obok siebie znosił obecność tego człowieka. Nie spuścił zeń oka ani na chwilę, bo lękał się, że lada chwila chłop rzuci się na niego.

Ale Michał odwrócił się w milczeniu, poszedł do stajni, gdzie związał swój tobołek i we dwie minuty później wyszedł za bramę. Przez cały ciąg okropnej sceny, nie wymówił on ani słowa.

— Tak — a teraz do ojca — rzekł Paweł, stanowczo zdecydowany znieść spokojnie burzę obelg a może i razów, któremi go ojciec powita.

Odemknął drzwi i czekał, że ojciec niemi wypadnie.

Ale ten siedział wciśnięty w róg kanapy, skulony i poglądał przed siebie nieruchomym wzrokiem. Nie poruszył się nawet z miejsca, gdy Paweł przystąpił do niego i w rodzaju przeproszenia wymówił:

— Wierzaj mi, ojcze, żem to niechętnie czynił, ale trudno, to było koniecznie potrzebnem.

Stary Meyhöfer popatrzał na niego z pod oka bojaźliwie, potem rzekł gorzko:

— Możesz robić wszystko, co ci się podoba... toć-em ja stary a tyś dziś silniejszy.

Potem zapadł znów w poprzednią zadumę.

Od tego dnia Paweł był już panem w domu.

XIV.

Trzy tygodnie ubiegły od scen owych. Paweł pracował jakby był najemnikiem. Mimo to dziwny jakiś niepokój nim owładnął. Jeśli tylko na chwilę mógł sobie pozwolić odpoczynku, uciekał z domu, w którym formalnie teraz usiedzieć nie mógł. Doznawał takiego wrażenia jak gdyby mury zapaść się miały nad jego głową. Wówczas włóczył się po polu lub po lesie, albo też krążył do koła Helenenthalu. Co tam chciał, tego sam przed sobą wyznać nawet nie śmiał.

— Gdybym spotkał Elżunię, zdaje mi się, że ze wstydu zapadłbym się chyba pod ziemię—tak sobie powtarzał a przecież upatrywał jej wszędzie i drżał z obawy i radości, ilekroć zdala zobaczył jaką postać niewieścią.

Niebawem i sen go opuścił. Po nocach, gdy wszyscy już w domu spali, wykradał się i często kroć powracał dopiero jasnym rankiem, aby

z ciężką głową i znużonemi członkami napowrót zabrać się do pracy.

— Muszę naprawić... naprawić — powtarzał sobie często, a gdy kosa biegła ze świstem po pokosach, on w takt powtarzał: „naprawić, naprawić!“ Jednakże co do tego: „jak?“ — nie miał jasnego dotąd pojęcia; nie wiedział nawet czy Douglas nie przechorował wówczas owego pokąsania przez psa.

Raz, kiedy o zmroku, włóczył się z tamtej strony lasu, spotkał Rauczusa jak szedł od Helenenthalu. Miał na ramieniu łopatę a na niej zawieszony węzełek. Paweł patrzał mu wprost w oczy — spodziewał się bowiem, że go napadnie, ale chłop spojrzał na niego z podełba niepewnym wzrokiem i okrążył go zdala.

— Ten człowiek wygląda jakby zamyślał spełnić coś złego — pomyślał sobie, patrząc za nim.

Douglas przyjął był wypędzonego do siebie do służby, jak to w Mussainie opowiadał jeden z najemników, a ojciec, gdy się o tem dowiedział, zaśmiał się i rzekł:

— To podobne do tego podstępnego łotra, on tam już coś pięknego na mnie knuje!

Mocno był przekonanym, że Douglas sprawę tę oddał w ręce prokuratora; więcej, znajdował nawet pewną rozkosz w tej myśli, że zostanie zasądzonym — „niesprawiedliwie“, rzecz oczywista, że jednak o skardze jakoś nic słychać nie było, choć dzień za dniem mijał, zauważył szyderczo:

— Jaśnie pan lubi bawić się w przedśmiertne zwłoki.

Ale Douglas widocznie chciał w zupełności ignorować wyrządzoną sobie zniewagę, nawet bowiem, jak się spodziewano, nie wypowiedział kapitału, który miał pomieszczony na hypotece Mussainu...

Dusza Pawła przepełniona była wdzięcznością, a im mniej znajdował sposobu objawienia jej, tem goręcej czuł jak go nurtował wstyd, tem mocniej gnał go ciągle niepokój.

Pewnej nocy stał po raz drugi w życiu pod płotem ogrodowym białego dworu.

Mgły wczesnej jesieni zawisły po nad ziemią, a więdnąca trawa szeleściła zcicha pod stopami. Biały dwór ginął w cieniach nocy, w jednem oknie tylko migotało ponure czerwonawe światełko.

— Tu czuwa ona przy chorej matce—pomyślał sobie Paweł. A że nie miał innego sposobu przyzwania jej, począł gwizdać... Dwa, trzy razy ustawał, czekał, nasłuchiwał... Nikt nie przychodził, a w duszy jego wzrastała coraz większa obawa...

Niepewną ręką namacał obluzowaną sztachetę, którą mu niegdyś pokazała była Elżunia, odsunął ją i wszedł do ogrodu. Splątane gałęzie krzaków czepiały się jego ubrania, broniąc mu przejścia. Nakoniec wydostał się z nich i wyszedł na drożynę. Biały żwir chodników odznaczał się w mroku, jaśniej zabłysła mu lampa w pokoju chorej.

Siadł na ławeczce i patrzał w to okno uparcie. Zdało mu się, że cień jakiś poruszył się za firanką.

Potem naraz stało się jaśniej jakoś do koła niego. . Krzewy róż sztamowych w kląbach przed domem wystąpiły z cienia... Żwir zajaśniał niezwykłym jakimś odblaskiem a szczyty domu, które dotąd rysowały się niby ciemne masy, rozpromieniły się ciemno-czerwonem światłem, jakby na nie padł promień jutrzenki.

Zdziwiony, odwrócił się... krew zastygła mu w żyłach... wysoko na czarnem bezgwiaździstem niebie wznosiła się krwawa łuna pożaru. Czarne obłoki obrzeżyły się purpurowemi rąbkami, białawe płomyki wirowały, unosząc się w górę, a słupy purpurowe ognia strzelały w niebo jak gdyby na niebie świeciła północna zorza.

— Twój dom rodzinny się pali...

. . . . . .

Z łoskotem opadła mu głowa na poręcz ławki... ale w tej samej niemal chwili zerwał się, przyzwawszy w pomoc całą siłę... kolana uginały się pod nim, krew kipiała w skroniach...

— Naprzód, dalej naprzód! ratuj, co się jeszcze da uratować! — ten okrzyk słyszał w własnej piersi — i jak szalony przedarł się przez krzewy bzu pod parkanem, przesadził płot i z drugiej strony padł w rów.

Jak wschodzące słońce, tak płonący folwark oświecał krąg cały teraz. Rżyska świeciły, a las kąpał się w czerwonawym żarze...

Dom mieszkalny stał nietknięty jeszcze.. mury jego błyskały, jak marmur, okna świeciły jak karbunkuły... Podwórze było tak jasne jak za dnia. Paliło się gumno, gumno zawalone całe aż po stropy plonami obfitemi tegorocznego żniwa. Praca jego cała, całe szczęście, cała nadzieja szła z dymem...

Powtórnie zebrał wszystkie siły... w szalonym, dzikim pośpiechu pędził przez step na przełaj ku płonącemu folwarkowi... Kiedy pędził skrajem lasu zdało mu się, że tuż obok niego przemknął cień jakiś, który za jego zbliżeniem rzucił się na ziemię. Zaledwie zwrócił na to uwagę.

— Dalej — ratuj, co się da uratować jeszcze!

Z dziedzińca dobiegła go wrzawa zmieszanych krzyków. Parobcy biegali bezładnie, dziewki łamały ręce — siostry krzyczały, płakały i przywoływały go ciągle...

Wieś cała zbudziła się teraz... Trakt zapełniał się ludźmi... Wleczono kadzie z wodą ze wszech stron, pchano jakąś nawet zardzewiałą sikawkę...

— Gdzież pan? — krzyknął do parobków.

— Zniesiono go właśnie przed chwilą... złamał nogę — brzmiała odpowiedź.

Nieszczęście za nieszczęściem!

— Gumien nie ma już co ratować, niech się palą — krzyknął na gromadkę, która całkowicie straciwszy głowę, kilku wiaderkami wody pragnęła ugasić buchające płomienie.

— Ratujcie bydło—baczcie, aby nie rzucało się w ogień!

Trzech, czterech ludzi podążyło do stajni i obory.

— Wy reszta do domu mieszkalnego — nie wynosić nic.

— Nic nie wynosić! — powtórzył raz jeszcze, kilku obcym ludziom, wydzierając z rąk rzeczy, które wynosili z wnętrza domu

— Ależ my chcieliśmy je ratować.

— Ratujcie dom!...

Wbiegł na schody. Przebiegając, zobaczył matkę jak oniemiała, bez łez, siedziała przy ojcu, który jęczał, złożony na sofie.

Przez otwór na poddaszu wyskoczył na dach.

— Hej! podajcie tu węża!

Na widłach podano mu mosiężny koniec tegoż. Z sykiem pobiegł strumień wody po rozpalonych dachówkach. On siadł okrakiem na wierzchu dachu, suknie rozpalone parzyły go, we włosy wpadały żarzące ziarna zboża, które z gumien wiatr aż tu przynosił, na twarzy i rękach tworzyły się drobne piekące rany. On nie czuł nic, co dolegało jego ciału, ale za to dokładnie widział i słyszał wszystko, co się działo naokół... zdało się, że zmysły jego potroiły się chyba...

Widział, jak snopy ognistemi płomieniami wysoko pędziły w niebo i wspaniałe zataczając kręgi w dół spadały, widział konie i krowy wypędzane na łąkę, gdzie po za płotami bezpiecznie były ukryte, — widział psa, wpół osmalonego od żaru

płomieni, który rwał łańcuch i wył przeraźliwie...

— Odwiążcie psa! — zawołał z dachu.

Widział małe języki płomieni, z błękitnawym odblaskiem, jak ze szczytu stodoły przeskakiwały na sąsiednią szopę.

— Szopa się pali! — krzyknął do zebranych na podwórzu. Ratujcie co w niej jest.

Kilku ludzi podążyło w tę stronę, by wyciągać na dziedziniec wozy.

A tymczasem szumiał i huczał promień wody po dachu i wciskał się w szpary, ciężył na dachówkach i gromadził pod niemi. Drobne, białe obłoczki pary podnosiły się z dachu i nikły, aby znów gdzieindziej ukazać się na chwilę.

Wtem nagle przyszła mu na myśl „czarna Zuza“, stojąca w najdalszym kącie szopy po za całym stosem starego żelaztwa i przeróżnych rupieci. Poczuł coś, jak pchnięcie noża w piersi. Czyż i ona ma przepaść, ona, w której serce jego od dawien dawna pokładało nadzieję?...

— Ratujcie lokomobilę — krzyknął schylony na dół.

Ale nikt go nie zrozumiał.

Żądza niesienia „czarnej Zuzie“ pomocy na chwilę tak go opętała potężnie, że gotów był dla niej dom poświęcić nawet.

— Zluzować mnie tutaj! — zakomenderował, pochylony ku tłumowi w dole, który po większej części stał, gapiąc się bezczynnie.

Jakiś rosły murarz ze wsi, wdrapał się na dach, oderwał kilka dachówek i tym sposobem utorował sobie drogę do szczytu dachu. Paweł oddał mu w rękę węża sikawki a sam zsunął się po stoku dachu na dół—dziwiąc się w duszy, że w tej drodze nie złamał ręki lub nogi.

Potem rzucił się do szopy, z której już duszący dym wydobywał się kłębami.

-- Kto pójdzie za mną? — krzyknął.

Dwóch robotników ze wsi stanęło natychmiast.

— Naprzód!

Dalej w dym i płomienie! — i poszli wszyscy.

— Tu jest dyszel — chwycić — mocno — czemprędzej wyprowadzać!

Z trzaskiem i łoskotem zachwiała się lokomobila i wnet stanęła na podwórzu. Za nią i za jej wybawcami runął dach szopy...

. . . . . .

Ranek szarzał. Błękitnawy brzask mieszał się z dymem zgliszcz, wśród których tu i owdzie jeszcze drgały płomyki, by w chwilę potem znużone zapaść w popioły.

Tłum się rozproszył. Złowroga cisza ciążyła nad podwórzem dworku; od strony pogorzeliska tylko rozlegał się czasami cichy syk lub trzask dopalających się przedmiotów, jakby płomienie przed zupełnem zagaśnięciem, raz jeszcze szeptem wiodły z sobą rozhowor ostatni.

— Tak! rzekł Paweł — z tem już byśmy się uporali.

Dom mieszkalny, obora i stajnia wraz z żywym inwentarzem były uratowane, stodoła i szopa leżały w popiołach.

— Teraz jesteśmy napowrót tak biedni, jak przed dwudziestu laty — rozmyślał, opatrując sobie rany powstałe od oparzelizny—a! gdybym nie był się wczoraj wałęsał bezpotrzebnie, nie byłoby może stało się to wszystko!...

Kiedy wszedł do altany, która występowała w ogród przed drzwi domu, zobaczył tam siedzącą matkę, skuloną, w kąciku, ze złożonemi rękami. Twarz jej przerzynały głębokie bruzdy, a oczy jej patrzały nieruchomie w próżnię, jak gdyby ścigały w niej wciąż jeszcze tańce płomieni.

— Matko—zawołał z trwogą, bo zląkł się, czy nie grozi jej obłąkanie.

Kiwnęła kilkakrotnie głową i wymówiła:

— Tak, tak, tak to idzie!

— Wszystko się zmieni, będzie nam znów lepiej, mateczko — uspokajał ją.

Popatrzała mu w twarz i uśmiechnęła się. Ten uśmiech zranił mu serce do głębi.

— Ojciec wypędził mnie właśnie—rzekła—proszę cię, na wszystko proszę, ty mnie przynajmniej nie wypędzaj.

— Mateczko, na rany Zbawiciela, nie mów tak!

— Widzisz Pawle, doprawdy, jam temu nie winna — mówiła, podnosząc ku niemu oczy z bła-

galnym wyrazem — ja nigdy ze światłem nie chodzę do stodoły.

— Ale któż to powiada?

— Ojciec mówi, że to wszystko przezemnie się stało i że mam się wynosić do dyabła... Ale nie zrób mu co złego — wołała przelękła, widząc jak porwał się nagle — nie rzuć się znów na niego, jak to wtedy, on cierpi taki ból okropny.

— Doktór przyjedzie za godzinę, posłałem już po niego.

— Idź do ojca, Pawle, pociesz go tam trochę... jabym sama tak chętnie tam poszła, ale mnie on wypędził! — i znowu skuliwszy się w kłębek, powtarzała, jakby do siebie samej:

— Wypędził mnie... wypędził.

XV.

Nieopisana nędza zawisła nad folwarczkiem. W pierwszym pokoju leżał ojciec rozciągnięty na łożu boleści, jęczał i wymyślał na przemiany, przeklinając godzinę swego urodzenia. W chwilach lepszych brał za rękę żonę i ze łzami w oczach prosił ją o przebaczenie za to, że jej los przykuł do swego złamanego życia i przyobiecywał, że w przyszłości uczyni ją szczęśliwą i bogatą. Bogatą przedewszystkiem — bogatą!

Ale już było zapóźno. Łagodne jego słowa już nie czyniły na niej żadnego wrażenia, zadręczone

jej serce słyszało w nich nawet zawsze tęż samą nutę łajań, które też, jak zawsze, szły w trop za niemi. Z zapadłemi policzkami i zagasłemi oczyma, snuła się jak cień bez słowa skargi, podwójnie godna pożałowania w tem swojem milczeniu.

Ale nikt nie miał nad nią miłosierdzia — Bóg ni los. Co dnia była więcej znużoną, nad bladem jej, błękitnemi żyłkami poprzerzynanem czole płonęło już palące znamię śmierci, a szczęście którego pragnęła, wyglądała przez życie całe, dalszem było od niej niż kiedykolwiek.

Jedyny, który byłby w stanie wesprzeć ją, pocieszyć, teraz unikał jej i wymykał się jak złoczyńca, zaledwie rano na dzień dobry uścisnąwszy jej rękę a ilekroć nań popatrzała, zawsze spuszczał oczy. Gdyby mniej była zmartwioną, mniej zobojętniałą już na wszystko, byłoby musiało dziwne jego zachowanie wzbudzić w niej pewne podejrzenia, ale to czego jej było brak najwięcej w rozpaczy jej i obecnem zmartwieniu — to właśnie tej jeno pociechy.

Raz o zmroku, kiedy jak zazwyczaj w chwili odpoczynku grzebał w popiołach pogorzeli, poszła za nim, usiadła obok na odłamach fundamentów i starała się rozpocząć z nim rozmowę, ale on chciał jej się wymknąć jak zwykle.

— Pawle, nie bądź tak okrutnym dla mnie — prosiła i oczy jej napełniły się łzami.

— Toż ja ci nic nie robię, mateczko — rzekł i zaciął zęby.

— Pawle, ty masz coś przeciw mnie!

— Nie, matko!

— Może myślisz, że pożar wynikł z mojej winy?

Wtedy krzyknął aż głośno, objął uściskiem jej kolana i rozpłakał się jak dziecko, ale kiedy chciała pogłaskać jego włosy, jedyna pieszczota, która między niemi miewała w ogóle miejsce, — zerwał się, odtrącił ją i zawołał:

— Nie dotykaj mnie, matko, — jam tego nie wart!

Potem odwrócił się i popędził w pole.

Od chwili, w której po raz pierwszy zbudził się po pożarze, jedna myśl uparta opanowała go i nie opuszczała ani na moment, myśl: że on, on sam tylko winien jest całemu nieszczęściu.

— Gdybym się nie był włóczył tej nocy—mówił sobie — gdybym był pilnował domu, jak to było moim obowiązkiem, nigdy nie byłoby mogło dotknąć nas to nieszczęście!...

Wszystkie tajemne pragnienia, cała tęsknota nieujęta wydała mu się teraz zbrodnią przeciw rodzicielskiemu domowi.

Jak Chrystus na Getsemanie, tak walczył z swem sercem, starając się zdobyć sobie spokój i przebaczenie. — Ale nigdzie wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. O każdej dnia godzinie przed oczyma jego płomienie zawodziły korowód piekielny, a kiedy wieczorem kładł się do łóżka i wzrok utkwił w ciemności, zdało mu się, że z każdej szpary widzi wyciągające się ogniste ję-

zyki płomieni, że to nie ciemność nocy go ogarnia, ale kłęby czarnego dymu.

Co do tego, który był przyczyną pożaru, dotąd nawet nie miał on czasu się zastanowić nad tem; troski i kłopoty, które nań teraz na nowo spadły, zbyt były wielkie, by obok siebie dawały miejsce jeszcze na myśl zemsty. Brak było wszystkiego co najpotrzebniejsze, zaledwie pieniądze potrzebne na aptekę dawały się jeszcze zgromadzić. Rozmyślał i rachował dniem i nocą i tworzył wielkie plany kampanii, aby zkąd zebrać nieodbicie potrzebną gotówkę. Pisał również do braci, czyby mu nie mogli może za pomocą swoich wpływów wyjednać pożyczkę kilkuset talarów na umiarkowany procent. Odpowiedzieli mu z wielkim żalem, że sami tyle już mają długów, iż niepodobna im liczyć jeszcze na jakibądź kredyt. Godfryd, nauczyciel gimnazyalny, wprawdzie zaręczył się był przed niedawnym czasem z zamożną panną, i Paweł pewnym był, że przyszłoby mu z łatwością uzyskać pożyczkę skromnej sumki u jej rodziny, ale jemu szło o to, że godność jego pozycyi skutkiem takiego żądania ucierpiećby mogła; lękać się musi, jak twierdził, skompromitować wobec przyszłego teścia, gdyby mu przedwcześnie istotne swe stosuki odsłonił.

Szczęściem jeszcze było, że cały zbiór rzepaku był już sprzedany i odstawiony przed pożarem, a kartofle po największej części dotąd niewykopane. Tym sposobem zdawało mu się zyskiwać

choć po trochu gotówki, która pokrywała bieżące, najbardziej naglące wydatki. Oczywiście, o odbudowaniu stodoły nie można było myśleć nawet.

Pośród smutnych gruzów, zwęglonych belek i rozpadających się murów, stała wznosząc w górę komin swój dumnie, z sadzą okrytem ciałem i wysmukłą szyją czarna Zuza, jedyna rzecz, którą, oprócz kilku nędznych wozów gospodarskich,— ocalono od zagłady.

Bliźnięta, które w tych smutnych czasach wiele z swej wesołości utraciły i tylko pokryjomu gdzieś po kątach szeptały i chichotały się, obchodziły ją do koła z pewną zabobonną trwogą, ojciec zaś, kiedy po raz pierwszy wstawszy z łóżka, zobaczył czarnego potwora przez okno, zacisnął pięści i krzyknął:

— Czemu nie dano spalić się tej bestyi!?

Paweł tem więcej za to jeszcze przywiązał się do niej.

— Teraz byłby czas największy, abyś znów zbudziła się do życia—mówił, ciągnąc za koło i zaglądając do kotła; wreszcie począł wieczorami robić małe modele z lipowego drzewa i pewnego dnia napisał do Godfryda: „Przyślij mi z waszej szkolnej biblioteki kilka książek dotyczących budowy maszyn parowych. Mam przeczucie, że coś na tej drodze dla naszego rodzicielskiego domu zrobićby się dało, że od tego wiele zależy“.—Godfryd jednak nie spełnił jego prośby; raz, że to sprzeciwiało się jego zasadom, aby brać z biblioteki szkolnej książ-

ki, których sam nie potrzebował, a powtóre, że i tak na nicby się one nie przydały Pawłowi, ponieważ nie jest obznajmiony z teoretyczną fizyką. Następnie udał się do Maksa o to samo. Ten przysłał mu odwrotną pocztą dziesięciofuntową pakę nowiuteńkich książek, do których dołączony był rachunek księgarski na pięćdziesiąt marek. Postanowił zatrzymać książki a owe pięćdziesiąt marek zebrać zwolna.

Dla czarnej Zuzy nie ma nic zbyt drogiego — osądził.

Nowy niepokój jednak miał spaść na niego.

Pewnego przedpołudnia zajechał na dziedziniec wózek, w którym obok dwóch żandarmów siedziało dwóch panów nieznajomych, z których jeden, otyły, około czterdziestu lat mający w złotych okularach na nosie, przedstawił się jako sędzia śledczy.

Paweł zląkł się, bo czuł bardzo dobrze, że niejedno miał do utajenia.

Sędzia śledczy obejrzał naprzód pogorzelisko, zdjął plan fundamentów i wypytał gdzie znajdowały się bramy i okna, potem zwołał całą służbę, którą jak najdokładniej rozpytał o wszystko, co w przeddzień aż do chwili pożaru robili.

Paweł stał obok, blady i drżący, a kiedy sędzia uwolnił już czeladź, aby jego samego poddać badaniu, doznawał takiego wrażenia, jak gdyby to był koniec świata.

— Czy w dniu pożaru byłeś pan w stodole? — zapytał sędzia.

— Tak.

— Czyś pan palił może?

— Nie.

— Przypomnij pan sobie, czy w jakikolwiekbądź sposób nie miałeś do czynienia z ogniem, zapałkami lub czemś podobnem?

— O, nie, ja za ostrożny jestem na to.

— Kiedy po raz ostatni byłeś pan w stodole?

— O ósmej godzinie wieczór.

— Co pan tam robiłeś?

— Obchodziłem, jak to czynię co wieczora, całe gospodarstwo, zanim pozamykam bramy.

— Czy zamykasz pan bramy własnoręcznie.

— Tak — zawsze.

— Czy tego wieczora nie zauważyłeś czego?

— Nie, nic zupełnie.

— Możeś pan widział kogo skradającego się koło zabudowań?

Jak błysk gromu nagle rozświeciło się w jego myślach. W tej chwili dopiero przypomniał sobie ów cień, który na początku pożaru widział pod lasem. Ależ to nie było w okolicy budynków. I odetchnąwszy głęboko, odpowiedział:

— Nie.

No, teraz przyjdzie — pomyślał sobie — następne pytanie, które wyprowadzi na jaw nocną jego wędrówkę i wywleczo tajemnicę, jaką dotąd ukrywał w głębi serca.

Ale nie. Sędzia śledczy urwał nagle i po małej przerwie rzekł:

— Do niedawna był u pana w służbie niejaki Michał Rauczus, nieprawdaż?

— Tak — odpowiedział i patrzył się na sędziego wielkiemi oczyma. Zatem to na Rauczusa padało podejrzenie...

— Dla czegoś go pan odprawił?

Opowiedział dokładnie przebieg owej okropnej sceny, starał się wszakże, aby całe poprzednie zajście z Douglasem, o ile możności, pozostało w cieniu. Teraz, kiedy pierwotne niebezpieczeństwo minęło szczęśliwie, odzyskał krew zimną i spokój.

Urzędnik spisujący protokół notował sobie wszystko pilnie a sędzia śledczy podniósł brwi w górę jakby już teraz wszystko stało mu się jasnem. Kiedy Paweł skończył swe opowiadanie, skinął na żandarma a tenże w milczeniu zwrócił się i poszedł drogą do Helenenthalu.

— Teraz, chciałbym pomówić z pańskim ojcem — rzekł sędzia. — Czy jest on w takim stanie, aby się mógł poddać sądowemu badaniu?

— Pozwól mi pan pójść zobaczyć—odpowiedział Paweł i udał się do pokoju chorego.

Zastał ojca, jak wyprostowany siedział na łóżku, oko jego błyszczało a w rysach znać było z trudem hamowaną wściekłość.

— Wpuść ich tu! — zawołał na Pawła—wprawdzie to wszystko bajki... rzeczywistego winowajcy nie ośmielą się dosięgnąć... ale niech przyjdą!

I on również opowiedział sędziemu śledczemu scenę też samą, ale właśnie to, co Paweł wstydliwie przemilczał, sprzeczkę z Douglasem i szczucie psem, to on ostentacyjnie wywlókł i z junacką gadatliwością opowiedział urzędnikom. Sędzia podrapał się w zamyśleniu w głowę a pisarz zanotował znów wszystko gorliwie.

Kiedy Meyhöfer doszedł w swem opowiadaniu do tej chwili, gdzie należało mu dotknąć faktu wmieszania się syna, umilkł. Podniósł na Pawła spojrzenie, w którem gniew i urąganie zmieszały się razem.

— A cóż dalej? — pytał sędzia.

— Jestem stary — mruknął przez zęby — nie znaglajcie mnie panowie, abym o własnym opowiadał wstydzie.

Sędzia zadowolnił się tem wyznaniem. Kiedy spytał Meyhöfera czy poprzednio już podejrzewał Michała Rauczusa, rozśmiał się tajemniczo i poszepnął:

— Ręką, nędzną ręką był on może, ale... — tu urwał.

— Ale?..

— Szkoda to, panie sędzio, że sprawiedliwość nosi na oczach opaskę — odpowiedział z szyderczym śmiechem — ja nic więcej nie mam do powiedzenia.

Sędzia i pisarz spojrzeli po sobie i wstrząsnęli głowami; na tem zakończyło się przesłuchanie.

— Czy Michał Rauozus zostanie aresztowanym? — spytał Paweł tych panów, zanim wsiedli na wózek.

— Prawdopodobnie jest nim już w tej chwili — odpowiedział sędzia. Po pijanemu różne czynił odgróżki, a to, czegośmy się o nim dowiedzieli od pana, jest aż nadto wystarczającem, aby poddać go śledztwu. Prawda, że wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia.

Po tych słowach odjechali panowie sądownicy.

Długo stał Paweł i poglądał za oddalającym się wózkiem.

Ostatnie słowa sędziego zbudziły w nim na nowo obawy, a kiedy biegły tygodnie i przedwstępne śledztwo szło swojemi tory, on chodził po domu strwożony i drżący, jak gdyby potępiający wyrok sędziów miał spaść na niego i tylko na niego.

Paweł, wraz matką i siostrami otrzymali wezwanie stawienia się przed sądem przysięgłych w charakterze świadków, ojcu tylko pozostawiono wolność wyboru, czy zechce w dniu procesu świadczyć w sądzie lub też poddać się ostatniemu posłuchaniu w domu. Ale oświadczył, że woli raczej trupem paść na sali posiedzeń sądu, niżby miał siedzieć w domu a przez ten czas sądy, tego, który puścił z dymem jego mienie, puścićby miały swobodnie! O kimby myślał—nie wyjawiał nikomu, tylko, według niego, podpalaczem nie był oskarżony parobek; z tem nie krył się bynajmniej.

Nadszedł dzień rozpraw sądowych. Paweł sam zrobił dla ojca krzesło przenośne, które mu oszczędzało trudu chodzenia. W krześle tem wniesiono go na wóz i ustawiono wygodnie w sianie.

Nędzna, nad wyraz nędzna furmanka, powiozła rodzinę Meyhöferów do miasta, wszystkie bowiem lepsze wozy i wózki spłonęły do szczętu. Na posłaniach ze słomy pokładł Paweł stare derki na konie, spłowiałe i podarte przez długoletnie użycie. Pośród tego tak widocznego niedostatku, leżał pan domu na dnie wozu, jęcząc i klnąc na przemiany, żona jego tronowała powyżej, z twarzą bladą i stroskaną, a niby geniusz tego upadku i nędzy, wieczyście kwitnąca młodość, która i w pośród gruzów nawet olśniewa swym urokiem, błyszczały dwie figlarne pary oczu. Smutnym tym wehikułem powoził Paweł z zafrasowaną twarzą, wstyd mu było bowiem, że pierwszy raz wioząc wszystkich swoich gdzieś dalej nie mógł dać im lepszego pojazdu.

Na pożółkłem polu kładły się znużone promienie październikowego słońca, tu i owdzie sterczały krzaki jałowcu z pośród żółtej zeschłej trawy, gdzieniegdzie połyskiwały kałuże wody deszczowej a z przydrożnych wierzb karłowatych zwieszały się jak martwe ptaki pojedyncze zeschłe liście.

— Pamiętasz, jak przed dwudziestu jeden laty jechaliśmy tą samą drogą? — wymówiła pani

Elżbieta, zwracając się do męża a potem objęła Pawła spojrzeniem rzewnem, przypominając sobie, że wówczas trzymała go u piersi.

Meyhöfer pomruknął coś pod nosem, nie był bowiem przyjacielem wspomnień w ogóle a cóż dopiero *takich* wspomnień! Ale pani Elżbieta złożyła ręce i zamyśliła się głęboko; nie musiały to jednak być smutne myśli, bo uśmiechała się z lekka do siebie.

Im bardziej wóz zbliżał się do celu, tem ciężej było Pawłowi na sercu, przeciągnął się na siedzeniu, przechodziły go wciąż dreszcze.

Straszny ów pożar z przerażającą jasnością stanął przed jego oczyma i pośród tej trwogi, co go ogarniała na myśl, że za chwilę stanie pośród obcych ludzi i zmuszony będzie mówić, doznawał uczucia pewnego szczęścia, kiedy przypomniał sobie jak wpośród kłębów dymu i płomieni stał po nad wszystkimi na dachu, działając i wydając rozkazy jako jedyny, któremu wszyscy podlegali, wszyscy słuchali, jedyny, który wśród ogólnego zamętu nie stracił głowy.

— Może jednak i ja przydałbym się na coś gdyby tego wypadła potrzeba! — rzekł pocieszając się, ale tem głębiej za to odczuwał smutny ucisk obecnej bezsilnej swej egzystencyi. Nigdy się to już nie zmieni — gorzej tylko być może z roku na rok — pomyślał; — wtem po za sobą posłyszał westchnienie matki i to, co myślał

przed chwilą, wydało mu się marnem samolubstwem, brakiem serca.

— O mnie tu nie chodzi — poszepnął — wtem wóz wjechał w bramy miasta.

Przed czerwonym budynkiem sądowym z wysokiemi kamiennemi schodami i sklepionemi w łuki oknami zatrzymał się wóz. W pobliżu zaraz stał dobrze znany kabryolet a stangret na koźle miał na głowie jeszcze takąż samą czapkę z czerwonym fontaziem, która niegdyś tak bardzo imponowała Pawłowi.

Kiedy ojca zniesiono z wozu i jemu wpadł zaraz w oko elegancki kabryolecik.

— A, i ten łotr jest tutaj — zawołał — zobaczymy, czy będzie mógł mi spojrzeć w oczy!

Paweł z pomocą woźnego wniósł ojca po schodach do poczekalni świadków. Matka i siostry szły za nimi a ludzie stawali i przyglądali się tej smutnej procesyi.

Sala przeznaczona dla świadków napełnioną była ludźmi, po większej części dworskimi z Helenenthalu. W jednym kącie stała gromadka żebraków, wśród niej kobieta z obrzękłą twarzą, okręcona w jakąś pstro czerwoną płachtę, w której zasypiało niemowlę. U spódnic jej czepiała się cała zgraja obdartych dzieciaków, drapiących się w głowy bezustannie lub bijących się wzajem. Była to rodzina oskarżonego, która przyszła świadczyć, że owej nocy ojciec nie wychodził wcale z domu.

Meyhöfer wyciągał się i wyprężał w swem krześle, rzucając do koła wyzywające spojrzenia. Dziś więcej niż kiedykolwiek wydawał się sam sobie wielkim człowiekiem, bohaterem i męczennikiem zarazem.

Drzwi się otwarły i Douglas z Elżunią ukazał się na progu.

Meyhöfer rzucił na niego zjadliwe spojrzenie, a potem roześmiał się na cały głos szyderczo. Douglas nie zwracał na niego zupełnie uwagi, tylko usiadł w przeciwnym końcu sali, pociągnąwszy z sobą Elżunię. Ta ostatnia blada była, wzruszona i onieśmielona jakoś dziwnie, co było prawdopodobnie wynikiem obcego jej całkiem, a nieprzyjemnego otoczenia.

Ze słabym uśmiechem skłoniła się matce i siostrom i popatrzała się na Pawła zamyślonym wzrokiem, który zdawał się o coś pytać.

Spuścił oczy, bo nie mógł znieść tego spojrzenia. Matka zrobiła ruch taki, jakby chciała podejść do niej, ale Meyhöfer pochwycił ją za suknię i rzekł głośniej niż było potrzeba:

— Żebyś mi się nie ważyła!

Paweł stał jak przygwożdżony. Kolana mu drżały, na głowie czuł ciężar jakiś straszny, który mu odbierał władzę myślenia.

— Ty jej wstyd przyniesiesz—szeptał bezprzestannie, nie wiedząc nawet co mówi.

W sali posiedzeń tymczasem rozpoczęło się przesłuchanie świadków. Wzywano jednego po drugim.

Naprzód wywołano czeladź dworską, najemników po kolei, potem gospodarza, w którego szynku Rauczus czynił odgróżki, potem obdartą gromadę z kąta. Pokój poczynał się wypróżniać. Teraz woźny wymienił nazwisko pana Douglasa. Ten poszepnął coś w ucho córce, co musiało widocznie odnosić się do Meyhöferów i wyszedł wielkiemi krokami z sali poczekalnej.

Ze złożonemi na kolanach rękoma siedziała teraz sama wsparta o ścianę. Ciemny rumieniec wzruszenia płonął na jej policzkach. Widocznie była zakłopotaną a cała prostota jej duszy malowała się na twarzy.

Matka Pawła nie spuszczała z niej ani na chwilę oka a czasami znów spoglądała na syna i uśmiechała się jakby we śnie.

Upłynął kwadrans, potem z kolei wywołano nazwisko Elżuni. Rzuciła jeszcze uprzejme spojrzenie na matkę i zniknęła we drzwiach. Przesłuchanie jej nie trwało długo.

— Pan Meyhöfer senior! — zawołał woźny sądowy i poskoczył, aby dopomódz Pawłowi wnieść starego z krzesłem na salę.

Stary pryskał i nadymał policzki, potem znów rozpierał się w krześle z cichym męzkim jękiem, w gruncie wysoce zadowolniony, że może tak efektowną odgrywać rolę.

Obszerna sala posiedzeń sądu cała w oczach Pawła spływała w jeden obłok mgły czerwonawej, niewyraźnie widział gęsto zbitą masę ludzkich

twarzy, które zwróciły się wszystkie ku ojcu; potem musiał znowu salę opuścić.

Siostry, które dotąd przypatrywały się wszystkiemu ciekawie, poczęły teraz się lękać. Matka usiadła opodal nieco w kącie, drżała zlekka i powtarzała po kilkakroć:

— Czego oni mogą chcieć odemnie?

— Pan Meyhöfer junior! — rozległo się od drzwi.

Niebawem stał już w wysokiej, ludźmi przepełnionej sali, przed stołem ustawionym na wzniesieniu, na którem siedziało kilku panów, o wielce poważnych, surowych twarzach; jeden tylko, który siedział nieco na uboczu uśmiechał się zawsze. Był to prokurator, którego obawiali się wszyscy. Po pierwszej stronie sali siedziała również na wzniesieniu gromadka szanownych obywateli, którzy mieli miny strasznie znudzone i starali się zabić czas temperowaniem ołówków, przecinaniem skrawków papieru i t. p. zabawkami. Byli to panowie przysięgli. Po lewej stronie, w zamkniętej ławce, siedział oskarżony. Posyłał wciąż spojrzenia w stronę zebranej publiczności i miał taką minę, jak gdyby cała ta sprawa obchodziła każdego innego tylko nie jego. Tak uprzejmym, tak uśmiechniętym nie widział Paweł nigdy jeszcze ponurego Rauczusa.

— Pan się nazywasz Paweł Meyhöfer, urodziłeś się dnia... roku... w... religii... — pytał siedzący w pośrodku sędzia, mężczyzna z krótko przy-

strzyżonemi włosami i ostro wystającym nosem, czytając daty z wielkiego zeszytu papierów. Czynił to wpół głośno, monotonnie, nagle jednak głos jego stał się surowym i przenikającym, jak ostrze noża a z oczu padły błyskawice na twarz Pawła.

— Zanim przystąpię do badania, panie Pawle Meyhöfer, zwracam na to pańską uwagę, że zeznanie swoje następnie będziesz musiał stwierdzić przysięgą.

Paweł zadrżał. Jak nożem raniło go słowo „przysięga“ w serce. Zdawało mu się, że powinienby paść na ziemię i ukryć twarz przed temi badawczemi oczyma, które wlepiły się w niego.

A potem nagle poczuł dziwną zmianę, co w nim zachodziła mimo jego woli. Te oczy migotliwe tłumu, gdzieś znikły — sala zatopiła się cała we mgle a im dłużej ostry jasny głos sędziego doń przemawiał, im więcej groził mu ziemskiemi i piekielnemi karami, tem silniej doznawał wrażenia, że się sam w tej sali z tym człowiekiem tylko znajdzie i wszystkie myśli skupił w tem jednem postanowieniu, by odpowiadać tak, żeby w zeznaniach swoich nie wspomnieć Elżuni i wszystkiego w ogóle coby z nią miało związek.

— Trzeba ci teraz dowieść, że jesteś mężczyzną—mówił mu głos jakiś w głębi duszy.

Było to uczucie podobne, jak wówczas, kiedy siedział na wierzchołku dachu; duch jego urosł, zolbrzymiał, a ucisk, pod którym zostawał zawsze, spadł zupełnie jak kajdany, krępujące więźnia.

Opowiedział spokojnemi jasnemi słowy wszystko, co wiedział o oskarżonym, i skreślił dokładnie obraz jego usposobienia i charakteru; nadmienił nawet, że go uważał za pokrewną sobie naturę przez czas jakiś.

Kiedy to mówił, szept cichy przebiegł całą salę, przysięgli położyli skrawki papieru i dwa czy trzy scyzoryki zamknęły się z trzaskiem.

— Co się stało, kiedy ojciec pański posprzeczał się z panem Douglasem? — zapytał sędzia.

— Tego nie mogę powiedzieć — odrzekł pewnym głosem.

— Dla czego?

— Bo musiałbym źle mówić o moim ojcu — odpowiedział.

— Co to znaczy „źle mówić“? — spytał prezydujący—czy chcesz pan przez to wyrazić, że przez swoje zeznanie mógłbyś narazić ojca na prześladowanie prawa?

— Tak — odpowiedział cicho.

Ponowny szept przebiegł salę i po za plecami swemi usłyszał zgrzytający głos ojca:

— Wyrodek!

Ale nie dał się tem zbić z tropu.

— Prawo dozwala panu w takim wypadku odmówić zeznania — ciągnął prezydujący dalej. — Jakże się to stało jednak, że ojciec pański następnie zwrócił się przeciw Rauczusowi?

Bez wahania opowiedział całe zajście, nie zatrzymawszy się w opowiadaniu ani razu, dopiero

kiedy musiał wyznać jak poniósł ojca do domu, głos jego zadrżał i odwróciwszy się spojrzał na ojca, jakby go błagał o przebaczenie.

Stary zacisnął pięści a zęby mu zgrzytnęły. I tegoż dożył, aby własny syn jego zdzierał mu z głowy aurolę bohaterstwa!...

— A skoroś pan odprawił parobka, czyś już odtąd nie widział go ani słyszał o nim? — pytał znów prezydujący.

— Nie...

— Kiedyś pan w ową noc pożaru zbudził się, co zobaczyłeś pan najpierwej? — pytał dalej.

Długie milczenie. Paweł oburącz chwycił się, za czoło, zachwiał i cofnął w tył o parę kroków

W sali widoczne poruszenie i współczucie. Każdy sądził, że wspomnienie okropnej tej chwili tak go przejęło głęboko.

Milczenie wciąż trwało jeszcze.

— Odpowiedzże pan

— Ja... ja nie spałem wówczas.

— A zatem, jeszcześ pan się spać nie położył... Czy znajdowałeś się pan w swej sypialni, kiedy zobaczyłeś pierwszy blask pożaru?

— Nie.

— Gdzież pan byłeś?

Długa przerwa. Można było słyszeć, gdyby listek upadł był na ziemię, taka panowała cisza w całej sali.

— Nie byłeś pan w domu podówczas?

— Nie.

— Gdzie zatem?

— W... ogrodzie... Helenenthalu.

Głuchy zgiełk się podniósł, który wzrósł w tumult formalny, kiedy stary Douglas zerwał się był z swego siedzenia i grzmiącym głom, który się rozległ po całej sali, zawołał: „Czego tam pan szukałeś?“ — stary Meyhöfer zaś zaklął potężnie, a Elżunia pobladła i głową padła na poręcz ławki.

Prezydujący ujął za dzwonek.

— Proszę świadka o spokój — odezwał się — ja sam tylko stawiam pytania. Jeżeli ponowi się to zamieszanie, nakażę pana usunąć z sali. A zatem, panie Pawle Meyhöfer, w jakim celu znajdowałeś się w ogrodzie Helenenthalu?

W tej samej chwili nowe zamieszanie zapanowało w końcu sali i w audytoryum utworzyła się się grupa do koła Elżuni.

— Co się tam stało? — spytał prezydujący.

Prokurator, którego uwagi nie uszedł najmniejszy pyłek w całej sali, pochylił się ku niemu i z wielce wymownym uśmiechem poszepnął:

— To świadek, panna Douglas zemdlała.

Wówczas uśmiechnął się również i prezydujący a za nim cały trybunał prześwietny.

Elżunia, wsparta na ramieniu ojca, opuściła salę...

Wtedy z kolei podniósł się mały człowieczek o ostrym profilu twarzy, który siedział przed

oskarżonym a przez cały czas przesłuchiwania świadków bawił się był pękiem kluczyków, i rzekł:

— Upraszam pana prezydującego, aby rozprawę na pięć minut odroczyć zechciał, ponieważ obecność świadka, panny Duglas, ma wiele wagi.

Paweł rzucił na tego człowieka wylękłe spojrzenie. Dalsze przesłuchanie odroczonem zostało.

Owe pięć minut były dla Pawła całą wiecznością; musiał zająć miejsce na ławie świadków. Ojciec bezprzestannie mierzył go wściekłem spojrzeniem, ale nie dał mu znaku, że chce z nim pomówić.

Wprowadzono Elżunię napowrót do sali, trupio bladą a Paweł wszedł znowu po za kratki.

— Raz jeszcze upominam pana — rozpoczął prezydujący — byś we wszystkich szczegółach trzymał się ściśle prawdy, bo jak pan wiesz, każde słowo zeznania pańskiego stwierdzone zostanie przysięgą.

— Wiem o tem — rzekł Paweł.

— Jednakże, jak to już panu wiadomo, masz prawo odmówić zeznania, jeśli sądzisz lub możesz się obawiać, że te zeznania ściągnąć mogą na kogoś blizkiego panu karę sądową. Czy chcesz i możesz pan, jak poprzednio, teraz z prawa tego uczynić użytek?

— Nie.

Wymówił to słowo pewnym głosem, wyraźnie, bo w duszy jego powstała pewność, że gdyby te-

raz milczał, dobra sława Elżuni przepadłaby nieodwołalnie.

— Jeśli jednak przysięga moja będzie krzywoprzysięztwem?... ozwało się w głębi jego sumienia. Ale już było zapóźno.

— A zatem — po co poszedłeś pan do ogrodu w Helenenthalu? — pytał prezydujący.

— Chciałem — naprawić to, czem w domu naszym przeciw panu Douglasowi zawiniono.

Szept nieprzyjemnego zawodu i niedowierzania rozszedł się po sali.

— I dla tego zakradłeś się pan do cudzego ogrodu?

— Czułem nieprzeparte pragnienie spotkania kogokolwiek, którego mógłbym przeprosić za to co zaszło.

— I na to noc sobie pan obrałeś?

— Nie mogłem zasnąć.

— I to niepokój zagnał tam pana?

— Tak jest.

— Czy spotkałeś pan kogo w ogrodzie?

— Nie, nikogo.

— Czy byłeś pan tam kiedy już poprzednio w tej samej porze?

Długa chwila milczenia; potem ponownie „nie“ wyszło z ust jego, ale tym razem ciche, jakby gwałtem wydarte sumieniu...

Naprężenie, z którem wszystkie umysły śledziły każdą jego odpowiedź, poczęło ustępować, pre-

zydujący jął przerzucać akta a Elżunia patrzała wciąż na niego wielkiemi, pozbawionemi blasku oczyma.

— Gdzie byłeś pan, kiedyś najpierw spostrzegł pożar?

— Może o jakie dwadzieścia kroków od helenenthalskiego dworu!

— I co zrobiłeś pan wówczas?

— Przestraszyłem się bardzo i natychmiast pobiegłem przez łąki do domu.

— Jaką drogą opuściłeś pan ogród?

— Przez parkan.

— Pan zatem *nie* otwierałeś furtki, która z ogrodu na dziedziniec prowadzi?

— Nie.

— I nie przechodziłeś pan od strony frontowej fasady dworu?

— Nie.

Nowy niepokój objawił się w zgromadzeniu całem. Mały człowieczek z pękiem kluczy podniósł się i rzekł:

— Prosiłbym pana prezydującego, aby raz jeszcze zechciał przesłuchać pannę Douglas w przedmiocie tego, co jak utrzymujemy, usłyszała tej nocy.

— Panno Douglas, proszę — ozwał się prezydujący.

Przeciągle na Pawła rzuciwszy spojrzenie, przestąpiła kratki sądowe. Tuż obok siebie stali teraz

pośród obszernej, tłumem ludu napełnionej sali, jakby z sobą byli złączeni.

— Dokąd biegły kroki, które pani posłyszałaś, kiedy cię zbudził blask pożaru?

— W stronę dziedzińca — odpowiedziała cicho, tak że ledwie dosłyszeć było można.

— I słyszałaś pani wyraźnie trzask klamki u ogrodowej furtki?

— Tak.

— Namyśl się pani dobrze, czy ci się to nie zdawało tylko, czy to nie mogło być tylko złudzeniem?

— Nie, to nie było złudzenie, słyszałam dokładnie — odpowiedziała cicho, ale stanowczo.

— Dziękuję, możesz już pani powrócić na miejsce.

Niepewnym krokiem poszła napowrót na dawne miejsce. Od owego, tak dla niej ważnego „nie“, jej oczy zawisły na Pawle i nie mogły oderwać się od jego twarzy. Zdawało się, że wobec tego zapomniała o wszystkiem innem.

— Gdy pan przeskoczyłeś przez parkan, jaką wówczas udałeś się drogą? — pytał prezydujący dalej, zwracając się do Pawła.

— Przez pole.

— A lasem nie szedłeś pan ani kawałka?

— Nie, wzdłuż lasu o jakie dwieście do trzystu kroków od niego.

— Czy na drodze nie spotkałeś pan nikogo?

— Widziałem cień dążący w kierunku lasu, który za nadejściem mojem zniknął nagle.

Nowy szept przeszedł całe audytoryum, oskarżony pobladł a oczy jego zamigotały niepewnym blaskiem. Prokurator nie spuścił z niego ani na chwilę oka.

Jeszcze kilka pytań mniejszego znaczenia, potem dozwolono już Pawłowi zająć miejsce.

Przywołano matkę i siostry, ale to, co one miały do zeznania, nie miało żadnej niemal wagi. Siostry patrzały ciekawie, nieomal zuchwale do koła. Matka płakała, kiedy jej kazano opowiadać chwilę obudzenia się podczas pożaru.

Paweł czuł się dumnym i szczęśliwym, że Elżunia przez niego nie została zdradzoną przynajmniej. Poglądał przed siebie z uśmiechem i rad był ze swej odwagi. Kiedy wszakże świadków zawezwano do złożenia przysięgi a on miał podnieść rękę przy wymówieniu roty przysięgi, zdało mu się, że stufuntowy ciężar zawisł mu u niej i że cichy, smutny głos jakiś szepcze mu w ucho: „Nie przysięgaj“.

Przysiągł jednak.

Kiedy usiadł na swojem miejscu, ten sam głos ozwał się znowu: „A możeś ty popełnił krzywoprzysięztwo?“ — Mimowolnie podniósł w górę głowę. I zdało mu się, że w powietrzu po nad głowami tłumów, przesunęła się postać szara i lekkiem tchnieniem owiała jego czoło.

Ściągnął brwi przekornie.

— A choćbym nawet krzywoprzysiągł, alboż nie uczyniłem tego dla niej?

Na chwilę dzika jakaś radość owładnęła jego duszę na tę myśl, w następnej jednak już chwili straszny ciężar spadł mu na piersi, ścisnął za gardło, splątał ręce i nogi tak, że zdało mu się, iż odtąd nie zdoła się już poruszyć nigdy.

Słyszał monotonny głos adwokatów, którzy wiedli rozprawę, ale nie zwracał na nią uwagi. Raz tylko poderwało go coś, kiedy obrońca z pękiem kluczy wskazując na niego cienkim swym, piskliwym głosikiem zawołał:

— Albo i ten świadek, panowie przysięgli, który nocą w sposób wielce tajemniczy włóczy się po cudzych ogrodach i używa wszelkiego rodzaju psychologicznie nieprawdopodobnych wymówek, aby osłonić czułe pobudki nocnych swych przygód, czyż należy mu wierzyć, kiedy utrzymuje, że nagle zobaczył cień jakiś, który mu zaraz zniknął gdzieś z oczu — cień, który prawdopodobnie wylągł się w jego nadmiernie rozpłomienionym umyśle?—Cóż on tam robił w cudzym ogrodzie, panowie przysięgli? Pozostawiam waszej przenikliwości i waszej znajomości życia rozwiązania tej zagadki, a co się tycze świadka, to jego już rzecz pogodzić ową przysięgę z własnem sumieniem.

Wtedy już zupełnie upadł na duchu.

Przysięgli wyrzekli „winny“ i Michał Rauczus skazany został na pięć lat ciężkiego więzienia.

W tej samej chwili, kiedy prezydujący oznajmiał wyrok sądu, rozległ się śmiech szyderczy na sali. To stary Meyböfer tak się zaśmiał. Podniósł się na swem krześle i wyciągnął skurczone dłonie w stronę Douglasa, jakby chciał mu się rzucić do gardła.

Kiedy go wynoszono, wołał bezprzestannie:

— Małych łotrów wieszają, wielkich puszczają swobodnie

Przykro rozbrzmiewał śmiech bezsilnego starca po długich kurytarzach sądowych.

XVI.

Zima nadeszła i minęła... Pole pokryło się śniegiem i znowu zazieleniło... Kwiatki żabińca podniosły znowu z ziemi złote swe główki... jałowiec puścił świeże delikatne pędy a z błękitów rozbrzmiewał śpiew skowronka.

Tylko na folwarku wciąż jeszcze nie powracała wiosna. Wprawdzie Paweł postarał się z niemałym trudem o ziarno do siewu, wprawdzie już na miejscu dawnych zwalisk stanęła drewniana budowla, ale nadzieja w lepszą przyszłość nie powróciła jeszcze dotąd. Machinalnie spełniał swe obowiązki, nie doznając nawet radości z ich spełniania i coraz, coraz głębiej żłobiły się zmarszczki na jego czole. Więcej niż kiedykolwiek rozmyślał teraz, a trwoga, że popełnił krzywoprzysięztwo, nie dawała mu spokoju.

Całe miesiące minęły, zanim wreszcie rozpatrzył się jasno w całej sprawie. Dokładnie przypominał sobie pytanie, które mu zadał prezydujący i doszedł do przekonania, że inaczej odpowiedzieć nie mógł żadną miarą. W samej rzeczy, po raz to pierwszy wdarł się nocą do cudzego ogrodu; co kiedyś w pewną noc uroczą zaszło po za obrębem ogrodu, cóż *to* mogło obchodzić sędziego?

— Nie, krzywoprzysięzcą nie jestem, — mówił sobie — tylko tchórzem, chłystkiem, który przed samym już cieniem czynu cofa się wylękły. Czy liż nie powinienem był dumnie i z radością krzywoprzysiądz, gdy szło o Elżunię? Wówczas *byłbym* czemś przynajmniej, wówczas byłbym coś przecież uczynił, kiedy dziś wegetuję tylko bez odrobiny odwagi w duszy, ot, parobek, chłop i nic więcej!

I w umyśle tego „arcywzoru“, jak go nazwał niegdyś Leon i za jakiego uchodził w wyobrażeniu wielu, powstało pragnienie zostania wielkim przestępcą, bodaj zbrodniarzem nawet dlatego tylko, by módz zadokumentować własne „ja“. Obie te chwile kiedy stał na dachu podczas ognia a potem przed kratkami sądu, były dlań żywem wcieleniem pojęcia o ludzkiej dolegliwości,—a im więcej pracował, im więcej stwarzał, tem więcej próżniaczem i bezużytecznem wydawało mu się to życie.

Ojciec dotąd jeszcze przykuty był do swego przenośnego krzesła, którego, wedle wszelkiego

prawdopodobieństwa nie miał już opuścić nigdy, złamana noga bowiem źle została wyleczoną. Nadąsany, gderający, siedział bezczynnie w swym kącie, przerzucał bezmyślnie stary jakiś kalendarz i łajał każdego, co mu wszedł w drogę. Względem Pawła tylko miał pewien rodzaj niechętnego poważania irytował się, ilekroć go zobaczył tylko, nie śmiał jednak otwarcie przeciw niemu wystąpić nigdy.

A matka!

Stała się jeszcze słabszą, jeszcze więcej właściwie tylko znużoną, zresztą mało mogłeś zauważyć w niej zmiany, kto przecież baczniej słuchać umiał, ten posłyszeć mógł w powietrzu szum taki, jakby jastrząb szybował po nad domem na polu i coraz, coraz ciaśniejsze zataczał kręgi, aby pewnego dnia nagle rzucić się na swą ofiarę.

Ona sama zapewne słyszała dokładnie szum tych skrzydeł, wiedziała nawet, co on oznacza, ale milczała, jak milczała przez całe swe życie.

A szczęście wciąż nie przychodziło jeszcze!

W początkach kwietnia położyła się. „Osłabienie ogólne“ skonstatował wezwany lekarz i zalecił wyjazd do wód żelazistych. Uśmiechnęła się i prosiła go, aby do nikogo nic nie mówił o tych wodach, bo wiedziała, że Paweł zapracowałby się na śmierć, aby jej tylko ułatwić tę kuracyę.

Kuracyę, która i tak nicby nie pomogła! Bo ona wiedziała dobrze, czego jej było potrzeba: słonecznego promienia! Zbyt ciasno stuliła ją

Kuma Troska swemi skrzydły, zbyt gęstą szarej mgły zasłonę nad nią rozpostarła, aby przez nią mógł się przedrzeć najwęższy choćby promyczek słońca do jej duszy.

Na bliźnięta spadł teraz obowiązek zajęcia się gospodarstwem kobiecem. A szła im sławnie wszelka robota od ręki, to przyznawać musiał sam Paweł. Jeśli co stłukły, śmiały się serdecznie a gdy im wzbroniono spaceru, płakały niemniej rzewnie, ale płacz niebawem zmieniał się w śmiech znowu, a stół nigdy nie był tak szybko nakryty, naczynia do mleka nigdy tak błyszczące od czystości jak teraz za czasów ich gospodarki.

Matka widziała to wszystko ze swego okna i mówiła sobie:

— Dobrze, że już odchodzę — już, bo ze mnie nie było na świecie pożytku.

Około Zielonych Świątek począł ją sen opuszczać, pokazała się też i gorączka.

— Ah, jakaż ta chinina droga! — wzdychał Paweł, kiedy parobek na koniu jechał do apteki i poglądał, jakby szukając ratunku na czarną Zuzę, ale ta stała nieporuszona. Często trzeba było wstrzymywać roboty w polu, aby zebrać na dom nieco grosza wycięciem kilku fur torfu.

Matkę począł nachodzić jakiś niepokój dziwny i żądała, aby w nocy ktoś zawsze był przy niej. Bliźnięta przecież, które przez dzień się napracowały porządnie, zasypiały zaraz w nocy przy chorej, we śnie padając najczęściej w poprzek

jej łóżka, tak że biedna słaba kobieta często musiała jeszcze dźwigać ciężar ich ciał kwitnących i zdrowych.

Paweł odesłał siostry na spoczynek a sam objął urząd czuwania przy chorej.

— Idź ty spać, mój synu — mówiła matka — tobie z nas wszystkich najpotrzebniejszym jest spoczynek!

Ale on pozostawał — i w noce majowe, kiedy ukwiecone drzewa rozmawiały z sobą szeptem a woń bzów przez szpary okien wpływała do pokoju, częstokroć siedziało tych dwoje całemi godzinami z dłonią w dłoni i patrzało na siebie wzajem tak, jak gdyby Bóg wie co mieli sobie do powiedzenia. Tak to zresztą zdawna już bywało między matką tą a synem. Pełnia ich miłości szukała sobie słów, ale troska odbierała im mowę.

Rano, kiedy słońce zeszło, Paweł zanurzał głowę w zimnej jak lód wodzie i szedł napowrót do roboty...

Obecność jego o tyle uspakajała matkę, że od czasu do czasu przynajmniej mogła usnąć. Wtedy on wysuwał się na palcach z pokoju i przynosił od siebie książki, w których tak uczenie i tak niezrozumiale zarazem opisaną była konstrukcya maszyn parowych. Głowa jego znużona długiem czuwaniem i odwykła od wszelkiej umysłowej pracy, z trudnością zaledwie zdołała pochwycić znaczenie tych słów ciemnych — ale — wszakże

miał czas i pracował też niezmordowanie—strona za stroną, jak rolnik co kamienistą orze glebę.

Ilekroć matka otwarła oczy, pytała zawsze:

— Jakże zaszedłeś już daleko, mój synu?

I musiał jej opowiadać a ona rozumiała lub przynajmniej udawała, że rozumie wszystko.

Ale gdy spytała:

— A na co ty to robisz? — wówczas przybierał tajemniczą minę i z uśmiechem jej odpowiadał:

— Uczę się robienia złota.

— Biedny mój chłopcze — odpowiadała, głaszcząc jego włosy.

Pewnej nocy, coś zaraz po Zielonych Świątkach, znowu jakoś nie mogła zasnąć.

— Poczytaj mi trochę z tych uczonych książek — rzekła — one tak doskonale są nudne, że słuchając ich może przecież zasnę.

I zrobił, jak sobie życzyła, ale kiedy tak z godzinę może poczytał, spostrzegł, że nań wciąż pogląda wielkiemi, rozgorączkowanemi oczyma i mniej niż kiedykolwiek myśli o zaśnięciu.

— A więc ty z tego chcesz robić złoto — zapytała.

— Tak, mateczko — odpowiedział zaniepokojony, bo ten powrót gorączki strwożył go bardzo.

— I jakże ty chcesz się wziąść do tego?

— Już zobaczysz, mateczko — odrzekł jak zazwyczaj.

Ale ona nie dała się zbyć tym razem.

— Lepiej, drogi mój chłopcze, powiedz mi to teraz — prosiła — powiedz teraz... Kto może wiedzieć co się stanie?... Chciałabym bodaj złudzenie jakieś, bodaj jakąś drobnostkę zabrać z sobą na pociechę, zanim na zawsze zasnę...

— Matko — zawołał poważniej.

— Cicho, mój chłopcze — rzekła — i cóż zależy na tem? Ale opowiedz mi... opowiedz!

Błagała, jakby we wzrastającej trwodze, że za minutę, parę — może już być za późno...

Z zapartym oddechem i bezładnemi słowy, mówił jej o tem o czem marzy, jak chce zbudzić do życia czarną Zuzę, tak aby pokład torfu wyczerpać aż do najgłębszej jego głębi — ale wpośród opowiadania przejęła go nagła trwoga, z łkaniem upadł na kolana przed łóżkiem i ukrył twarz na jej piersi.

Ona kazała mu powstać i rzekła:

— Niesłusznie zrobiłam, trwożąc cię — bezpotrzebnie. Jeśli Bóg zechce, wszystko zmienić się może jeszcze na dobre. To, coś mi tu opowiedział, wielką sprawiło mi radość. Ja wiem, że kiedy ty coś w ręce weźmiesz, nieprędko to porzucisz. Pragnęłabym tylko módz jeszcze tego dożyć...

Tym sposobem zwolna i niepostrzeżenie dodawała mu odwagi, choć wiedziała dobrze, że już niczego spodziewać się nie może.

Innej znów nocy, kiedy znużony nad miarę, zasnął na krześle, poczęła wołać go po imieniu.

— Czego życzysz sobie, mateczko? — spytał, budząc się ze snu.

— Nic — odrzekła. — Przebacz mi, powinnam była nie przerywać ci odpoczynku. Ale kto wie, jak długo jeszcze będziemy mogli mówić z sobą... chciałabym przynajmniej czas ten, o ile się da, wyzyskać!

Tym razem zbyt był rozespany, aby zrozumieć znaczenie słów tych. Siadł obok niej, ujął jej rękę, ale oczy natychmiast napowrót mu się zwarły.

— Byłam ja niegdyś bardzo wesołą, młodą dziewczyną, niewiele różną od sióstr twoich dzisiaj... Serce zdawało się, że mi wyskoczy z radości, z wesela a oczy patrzyły w dal ciągle, jak gdyby ztamtąd dla mnie zejść miało coś nadzwyczajnego, coś niezmierzenie pięknego... królewicz jakiś, książę czy coś w tym rodzaju. Raz nawet zbudziła się w sercu mojem miłość — ta miłość wielka, niebiańska, która jak fatum spada na człowieka. Ale on mnie nie chciał mieć za swoją... był smukły, włosy miał jasne i oczy pełne blasków... On widział dobrze moją dlań miłość i pewnego dnia, kiedy był w szczególnie wesołem usposobieniu, pochwycił mnie w pół, uścisnął a potem puścił... Ale ja czułam się szczęśliwą, cieszyłam się, że bodaj raz trzymał mnie w swem objęciu.

Zatrzymała się. Oczy jej błyszczały blaskiem młodości, twarz oblała się różowym, dziewiczym niemal rumieńcem — dziwnie odmłodniała w tej

chwili. Wtem spostrzegła, że Paweł zasnął i umilkła smutna.

Skoro się obudził, rzekł:

— Zdawało mi się, mateczko, żeś mi coś opowiadała.

— Pewnie ci się to śniło — odrzekła z uśmiechem, ale myśl jej przez ten czas przebiegła całe życie i z wszystkich zakątków pozbierała wszelkie resztki radości, jakie tam kiedykolwiek wpadły.

— Doprawdy, nie wiem dla czego — mówiła teraz — przez całe życie moje byłam tak smutną zawsze. Bo dziś, kiedy myślą wstecz się cofam, widzę, że właściwie nigdy żadne wielkie nie dotknęło mnie nieszczęście. Wprawdzie, przykro to było wyjeżdżać z Helenenthalu lub wówczas, kiedy w nocy zobaczyłam pokój widny od łuny czerwonej, tak że strach sparaliżował mi członki, — ale tak w ogóle, biorąc ściśle całość życia, przecież zawsze dobrze mi było na świecie. Wszystkieście wy, dzieci, wychowały mi się szczęśliwie, żadnego śmierć mi nie zabrała... jeść co mieliśmy zawsze także. Prawda, że ojciec czasami tam gderał,— ale to już inaczej nie może być w małżeństwie, sam się o tem kiedyś przekonasz... Wy, dzieci, wszystkieście mnie zawsze kochały... Chłopcy wyrośli mi na porządnych, uczciwych ludzi, a z dziewcząt będą z czasem również uczciwe kobiety, jeśli Bóg pozwoli a ty ich z oczu nie spuścisz. Czegóż zatem właściwie chciećbym mogła?

I tak dręczyła się biedna ta, zwolna na śmierć zamęczona kobieta, aby dociec, co ją na śmierć zamęczyło. Zwolna, po trochu, Kuma Troska odchylała z jej głowy szarą swą oponę, ażeby śmierć mogła swobodniej owionąć ją swojem tchnieniem.

I pewnego wieczora umarła.. Oczy jej się zwarły na zawsze, tak cicho że sama nie wiedziała o tem Lekarz, którego jeszcze przyzwano, mówił coś o zaniku sił, o anemii; romantycy mówią tylko w takich razach: „umarła, bo jej serce było złamane".

Gorzko płacząc, klęczały bliźnięta u jej łóżka, ojciec, którego wniesiono tu z krzesłem, szlochał głośno i gwałtem chciał ją napowrót przywołać do życia... Paweł stał w głowach łóżka i zagryzał do krwi wargi.

— Jednakże miałem racyę — myślał sobie — umarła, zanim nam weszło słońce szczęścia. Zgłodniała musiała odejść od stołu życia, tak jakem to wówczas powiedział.

Dziwił się sam sobie, że nie doznaje tak wielkiej boleści, jak sobie to wyobrażał zawsze przedtem. Tylko bezładne myśli, najniedorzeczniejsze jakieś rzeczy, które wciąż przelatywały mu przez głowę, jak nietoperze wśród zmroku, okazywały jawnie, jakim w tej chwili był stan jego umysłu.

Wybiła północ, wówczas odezwał się ojciec:

— Dzieci, trzeba nam teraz iść na spoczynek... Kto może zasnąć, niech się spać stara... Ciężkie czekają nas chwile.

Ucałował bliźnięta, potem uścisnął rękę Pawła i kazał się odnieść do swego pokoju.

— Jaki dziś ojciec dobry! — myślał Paweł — za jej życia nigdy takim nie był.

Siostry z płaczem uczepiły się jego szyi, domagając się, aby czuwał przy nich. Tak się bały okropnie.

Paweł ich uspakajał, odprowadził do ich pokoiku i przyrzekł, że za godzinę przyjdzie zajrzeć do nich.

Kiedy w oznaczonej porze ze świecą w ręku przyszedł do ich pokoju, zastał je mocno śpiące. Leżały w jednem łóżku, przytulone do siebie, obejmowały się za szyje uściskiem, a na różowych policzkach błyszczały jeszcze łzy.

Potem poszedł do drzwi pokoju ojca, nasłuchując, a kiedy i tu zupełną znalazł ciszę, usunął się na palcach do pokoju, w którym leżała zmarła. Chciał po raz ostatni czuwać przez noc przy niej.

Siostry, odchodząc spać, zakryły twarz umarłej białą chustą, odjął ją teraz, założył ręce i przypatrywał się, jak migotliwy płomień lampy odbijał się w woskowych rysach. Zmieniła się nadzwyczaj mało, tylko błękitne gałązki żyłek na skroni wystąpiły silniej jeszcze i rzęsy rzucały głębsze cienie na zapadłe policzki.

Zapalił nocną lampę, która przez ciąg jej choroby co noc paliła się przy jej łóżku, usiadł na krześle, na którem siadał zazwyczaj i zamierzał po cichu modlić się za umarłych.

Nagle jednak przyszło mu na myśl, że zapomniał posłać po stolarza, aby na czas mógł wziąść miarę na trumnę. Prosta to miała być trumna, czarno pomalowana — za całą ozdobę stać miała girlanda z wrzosu do koła - bo tę drobną, skromną roślinkę matka lubiła bardzo.

Ile też trumna kosztować może? — myślał dalej i nagle trwoga przejęła go do głębi duszy bo nie miał on za co pochować zmarłej. Począł liczyć, nie mógł jednak przyjść do żadnego wyniku.

— Po raz to pierwszy ona potrzebuje coś dla swej osoby — szepnął zcicha i przypomniał sobie zwykłe jej wytarte, poniszczone suknie, co trwały całemi latami.

Zsumował wszystko, coby mógł zebrać na prędce, ale była to drobna kwota, daleka od tego jeszcze, co mogły wynosić koszta pogrzebu. Nawet trzy furmanki torfu, które mógłby bądźcobądź jeszcze jutro i pojutrze wysłać do miasta, nie mogły wpłynąć na zmianę sytuacyi.

Wziął potem ćwiartkę papieru i począł liczyć koszta:

Trumna.....	15	talarów
Miejsce na cmentarzu....	10	„
Zakrystyanowi.....	5	„
Całun.....	2	talary

Potem koszta pogrzebu, który ojciec zechce uczynić prawdopodobnie o ile możności jak najwspanialszym:

10 butelek portweinu..... 10 talarów
1 pudełko cygar..... 2 talary
piwo..... 2 „

Dodatki do ciast... mąka pszenna była wprawdzie w domu, ale cukier, rodzynki, migdały, woda różana i tam dalej, wszystko to trzeba było kupić. Ileż to wynieść może razem? Rachował pilnie, ale jakoś nie wiedział cen tych wszystkich przedmiotów.

— Matka będzie to wiedzieć — pomyślał, i już zamierzał spytać jej o radę, gdy ujrzał — że leży umarła.

Przeraził się okropnie. Teraz dopiero, kiedy imaginacya przedstawiła mu ją żywą, pojął, że ją utracił. Omal nie krzyknął głośno, ale zapanował nad sobą, bo musiał liczyć dalej.

— Przebacz mi, mateczko moja najdroższa — rzekł, głaszcząc ręką twarz jej zimną — nie mogę jeszcze zacząć cię żałować, pierwej muszę złożyć cię w ziemi...

. . . . . .

We trzy dni później miał się odbyć pogrzeb.

Jak to przewidywał Paweł, ojciec nie mógł przenieść na sobie, by nie spożytkować tej okoliczności tak nadającej się do odznaczenia i przypomnienia znów ludziom. Do wszystkich swych przyjaciół w mieście wysłał zaproszenia na eleganckim papierze z szerokiemi na palec obwódkami. Dał w nich wyraz swojej boleści w pięknych, kwieciście dobranych wyrazach, nie zapomniaw-

szy nigdzie umieścić swego podpisu, opatrzonego wielkiemi zakrętasami.

Wieczorem w przeddzień pogrzebu, kiedy zwłoki właśnie miano złożyć do trumny, przybyli obaj bracia. Od lat wielu nie byli oni już w domu i Paweł zaledwie ich poznał. Godfryd, nauczyciel gimnazyalny, postać wielce poważna z surowym wyrazem twarzy i okrągłym już brzuchem wprowadził pod rękę młodą, w krepy żałobne przybraną pannę, która zdziwionem spojrzeniem mierzyła niskie, ubogie izdebki i starała się mieć twarz równie uprzejmą jak smutną, położenie jej bowiem obu tych rzeczy wymagało... Maks, kupiec, szedł za nimi. Wyglądał nieco na birbanta, śmiało podkręcony jego wąsik, daremnie chciał się nagiąć do sytuacyi świeżo osieroconego syna a żałoba jego mniej się okazywała w boleści, jak raczej w niezadowolnieniu, w skrępowaniu pewnem.

Obaj bracia uścisnęli ojca uroczyście a obca pani schyliła się i ucałowała jego rękę. Potem przywitali się z siostrami, które w żałobnych swych sukienkach świeższemi jeszcze i piękniejszemi się wydawały niż zwykle. Pawła, który stał przy drzwiach i zaambarasowany miął w ręku czapkę, przeoczyli zupełnie.

Nakoniec zapytał Godfryd:

— A gdzież jest nasz brat?

Wtedy wyszedł on nieśmiało naprzód i podał mu rękę...

Trzy pary oczu zmierzyły go od stóp do głów bacznie, jakby go brały na ścisły egzamin...

— Ah, gdybym już mógł ztąd wyjść—pomyślał, i jak tylko przyzwoitość pozwoliła, wyszukał sobie jakieś zajęcie w stajni.

Godfryd poszedł tam za nim. Paweł przestraszył się, zobaczywszy go zmierzającego w tę stronę, bo nie wiedział co mówić z tak dystyngowanym człowiekiem.

— Kochany bracie—rzekł tenże— mam do ciebie prośbę. Czy nie mógłbyś dla mojej narzeczonej dać wygodniejszego jakiego pomieszczenia. Jest jej tam trochę ciasno i niedogodnie w pokoju dziewcząt.

— Mogę jej ustąpić mego pokoiku na facyatce— rzekł Paweł.

— Rzeczywiście, zobowiązałbyś mnie tem niezmiernie, gdybyś zechciał tak zrobić.

Potem zadał jeszcze kilka pytań w kwestyi inwentarza i długów, ciążących na folwarczku.

— Biedni wy — rzekł wreszcie — niemało mieliście troski. Ale czy też przynajmniej położyłeś sobie za zadanie uprzyjemnić o ile możności ostatnie chwile życia matki, czy starałeś się ulżyć jej wszelkich kłopotów?

Paweł zapewnił, że wszystko, co tylko leżało w zakresie jego sił i możności, starał się spełnić.

— To mnie cieszy — odpowiedział brat surowym tonem — byłoby to bowiem ciężkiem zaniedbaniem obowiązków, gdybyś był nie dopełnił

tego. A teraz chodź, trzeba nam społem stanąć u zwłok naszej błogosławionej, ażeby z niebios widzieć mogła zgromadzone wszystkie swe dzieci.

Podał Pawłowi rękę i pociągnął go z sobą do pokoju, w którym pośród kwiatów i świec spoczywała spokojnie matka i gdzie już wszyscy byli zebrani.

Paweł, zaambarasowany, zatrzymał się we drzwiach. Dałby był wiele za to, gdyby mógł bodaj na chwilę sam pozostać ze zmarłą, że to jednak było niepodobnem, wysunął cię po cichu i z zewnątrz przez okno patrzał do pokoju, wmieszawszy się w tłum ciekawych ze wsi, jakby należał do ich grona..

W chwilkę potem przyszedł do niego Maks i poufnie odprowadził go na stronę.

— Mam do ciebie prośbę, kochany chłopcze — rzekł — gardło mi wyschło zupełnie od pyłu w drodze i od płaczu. Nie mógłbyś mi się postarać o szklaneczkę piwa?

Paweł odpowiedział, że wprawdzie są w domu dwie baryłki, ale że te miały jutro dopiero zostać otworzone, przeznaczone są bowiem na uroczystość pogrzebu.

— Daj mi tylko kran — odpowiedział Maks — ja się znam na tem dobrze i zaręczam ci, że piwo w baryłce jutro będzie tak samo świeżem jak dzisiaj. Chodzi tylko o to, aby się umiejętnie zabrać do rzeczy.

A kiedy Paweł spełnił jego życzenie, odwrócił się do niego plecami i poszedł.

O jedenastej pogaszono świece przy trumnie — wszyscy udali się na spoczynek.

Paweł spostrzegł wówczas, że dla niego nie pozostało w całym domu wolnego łóżka i poszedł na górkę, nad stajnią, gdzie złożone było siano; tam spędził noc, nie położywszy się nawet, na rozmyślaniu o wszystkiem...

O dziesiątej z rana pojawili się pierwsi goście i to tacy właśnie, którzy ani się zapowiedzieli, ani też w ogóle byli spodziewani. Kiedy Paweł spostrzegł ich przybycie, pierwszą jego myślą było:

— Czy też zaopatrzyłem się dostatecznie w jedzenia i napoje dla nich? — a im więcej przyjeżdżało wózków i furmanek, im więcej całkiem obcych ludzi podawało mu ręce, w czarnych opięte rękawiczkach, tem bardziej wzrastała jego trwoga, tem głośniej brzmiały mu w uszach słowa: „To, coś przygotował, z pewnością ci nie wystarczy!“

Ojciec miał dziś znowu swój dzień wielkości.

Siedział rozparty w przenośnem krześle, jakby na tronie — z dwoma starszymi synami obok siebie, niby wasalami — i pozwalał się podziwiać w swej boleści.

Ilekroć nowy jakiś gość przystąpił do niego, ściskał podaną sobie prawicę oburącz, jak gdyby on to miał wyrażać przybyłemu swoją kondolencyę,

schylał z wyrazem ciężkiej boleści głowę i mówił z dławionym od smutku głosem urywane słowa, jak: „Tak, odeszła nas, odeszła! — Niema jej, niema!... Niema na świecie balsamu na rany serca! Oby niebo wynagrodziło ją za to wszystko, czem przeciw niej zawiniła ziemia!...“ i inne tego rodzaju puste frazesy.

Wśród tych pompatycznych frazesów przerywał sobie nagle wołaniem na Pawła:

— Mój synu, nie pamiętasz o winie! — Mój synu, pan Wigmann prosi o cygaro! — Mój synu, uważaj pilnie, aby się goście nasi orzeźwili?

Paweł biegał od jednego do drugiego, jak kelner, z trwogą liczył butelki, które zmniejszały się z przerażającą szybkością i zazdrościł siostrom, które w ładnych żałobnych sukienkaah spokojnie mogły sobie siedzieć w kąciku, płakać i słuchać pocieszeń przyszłej bratowej. O tych sukniach żałobnych zapomniał w swoim obrachunku zupełnie i całe szczęście jeszcze, że kupiec dał mu je na kredyt, inaczej bowiem siostry nie byłyby się mogły pokazać na pogrzebie.

On sam w popielatem niepozornem swem ubraniu wyglądał tak zupełnie, jakby nie należał do żałobnej rodziny i większa też część gości, którym był nieznany, przechodziła koło niego obojętnie, dowiadując się o jego istnieniu wówczas dopiero, kiedy im podawał wino lub cygara.

Na podwórzu zebrała się gromadka nieznajomych kobiet, które lubiły zmarłą za jej cichy

i naturalny układ; chciały one przyłączyć się do pogrzebowego orszaku, nie zamierzając bynajmniej wchodzić w towarzystwo zebrane w domu.

Ale sokoli wzrok ojca, który dziś objawiał uzdolnienie wodza na polu bitwy, natychmiast je odkrył.

— Pawle, mój synu — zawołał — wyjdźno na dziedziniec i znaglij te panie, aby weszły do domu żałoby.

Paweł z wahaniem spełnił ten rozkaz, nie wiedział bowiem w jakie słowa ubrać zaproszenie. Kiedy stanął na progu, wzrok jego naprzód padł na Elżunię, która w prostej czarnej sukience stała pośród wiejskich kobiet, trzymając w ręku wieniec z róż białych. Skoro go zobaczyła, łzami napełniły się jej oczy.

Na chwilę doznał takiego wrażenia, jak gdyby trzeba było biedz do niej, ukryć głowę w fałdach jej sukni, aby tam módz się wreszcie wypłakać, ale do koła stali inni, co nań patrzyli. Skłonił się niezgrabnie i rzekł:

— Ojciec polecił mi prosić, czy panie nie zechcą pójść do zmarłej.

Kobiety zwolna weszły do środka domu, tylko Elżunia zawahała się.

— A ty nie wejdziesz? — spytał.

— Mój biedny, kochany Pawle — rzekła i pochwyciła jego rękę.

Zamknął oczy i zatoczył się w tył kilka kroków.

— Chodź— rzekł, zapanowawszy nad wzruszeniem — chodź popatrzeć na nią, ona cię zawsze kochała...

— Pawle, mój synu, gdzie ty jesteś? — rozległ się głos ojca z głębi domu.

— Pawle — wymówiła, a łzy przerywały jej mowę—nie powinieneś rozpaczać, są przecież inni jeszcze, którym jesteś... drogim.

— O, tak — odpowiedział — wiem o tem... ale chodź... ja muszę iść nalewać wino!...

Westchnęła głęboko, potem nieśmiało weszła za nim i wmieszała znowu między obce kobiety.

— Pawle, chodźno tutaj! — skinął na niego ojciec, który dzisiaj wmówił w siebie, że powróciły dlań czasy dawnej w domu przewagi, a kiedy Paweł pochylił się nad nim, szepnął mu w ucho:

— Słyszę, że brakuje ci wina? Co to znaczy? Czyż chciałbyś nas wystawić na pośmiewisko ludzi?

— Zdaje mi się, że jest jeszcze parę butelek — odpowiedział Paweł.

— Starajże się, aby ci wystarczyły, dopóki proboszcz nie przyjdzie; kobietom jeszcze trzeba nalać po kieliszku, słyszysz?

— O, żeby też proboszcz przyszedł jak najprędzej! — westchnął Paweł, starając się do połowy tylko napełniać winem kieliszki.

I przyszedł nakoniec proboszcz. Całe towarzystwo posunęło za nim do pokoju, w którym leżała na marach zmarła. Cały pokój skąpany był w bla-

skach słońca a łamiące się promienie, co wpadały po przez liście lip przed oknami, które zlekka poruszały się pod tchnieniem wiatru, migotały wesoło po marmurowem zmarłej obliczu.

Paweł pomógł przenieść ojca z krzesłem, które ustawiono w głowach trumny, potem sam cofnął się w najdalszy kąt pokoju, gdzie całe towarzystwo pogrzebowe, odwrócone do niego plecami, pozwoliło mu nieco odpocząć przynajmniej, a zmęczonym był bardzo tą ciągłą bieganiną.

Niedozwolonem mu było jednak długo korzystać z tego wypoczynku.

— Gdzież syn najmłodszy?—spytał proboszcz, który chciał, aby cała rodzina zgromadziła się koło trumny.

— Pawle, moje dziecko, gdzie jesteś? — wołał ojciec.

Trzeba było więc wystąpić z swego kąta i zająć miejsce przy trumnie, stanąć tuż po za krzesłem ojca.

Towarzystwo zebrane na pogrzeb poczęło coś szeptać, a niektórzy patrzyli nań zdziwieni, jakby chcieli mówić: „Jakto, więc i to także jest syn?— W takim razie zachowywaliśmy się niewłaściwie względem niego“.

I proboszczowi wpadały również w oko te migotliwe światełka, co się ślizgały po twarzy umarłej i zaczerpnął z nich wątek do swej mowy: „Przyświeca nam wprawdzie słońce ziemskie jasno, wspaniale, raduje serca wszystkich — ale

ono jest ciemnością, zupełną ciemnością w porównaniu z blaskiem niebieskim". Potem począł sławić umarłą i sławić także tych, co przy życiu pozostali, przedewszystkiem zaś wiernego małżonka i obu starszych synów, jako dumne filary domu; niemniej i dla Pawła spadły okruszyny tych pochwał jako szafarza, „który wiernym był Panu swemu do śmierci".

Szkoda tylko, że ten ostatni nie słyszał nawet tych miodowych słów pochwały! Bez jednej myśli w głowie, patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem. Oczy jego utkwione były we wstążkę na matki czepku, która chwiała się leciutko, ilekroć mocniejszy przewiew powietrza w ruch ją wprawił. Wydała mu się podobną do białego motyla, co porusza skrzydełkami zanim wzleci w powietrze.

Potem nakryto wiekiem trumnę. W tej samej chwili z dalszych rzędów zgromadzonej publiczności wydarł się krzyk przejmujący, straszny:

— Matko! matko!

Przelęknieni, zdziwieni, obrócili się wszyscy w tę stronę. Krzyk ten wydarł się z ust Elżuni Douglas, która teraz padła zemdlona na ręce obok stojącej sąsiadki.

Paweł zrozumiał ją doskonale. Przyszła jej na myśl chwila, w której tak samo czarne wieko trumny zamknie się nad ukochanem własnej jej matki obliczem. I w głębi duszy poprzysiągł sobie, że wówczas wiernie stanie przy niej z pocie-

chą. I ojciec spojrzał w tę stronę zkąd krzyk wyszedł, a w rysach jego malowało się wyraźnie pytanie: „To i ona tutaj?“

Przeniesiono Elżunię do przyległego pokoju i dwie kobiety pozostały przy niej, dopóki nie przyszła do siebie. Trumna zaś wzniesiona wysoko zachwiała się nad głowami tłumów i aż na karawanie dopiero stanęła spokojnie.

Paweł sięgnął po czapkę. Wtem przecisnął się do niego Godfryd, wciskając mu coś czarnego, miękiego w rękę.

— Zawiążże sobie przynajmniej tę krepę na rękawie — szepnął mu.

— Po co?

— Mógłby ktoś pomyśleć jeszcze, że *nie chcesz* nosić po matce żałoby. Paweł uląkł się tej myśli i zrobił czego żądano. Przykro mu to było, że się dał starszemu bratu tak zawstydzić, dopiero znacznie, znacznie już później zrozumiał, kto z nich dwu większą przywdział był po śmierci matki żałobę, kto ją opłakiwał szczerzej.

Cmentarz leżał odosobniony w pośrodku pola. Trzy sosny z dala od siebie stojące już go zwiastowały z daleka, a na szczycie wału, co go otaczał, rosły gęsto cierniowe krzaki.

Tam się skierował smutny orszak. Synowie szli tuż za trumną, ojciec z bliźniętami jechał nieco dalej w wózku.

Paweł poglądał przed siebie nieruchomym, wlepionym w ziemię wzrokiem; myślał o piasku,

w którym trzeba było brodzić... o winie... o Elżuni... o krześle ojca... i o wieńcu, który odczepił się na wpół od trumny i spadał aż na koła karawanu. Zamierzał uważać, żeby go wraz z trumną nie spuszczono do grobu, ale złożono na mogile.

Nad grobem stanąwszy, nie czuł nic, prócz palącego ognia w skroniach i kiedy proboszcz odmawiał modlitwę, jemu przyszło na myśl, że zamiast wina, mógł był nalewać piwo zebranym. Zaraz potem musiał zwrócić uwagę na bliźnięta, które w swym żalu poczęły jakieś niedorzeczności wyrabiać, chciały w grób się rzucać, mdlały. Wziął je pod ręce, ucałował i kazał złożyć głowy na swoich ramionach. Posłuchały go, zamknęły oczy, oddychając głęboko jak we śnie.

Kiedy pierwsze grudy ziemi spadły na trumnę z łoskotem, doznał przykrego wrażenia, jak gdyby w głowie jego toczyły się kule kręgielne bez przerwy do koła, a kiedy mogiła usypana z piasku w całej swej płowej nagości stanęła przed jego oczyma, myślał sobie: jutro tu już musi zazielenić się murawa...

Tłum się rozszedł, ojca odniesiono do wózka a trzej synowie pieszo powracali do domu, Maks i Godfryd mówili w cichym, uroczystym tonie o dawnych dziecinnych swych wspomnieniach, odnoszących się do nieboszczki, Paweł tylko milczał i myślał sobie:

— Dzięki Bogu niech będą, żem ją już złożył w ziemi.

Wciąż jeszcze szalała w jego mózgu chorobliwa działalność, moc przyzwyczajenia, wciąż jeszcze nic pojąć nie mógł, nic pojąć nie chciał... dopiero, kiedy wstąpił na dziedziniec dworka, który ze swemi dachówką krytemi oborami, ze śladami pogorzeli tak szaro, smutnie i opuszczenie wyglądał, wówczas nagle z szybkością i potęgą gromu, niby rzecz całkiem mu nowa, nieznana, przyszła nań świadomość:

— Niema już matki!

Obrócił się naraz, rękoma chwycił powietrze i jak rażony piorunem padł na ziemię...

XVII.

Lato minęło, nadeszła jesień, mglistemi swemi szaty otulając ziemię. Czerwone słońca promienie kładły się znużone na skraju lasu a wrzosy spuszczały ku ziemi purpurowe swe główki. W tym czasie na folwarczku, który dotąd cichszym był jeszcze niż zwykle, panować począł duch dziwny. Coś niby huk młotów, niby to dźwięk dzwonów, zarazem rozlegało się teraz ztamtąd po polu w ściśle odmierzonym takcie, raz przenikliwsze, to znowu głuche, ale niepozbawione nigdy pewnego melodyjnego dźwięku, który drżał długo w powietrzu.

Mieszkańcy wioski stawali zadziwieni na drodze; jeden pytał drugiego:

— Co się to dziać może u Meyhöferów?

A drugi odpowiadał:

— To coś tak brzmi, jak gdyby wybudował sobie kuźnię.

— No, co szczęścia, to w niej sobie pewnie nie ukuje!...

Ojciec, który jak zwykle poziewający i mrukliwy, siedział w swym kącie, na pierwszy dźwięk posłyszany żachnął się w krześle i przywołał bliźnięta, żeby się dowiedzieć co to znaczy. Ale i one nie wiedziały nic więcej nad to tylko, że dziś bardzo rano przybył z miasta jakiś rzemieślnik z młotkami, pilnikami, śrubami i że miał z Pawłem długą konferencyę nad jakiemiś planami czy rysunkami. Pobiegły czemprędzej zobaczyć coby to było, i cóż zastały?...

Po za szopą stała „czarna Zuza“, przybrana w sukienkę drewnianego rusztowania a na tem rusztowaniu stali: Paweł i przybyły rzemieślnik, pilnie coś obchodząc do koła, pukając, to znów odśrubowując i zaglądając do środka.

Zdziwione spojrzały na siebie bliźnięta, bo przeczuły, że tu chodzi o coś wielkiego, jednakże zawiadomić ojca o tej nowinie uważały za niepotrzebne; natomiast przypomniały sobie, że dwa maleńkie liściki, które były napisały, trzeba było coprędzej przez służącą odesłać na pocztę.

Paweł tymczasem stał wysoko na rusztowaniu i wsparty o smukły komin czarnej Zuzy, poglądał tęsknie ku torfowiskom, jak Kolumb, pragnący nowy świat odkryć.

Pierwszy krok na śmiałej tej drodze był już zrobiony. W długich bezsennych nocach, które nastąpiły po śmierci matki, kiedy boleść spiżowemi szpony ściskała mu serce, siadał on przed obrazem ukochanej zmarłej, co z skargą na ustach poglądała wciąż ku niemu i aby uniknąć tego pełnego skargi spojrzenia, zagłębiał się w swych książkach. Jak kret rył sobie swą drogę po przez ciemne teorye i kiedy w głowie mu szumiało, kiedy słabe ciało odmawiało mu posłuszeństwa, wówczas powtarzał sobie:

— Ostatnia jej nadzieja przepaść nie może.

Wówczas prostowały się znów jego członki, błyskawice energii rozświecały mu głowę i szedł naprzód w niezmęczonej działalności, aż póki chaos żelaznych zagadnień nie zmienił się dlań w harmonię zupełną, aż póki każde kółko nie stało się muskułem, każda rurka żyłką, obmyśloną na wzór ludzkiego ciała przez ducha wiekuistej twórczości.

Mijały nad tem tygodnie i miesiące. Tak całkowicie zatonął duch jego w tem pragnieniu świadomości, w tej żądzy tworzenia, że wszystko, co go zazwyczaj zajmowało i poruszało, gdzieś zniknęło w dali, jak niewyraźne cienie. Obraz matki teraz stawał przed jego oczyma spokojniejszym jakimś, łaskawszym, a nawet począł się doń uśmiechać; jakby niewidzialnemi naniesione rękami zgromadziły się obficie plony pól w stodole, a kiedy pewnego dnia ostatni snop owsa złożono

w gumnie, wtedy uderzył się ręką w czoło, jak człowiek co śni i zawołał:

— Doprawdy, zdaje mi się, że to wczoraj dopiero pierwsze widziałem w polu kłosy.

Im jednak więcej jego wiedza dojrzewała, tem bardziej w duszy jego wzrastała obawa o to, czy mu się uda co zamierzył. Kiedy pisał po ślusarza. biło mu tak serce, jak kandydatowi w dniu egzaminu. Działalność jego lękała się światła, jak gdyby to było świętokradztwem, lękał się bowiem zostać wyśmianym. Dopiero pierwszy huk młota, co badał puls czarnej Zuzy, rozgłosił wieść tę światu.

Przybyły majster musiał siadać do stołu z państwem, a ojciec tym sposobem przynajmniej manifestował swe niezadowolnienie, że mu nigdy na powitanie jego nie odpowiadał, przez cały zaś ciąg obiadu, ciągle coś pomrukiwał o waryatach i darmozjadach.

Ale nikt nie zwracał na to uwagi i robota szła swoim porządkiem. Podług wskazówek Pawła, rozebrano maszynę i badano wszystko po kolei aż do najdrobniejszych składowych jej cząstek. Błędy, które fachowy technik byłby odkrył na pierwszy rzut oka, dla tych dwu ludzi widoczne mi stać się mogły dopiero po długich, mozolnych badaniach. Czasami po całych godzinach rozprawiali nad jakąś drobną kwestyą, jak w parlamentarnych debatach.

Raz zniecierpliwiony majster spytał:

— Bo i dla czego nie posłałeś pan tego grata na reparacyę do fabryki?

Paweł przeląkł się. Prawda, to była myśl zdrowa! Dziś wydała mu się całkiem nową a przecież dawniej przychodziła mu już często do głowy. Ale nie chciał nigdy zastanowić się nad nią głębiej, bo mu się zdawała zbyt zuchwałą, zbyt śmieszną — a obok tego obawiał się, że mu czarną jego Zuzę mogą odesłać, jako nie dającą się już naprawić. Działo się z nim tak jak z ową wieśniaczką, co to wolała swego męża sama zakurować lekarstwami swemi na śmierć, niżeli zdecydować się na to, aby jej powiedzieli lekarze: „on jest nieuleczalnie chorym“.

Kiedy się zmierzchło, a majster i parobcy pokończyli roboty, on zwykł był jeszcze z godzinkę kręcić się po warsztacie, bez wielkiego celu właściwie, ot po prostu dlatego tylko, że nie chciał jeszcze opuścić czarnej Zuzy. Gdyby szedł za swym popędem, byłby noc całą pewnie trzymał straż przy niej; przynosił z sobą parę książek, rysunków — również bez celu, bo tu było całkiem ciemno — aby tylko wszystko to mieć razem. Robił to jednak w jak największej tajemnicy, bo jeśli kto miał silne przeświadczenie o tem, że Paweł był skończonym waryatem, to pewnie on sam najwięcej.

Pewnego wieczoru, kiedy po ciemku szukał jakiejś książki, którą chciał zabrać z sobą do szopy, w najgłębszym kątku szuflady wpadło mu

w rękę coś podłużnego, okrągłego, owiniętego w angielską bibułkę.

Poczuł w ciemności jak się zarumienił. Był to flet Elżuni. Jak się to stało, że o nim i o jego ofiarodawczyni teraz myślał tak rzadko? Cień boleści, co zawisł nad nim, pochłonął tę postać świetlaną, która w tym najciemniejszym z dni jego życia po raz ostatni mu się ukazała, a teraz pośród trosk powszednich i kłopotów, sama w cień się rozwiała także. W pierwszej chwili zaledwie mógł wywołać sobie w pamięci jej rysy, po trochu dopiero, zwolna obraz jej na nowo stanął przed oczyma jego duszy.

Wziął w miejsce książki flet pod pachę, ukrył się po za szopą i usiadł na kotle parowym maszyny. Ciekawie począł poruszać klapki instrumentu, dotknął ustami nawet jego otworów, ale nie śmiał z nich wydobyć tonu, bo nie chciał budzić uśpionych.

— Byłoby to pięknie — mówił sobie, — gdybym tak umiał na tem wygrywać wszelkiego rodzaju melodye, myśląc przy tej grze o Elżuni. Mógłbym wówczas znowu wygadać się sam z sobą dowoli i wiedziałbym, że i dla siebie samego przecież żyję na świecie! Ale czyż ja *żyję* dla siebie samego? Czy tak żyć powinienem? — zadawał sobie pytania, obracając przytem korbą.—Jak się ta korba obraca i obraca do koła, nie wiedząc dla czego, — a sama przez się nie jest niczem więcej jak martwym kawałkiem żelaza, — tak i ja muszę

się obracać i obracać bezprzestannie, nie pytając: „po co?“... Muszą na świecie istnieć ludzie, co mają prawo żyć dla samych siebie i świat kształtować sobie według własnej woli i własnych pragnień, ale oni inaczej zostali już stworzeni, są piękni i dumni i śmiali i im zawsze słońce przyświeca. Tym dozwolonem jest mieć serce i iść za tego serca popędami. Ale ja... ach, Boże mój...

Urwał i w smutnem zamyśleniu oglądał flet, którego klapki połyskały w słabem świetle półzmroku.

— Gdybym ja był jednym z takich — ciągnął dalej po chwili — byłbym został sławnym muzykiem; ja to wiem dobrze, że tam w głębi mojej piersi kryje się tyle melodyj, których przedemną nikt inny nie wyśpiewał... a gdybym doszedł do celu, gdybym pozyskał już sławę, ożeniłbym się z Elżunią... ojciec zostałby bogatym a matka szczęśliwą. A tak matka umarła... ojciec jest biednym kaleką... a Elżunia wyjdzie za innego... ja zaś spoglądam na flet i zagrać na nim nie umiem...

Zaśmiał się głośno a potem ześliznął się ku przodowi maszyny, tak że mógł dosięgnąć jej komina. Pogłaskał go dłonią i rzekł:

— Ale na tym flecie grać się nauczę tak, że aż przyjemnie będzie posłuchać!

Kiedy tak siedział, zdało mu się, że od strony ogrodu posłyszał stłumione śmiechy i szepty. Nachylił się i począł nasłuchiwać: widocznie zabawiała się tam jakaś zakochana para, a może

i więcej niż jedna, bo różnorodne głosy mieszały się z sobą, jakby świergotało stadko wróbli.

— Dziewki widocznie mają kochanków—rzekł sobie — zaraz ja im tu drogę pokażę.

Poszedł po szpicrutę wiszącą w stajni na drzwiach i po cichutku przeskoczył przez płot, aby tym wilkom, co się skradały do jego owczarni zastąpić drogę.

Wtem stanął nagle jak skamieniały, oczy wybiegły mu na wierzch a rączka szpicruty zadrżała w jego dłoni.

Oparł się o pień drzewa i słuchał.

— Cóż, pewnie teraz zostawia was w spokoju?— pytał jeden z zalotników wpół szeptem.

— Nadto wiele teraz ma zajęcia ze swoją maszyną...—odpowiedział głos Gosi,—obecnie skąpi nawet jałowych swych kazań...

— Wyście nigdy i tak sobie wiele z nich nie robiły!

Gosia zachichotała.

— Mimo swej wielkiej godności, z niego jednak strasznie głupi smarkacz. A o miłości zgoła już żadnego nie ma pojęcia. Jak tylko zapamiętam, czas jakiś kręcił się koło Elżuni Douglas, ale czy ty myślisz że się odważył bodaj raz na nią podnieść oczy? Ona oczywiście ślicznie dziękuje za takiego ciemięgę i golca; toż ma przecież pod bokiem kuzynka Leona, a przecież ten już całkiem co innego!

Zdawało mu się, że serce chyba mu bić przestanie, słuchał jednak dalej.

Nie pojmuję dla czego w ogóle coś sobie z niego robicie — mówił głos kochanka — my, bo zawsze zbiliśmy go porządnie i puścili potem luzem; a przez wdzięczność jeszcze następnie prosił nas o przebaczenie. Takiemu, podszytemu tchórzem, wystarczy po prostu tylko pokazać zęby.

— No, czekaj ty podszczuwaczu! — myślał Paweł, który już teraz wiedział kogo ma przed sobą.

Gosia jednak odpowiedziała z oburzeniem:

— Pfe, na to sobie u nas nie zasłużył. Kocha nas tak bardzo, że właściwie powinnyśmy się wstydzić, że go oszukujemy; co nam z oczu wyczyta, że sobie życzymy, zaraz nam to daje i mogłabym przysiądz na to, że przez szczerą miłość dla nas, taki jest zawsze smutny. Toć już można w takim razie od czasu do czasu znieść trochę morałów, zwłaszcza też, kiedy się później ani myśli do nich stosować.

— Dobrze, że wiem o tem—pomyślał Paweł i począł ich okrążać, aż wreszcie dostał się do altany, w której mieściła się druga para.

Tu było znacznie ciszej, tylko w przestankach słychać było, to pocałunek, to śmieszek stłumiony. Wreszcie posłyszał głos Kasi:

— A czemu to w przeszłą niedzielę tyle tańczyłeś z Matyldą?

— To potwarz nikczemna — odpowiedział brat drugi — czyjaż to próżniacza gęba tę plotkę ci przyniosła?

— Jadwiga, siostrzenica proboszcza opowiadała mi o tem!

— A, to wiarogodna osoba... zazdrosna jest o ciebie, w tem leży cała przyczyna. Żebyś wiedziała, jak na ostatnim wieczorku wpatrywała się we mnie... myślałem doprawdy, że od tych spojrzeń włosy zajmą mi się chyba na głowie.

— Ah, ta fałszywa!

— No, niech cię to nie martwi! Fałszywe wy wszystkie jesteście! Mój słodki skowroneczku, moje słoneczko, moja ty zapalona główko... połóżno głowę na moich kolanach... muszę cię trochę wytargać za włosy.

— Tak?

— Nie, nie tak, oparłaś się na moim łańcuszku od zegarka. Teraz dobrze!... Zaśpiewajno mi coś!

— O czemże ci mam śpiewać?

— O miłości!

— Pierwej zasłuż sobie na nią... ty wietrzniku!

Potem na chwilę zapanowała cisza a następnie Kasia zaczęła nucić półgłosem:

Czułe wywodził słowiczek trele
Do trzeciej z rana,
W tem nagle brzękła
Szyba strzaskana...
Zdziwiony wybiegam
I oto spostrzegam
O trzeciej z rana
Przy oknie drabinkę
I don Żuana...

— Śpiewajże dalej!

— Ah, nie! Niemogę, jest to trochę nieprzyzwoite.

— Więc po co zaczynasz?

Zachichotała i umilkła.

— Zaśpiewaj co innego.

— Zanim zaśpiewam, pocałuj pierwej!

Krótka chwila pasowania się, potem głos:

— Co? naprzód żądasz sama a potem się bronisz, ty kotko?

— Jestem tutaj!

— Puszczaj... do pioruna... drapiesz!

— Gdy sobie poszukasz innej, oczy ci wydrapię!

— I nic więcej?

— Nic, potem położę się sama pod krzakiem jałowcu i zagłodzę na śmierć. Ale na mój pogrzeb przyjść musisz. Ah! to będzie ślicznie. Czekaj, ja ci taką zaśpiewam piosnkę...

— Powiedz mi, zkąd ty umiesz tyle piosenek, kotko?

— Znalazłam raz książkę z piosnkami, która należała do matki. Zdaje mi się nawet, że to ona sama ją układała...

Paweł przez czas całej tej rozmowy był kompletnie odurzonym, choć przytem znosił męki piekielne, aż dopiero kiedy posłyszał imię matki, gniew w nim zawrzał, i szpicruta spadła potężnemi razy na głowy całej pary, tak że zeschłe liście altany z szumem zawirowały w powietrzu.

Z głośnym krzykiem zerwali się wszyscy. Zaledwie poznali go obaj bracia, kiedy co prędzej rzucili się, by zemknąć haniebnie, ale dziewczęta uczepiły się ich z piskiem. Szukały u nich obrony przed własnym bratem.

— Tutaj!—zawołał na nie.

Puściły wtedy kochanków i zbiegły się razem, aby osłaniać się wzajem.

Obaj Erdmannowie wymykali się coraz dalej.

— Pozostaniecie tu!—krzyknął.

— Czego chcesz od nas?—rzekł starszy, który najpierwej odzyskał bezczelność.

— Abyście zdali przedemną sprawę z waszego czynu.

— Wiesz przecie, gdzie nas zastać można,—rzekł młodszy i pociągnął brata za połę surduta, aby razem z nim uciekał. Ale w tej chwili Paweł pochwycił go za piersi ..

— Puszczaj!—krzyknął.

— Razem z nami pójdziecie do domu.

— O, nie, już lepiej nie,—mówił starszy.

— Nie wiem zupełnie czego chcesz od nas,—wtórował młodszy, który pod naciskiem żelaznych pięści Pawła niemałej doznawał trwogi.—Kochamy twoje siostry, z tobą nic nie mamy do czynienia.

— A jeśli je kochacie, to czyż nie wiecie gdzie drzwi naszego domu, przez które wejść możecie, aby starać się o nie, wy rabusie, łotry!

W tej chwili Ulryk wydarł brata z żelaznego uścisku Pawła, i zanim ten zdołał oprzytomnieć

i spostrzedz co się stało, już obaj pędzili szalonym biegiem przez ogród, przeskoczyli płot i zniknęli w ciemności pola.

Oszołomiony, zwrócił się do sióstr, które wcisnęły się za pień drzewa.

— Chodźcie!—rzekł wskazując na dom – poszły za nim z płaczem.

Kiedy chciały wsunąć się do swego pokoiku, rzekł otwierając drzwi pierwszego pokoju:

— Tu wejdźcie!

Drżące wcisnęły się w kąt, bo nie wiedziały jaką wyznaczy im karę.

On sam zapalił światło, wziął ze stołu album i wyjął z niego jedną fotografię.

— Teraz chodźcie do waszego pokoju.

Skruszone, pokorne jak owieczki, szły za nim w milczeniu.

— Kto to jest?—spytał najsurowszym swym głosem, wskazując na portret. Była to fotografia matki z lat jej młodych, niemal całkiem wyblakła przez czas i zatarta. Ale poznały ją jednak, padły łamiąc ręce przed łóżkiem na kolana i twarze ukrywszy w poduszkach, łkały żałośnie.

A potem wyznały mu wszystko. Gorzej było niż się spodziewał, gorzej niżby mógł przeczuć!...

. . . . . .

Nastąpiło okropne, przerażające milczenie. Paweł przystąpił do okna i poglądał w ciemności nocy.

— Dzięki niech będą niebu, matko, żeś umarła,—wymówił składając ręce.

Zaniosły się głośnym płaczem, przyczołgały na kolanach i chciały całować go po rękach... On pogłaskał ich głowy. Kochał je za bardzo.

— Dzieci, dzieci!—zawołał i upadł na krzesło złamany, tak samo jak one, bezradny...

— Łaj nas, Pawle,—załkała Kasia.

— Nie, lepiej bij nas,—prosiła Gosia,—zasłużyłyśmy na to.

On potarł sobie ręką czoło. Wszystko dotąd wydawało mu się snem okropnym.

— Jak to stać się mogło?—szepnął.—Czyż ja tak źle was strzegłem, tak mało na nas dawałem baczenia?

— Oni... mówili, że... ożenią się... z nami,—wyłkała Kasia stłumionym głosem.

— Skoro się skończy... nasza żałoba... mamy się pobrać,—dodała Gosia.

A, skoro tak powiedzieli, to zrobią!—zawołał, sam sobie dodając odwagi. — Nie klęczcie, dzieci, przedemną, klękajcie przed Bogiem. Tego wam teraz potrzeba... Ten wizerunek co noc teraz stać będzie na waszym stoliku... Czy i wtenczas będzie miały odwagę iść dalej po drodze hańby? Dobranoc.

Wybiegły za nim i błagały, by mógł przy nich pozostać; ale on delikatnie uwolnił się z ich objęć i poszedł do swojej izdebki na poddaszu, gdzie w ciemności rozmyślał o wszystkiem,

co mu w ostatnich godzinach przeżyć przyszło. Wstydził się tak bardzo że mu się zdawało niepodobieństwem módz nadal znosić światło dzienne...

Nazajutrz przywołał majstra, wypłacił mu należność i odprawił go.

Poczciwiec z przestrachem prawdziwym popatrzał mu w twarz.

— Jakto, teraz, panie Meyhöfer, kiedy już wszystko na najlepszej jest drodze?—wyrzekł.

— Tak, na najlepszej drodze — szepnął w zamyśleniu. — Do nieszczęścia, jeszcze hańba, majster ma racyę.

— Zaszło coś—rzekł po chwili — co mi ochotę do pracy odejmuje. Dajmy temu na teraz pokój, a kiedy znów czas przyjdzie na robotę, przyślę po was.

Ojciec gorzko wyrzekał na nocne hałasy.

— Cóżeś ty tam wczoraj w ogrodzie wyprawiał?—spytał.—Twój głos słyszałem wyraźnie.

— Przyłapałem złodziei, co się wybrali kraść jabłka.

Bliźnięta miały zapuchłe od płaczu oczy i nie śmiały podnieść ich od ziemi.

— Tak więc wyglądają upadłe—myślał Paweł i przyrzekł sobie w duszy być dla nich tak surowym jak dozorca więzienia. Ale kiedy po raz pierwszy szorstkim odezwał się do nich tonem, a one pokornie i boleśnie zarazem podniosły ku

niemu oczy, przejęła go wielka dla nich litość, tak że z płaczem przytulił je do serca i rzekł:

— Cicho, dzieci, cicho, wszystko będzie dobrze.

Miał nadzieję, że obaj Erdmannowie nie zechcą się opóźniać i dziś jeszcze pojawiają na folwarku.

— Sumienie przygna ich tutaj—mówił sobie.

Tak pewnym był tego, że po obiedzie znaglił ojca, który w swem rozleniwieniu stał się straszliwie nieporządnym, aby przywdział lepsze ubranie, spodziewać się bowiem należy ważnej wizyty. Ojciec pomrukując poddał się temu i tem bardziej był złym później, kiedy przekonał się, że wielka ta praca zgoła była bezpotrzebną.

— Pojawią się jutro zapewne—mówił sobie Paweł, udając się na spoczynek— zbrakło im widać dzisiaj odwagi.

Ale i następny dzień przeminął a nikt się nie zjawił i tak przeszedł tydzień cały.

Paweł biegał jak szalony po domu. Co dziesięć minut widziano go jak stawał przed bramą i spoglądał w pole, tak że paroboy trącali się łokciami i stroili sobie żarciki...

— Skoda to—mówił sobie—żem ja jeszcze tak niedoświadczony w sprawach sercowych, bo wiedziałbym przynajmniej jak mi postępować należy.

Męczarnie trwogi śmiertelnej poczęły szarpać mu serce, całe noce bezsennie przewracał się po pościeli, rozmyślając i nie znajdując wyjścia.

— Trzeba im rzecz ułatwić — rzekł sobie pewnego ranka; kazał zaprządz do koszykowego wózka, który niedawno nabył na jakiejś licytacyi i pojechał do Lotkeim, majątku Erdmannów, na którym od śmierci rodziców wspólnie obaj gospodarowali.

Serce ściskało mu się ze wstydu i gniewu, kiedy w roli proszącego wstąpić miał w dom tych, którzy mu tyle w życiu wyrządzili złego. Niewiele brakło, by zawrócił od ich bramy, ale ręka chwyciła silniej za cugle a usta szepnęły:

— Nie o ciebie tu chodzi!

Zajechał przez dziedziniec zarosły chwastem, na którym tu i owdzie rozrastały się cierniowe krzaki i który otaczały dokoła obszerne, ale okropnie zapuszczone gospodarskie budynki; zatrzymał się przed dworkiem, którego okiennice pomalowane były w czarne koła, widocznie dlatego, że często służyć musiały za tarczę do strzałów.

— Nie tęgi to zaszczyt tu oddawać siostry w małżeństwo, ale też i one wielkich zaszczytów już domagać się nie mogą, — pomyślał, przywiązując konia do poręczy schodów, żywa dusza bowiem nie pojawiła się, by od niego odebrać cugle, z dalekiej stodoły tylko dobiegały miarowe uderzenia cepów.

W chwili, kiedy wchodził do sieni, zdało mu się, że posłyszał ciche jakieś szepty i otwieranie, to znów zamykanie się drzwi w głębi. Potem nagle zupełna zaległa cisza.

Wszedł do pierwszego pokoju, w którym stały resztki śniadania na stole i który napełniał gęsty dym cygar. Chwilę stał, czekając. Potem przez drzwi przyległe weszła stara jakaś wysoka i wyschła kobieta, coś w rodzaju gospodyni widocznie z uśmiechem zakłopotania na ustach.

— Panów nie ma w domu — rzekła, nie czekając na jego pytanie—wyjechali dziś raniutko i nie powrócą tak prędko.

— Nic nie szkodzi, ja zaczekam!

Stara poczęła prawić z wielomówstwem, że czekanie na nic się tu nie przyda, bo powrót gospodarzy nigdy z góry przewidzianym być nie może; często bardzo nie wracają nawet na noc do domu i tym podobne rzeczy bez liku. Przez ten czas zdawało mu się, że słyszy turkot szybkim galopem odjeżdżającego wózka na dziedzińcu. Przestraszony, poskoczył do okna, bo zdawało mu się, że to jego koń się odczepił i uciekł, ale że zastał go spokojnie stojącego w miejscu, gdzie go pozostawił, powstało w nim podejrzenie, które przed minutą jeszcze byłby z oburzeniem odtrącił.

Stara gospodyni nie śmiała wyprosić go za drzwi i tak nienagabywany już przez nikogo, co prawda o głodzie, siedział na jednem miejscu aż do wieczora. Kiedy się zciemniło, upadły na duchu, zwątpiały i upokorzony wracał do domu.

Nazajutrz rano powrócił znów tutaj — i teraz nadaremnie. Trzeciego dnia zastał bramę dzie-

dzińca szczelnie zaryglowaną. Nowiuteńka kłódka wisiała przy niej. Widocznem było, że dla niego wyłącznie zrobiono ten sprawunek. Teraz już nie mógł wątpić, że obaj bracia z umysłu uciekają przed nim.

— Wstydzą się spojrzeć mi w oczy — rzekł — muszę napisać do nich.

Ale kiedy wziął pióro do ręki, aby zeń wydobyć przyjazne słowo pojednania, taki go przejął wstręt głęboki dla nikczemności swego postępku, że je połamał na stole i z jękiem stłumionym począł biegać po pokoju.

— Trzeba mi pierwej iść sił zaczerpnąć — rzekł, i po cichu wśliznął się do pokoiku dziewcząt. Tam one siedziały obie u okna, nie mówiły z sobą ani słowa a blade twarzyczki wpatrzone były martwemi, zagasłemi źrenicami w dal, nieruchomie. Potem jedna oparła główkę na ramieniu drugiej i wymówiła zcicha i smutnie:

— Już nie przybędą!

— Boją się go — westchnęła druga siostra.

I znów zapadły w smutek milczący.

— Dobrze — powiedział do siebie, odetchnąwszy głęboko, gdy powracał pocichu do siebie — wiedziałem, że to pomoże.

I wziął nowy arkusz papieru, napisał na nim list układny, w którym tłomaczył braciom, że już nie ma do nich żalu, że gotów jest wszystko im przebaczyć, byle tylko jego siostrom powrócili utracony honor.

— Jutro już tu będą z pewnością — powiedział sobie, oddychając swobodniej, kiedy wrzucał list do pocztowej skrzynki. Resztę dnia błąkał się bez celu po polu, bo nie śmiał nikomu spojrzeć w oczy, tak się wstydził niezmiernie.

Erdmannowie przecież nie przyjechali...

. . . . . .

Było to w wigilię Bożego Narodzenia, krótko przed zmrokiem. Wszystko leżało pod głęboką śniegu powłoką a z szarego nieba spadały nowe jeszcze śniegowych płatków masy. Paweł spostrzegł jak siostry potajemnie zabrawszy kapelusze i płaszczyki, wymknąć się chciały przez tylne drzwi domu.

Pobiegł za niemi i spytał:

— Dokąd?

Wtedy zaczęły płakać, a Kazia odpowiedziała:

— Proszę cię, proszę, nie pytaj nas.

Ale on poczuł ogarniającą go trwogę i chwyciwszy je obie za ręce, rzekł:

— Pójdę za wami, jeśli mi wszystkiego zaraz nie wyznacie.

Wtedy wśród łkania przemówiła Gosia:

— Idziemy na grób matki.

Dreszcz go przeszedł na myśl, że święte miejsce spoczynku matki miały w takim odwiedzać stanie, ale niechciał okazać im tego.

— Nie, dzieci — rzekł, pogłaskawszy ich głowy — na to nie pozwolę, nadtoby was to wzruszyło i śnieg też zbyt jest głęboki w polu, a przytem wkrótce się już zciemni.

— Ale przecież któreś z nas musi dziś w dzień wigilii Bożego Narodzenia iść do matki — wymówiła nieśmiało Kasia.

— Masz słuszność, siostrzyczko — odpowiedział — ja sam tam pójdę. Wy zostańcie przy ojcu. Jeśli Bóg pozwoli, przyniosę wam może ztamtąd pociechę.

Dały sobie wyperswadować swój zamiar. On zaś przywdział ciepły paltot, włożył czapkę i wyszedł o zmroku.

— Wy dziś zamknijcie bramę — rzekł, zanim opuścił dziedziniec, miał bowiem niejasne przeczucie, że powróci dopiero późno w nocy.

A gdyby się zabłąkał w tej śnieżycy?...

Pole wiało przed nim puste, ciszy nie przerywał ani jeden dźwięk znikąd... Głęboko w łonie śniegu spoczywały powiędłe kwiaty a gdzie pierwej stał jaki krzaczek jałowcu, wznosił się teraz biały wzgórek, niby wielka kretowina na tej nieprzejrzanej równi. Nawet pnie wierzb karłowatych pokryte były miękką, puszystą powłoką z tej wszakże tylko strony, z której wiatr dął silny.

Z trudem postępował on naprzód po zawianym stepie, za każdym krokiem zapadając w śnieg po kostki. W powietrzu tu i owdzie z głuchym szelestem skrzydeł przelatywała wrona, walcząc ciężko z zawieruchą śnieżną.

Nigdzie śladu drożyny, ni ścieżki.. Osamotniałe trzy jodły, które w dali sterczały jak czarne

widma, były jedyną wskazówką, według której kierowała się jego stopa.

Złotożółty pas, który na chwilę zapłonął na skraju horyzontu, zagasł niebawem; głębiej zapadły cienie, a kiedy Paweł doszedł do cmentarnego wału, który jakby jakiś mur tajemniczy wysoko przed nim się piętrzył, zupełna już noc nastała, tylko śnieg świeżo spadły rozsiewał dokoła blask niepewny zmroku, tak że spodziewał się niebawem odnaleźć grób matki...

Bramę cmentarza śnieg zawiał zupełnie, nigdzie ani śladu, którędyby wejść można.

Szedł zatem dookoła po drodze, macając płot cmentarny, z którego tu i owdzie jakaś gałązka cierniu sterczała z pod śnieżystej opony, aż wreszcie gdy ręka jego bez oporu w śnieg zapadła głębiej, poznał że tu jest wejście.

I tu odkopał sobie drogę do wnętrza cmentarza.

Głuchym szumem powitały go jodły a kruk, który siedział w śniegu, zerwał się i z szelestem wzleciał w powietrze, okrążając niespokojnie drzew korony, jak dusza potępieńca, co nie może znaleźć spokoju.

Kiedy zobaczył przed sobą zasypaną śniegiem równinę, w bladej swej jednostajności, doznał mimowolnego przestrachu, bo nigdzie niedowidział znaku, po którym mógłby poznać grób matki. Krzyża nie było na mogiłce, bo dotąd nie miał jeszcze potrzebnych na niego pieniędzy, sama mo-

giła zaś leżała głęboko zagrzebana pod wszystko równającym całunem śniegu.

Dręcząca przejęła go trwoga, zdało mu się, że ostatnie co posiadał na ziemi, utracił już teraz.

I drżącemi rękami począł rozgarniać śnieg od jednej do drugiej mogiły idąc kolejno — długą ścieżyną, z której tu i owdzie ukazywały się to kawałek grobowca, to wieniec lub krzak jaki, w miarę jak śnieg odrzucił.

Tu leży ten, tu tamten — znał niemal każdy grobowiec, wiedział kto pod nim spoczywa.

I nakoniec ręka jego, szukająca w śniegu, skaleczyła się szkłem jakiemś, co się wynurzyło z głębi... Zatrzymał się i począł tu macać dookoła... Ten kawałek szkła pochodził zapewne z naczynia, w którem późną już jesienią przyniosła Gosia bukiet astrów na grób matki. Podjął szkło i obejrzał uważnie — tak, to było szkło też same, jeszcze w niem były resztki zeschłych łodyg. A obok wieniec, wieniec z wrzosów zamarzły jak pierścień żelazny, wyszedł na jaw odgrzebany, ten wieniec on sam tu złożył, gdy był po raz ostatni na cmentarzu.

Zobaczywszy ten wzgórek śnieżny, pod którym spoczywało wszystko, co miał najdroższego na ziemi, upadł na kolana i twarz płonącą zanurzył w miękim, chłodnym puchu.

— Jam temu wszystkiemu winien, matko — skarżył się — jam nie dawał na nie baczenia, jam im pozwolił zdziczeć, zostawił ich dusze odło

giem. Nie potępiaj ich, matko, one nie wiedziały co czyniąl.. Ale ja błagam cię, najdroższa moja, oświeć mnie jak mam działać!... Przyślij mi bodaj jedno jedyne słowo z po za grobu... patrzaj, ja tu klęczę u twej mogiły i niewiem co począć, jak mam poradzić sobie!..

A potem nagle wydało mu się, że i on nie ma prawa klęczeć u tej mogiły, że i na niego spadła hańba, którą się siostry okryły. Wyrzucał sobie, że jest tchórzem, samolubnym i leniwym, że tak długo mógł żyć spokojnie w oczekiwaniu tego, co nie nadeszło zupełnie a nie ważył się na krok ostateczny.

— Ale ja to uczynię teraz, matko moja, tej nocy jeszcze—zawołał zrywając się.—O sobie trzeba zapomnieć, bo o mnie tu nie chodzi, zaprę się ostatniej resztki mej dumy, byle za tę cenę siostry moje uratowane zostały!...

Poprzysiągł to z podniesionemi w górę rękami a potem wybiegł na pole...

. . . . . .

Może ze trzy godziny pędził tak w śnieżnej zawiei po zasypanych drogach. Mogło być około ósmej, kiedy znużony, bez tchu stanął przed bramą dziedzińca w Lotkeim.

— Dziś mi się nie wymkną—rzekł a że bramę znowu zastał zamkniętą, więc przeczołgał po pod sztachetami na brzuchu, jak to widział, że zazwyczaj psy robią.

Okna dworu były jasno oświetlone, ale że firanki pozapuszczano, przeto z zewnątrz nie można było nic zobaczyć, co było w głębi; tylko chwilami dochodziły urywane tony śpiewu, lub głośne śmiechu wybuchy.

Drzwi domu stały otworem. W ciemnej sieni zatrzymał się na chwilę, aby zapanować nad gwałtownem biciem serca, potem zapukał.

Głos Ulryka zawołał:

— Proszę.

Obadwaj bracia leżeli rozciągnięci na szerokiej otomanie, nogi jednego spoczywały obok głowy drugiego, obraz najdoskonalszego spokoju sumienia i serdecznej wesołości. Każdy z nich trzymał wzniesioną czarkę, którą chwiał w powietrzu a przed nimi na stoliku stała waza dymiącego ponczu.

Na jego widok tak się przestraszyli, że zapomnieli powstać nawet. Skamienieli kompletnie, leżeli z utkwionym w niego nieruchomym wzrokiem.

— Co to! — zawołał wreszcie Ulryk, pierwszy odzyskując mowę a Fryderyk wypuścił z rąk szklankę, która z brzękiem upadła na podłogę. Poczem schylił się i z niezmierną gorliwością począł zbierać potłuczone skorupy.

— Domyślacie się zapewne, po co przyszedłem — ozwał się Paweł, w zaśnieżonych swych sukniach zwolna podchodząc do stołu.

— Nie — odparł Ulryk, który podnosił się powoli na sofie

— Nie mamy nawet pojęcia—potwierdził Fryderyk, który wielce przezornie ukrył się za plecami brata.

— Przecież musieliście list mój otrzymać? — spytał Paweł.

— Nie wiemy nic o żadnym liście — odpowiedział starszy, bezczelnie patrząc mu w oczy.

— Pewnie zaginął na poczcie—dodał coprędzej młodszy.

— Przypomnijcie sobie tylko dobrze. Było to 16 go listopada—mówił Paweł.

Wtedy poczęło im się coś przypominać nieja sno, że istotnie jakiś list im w tym czasie z poczty oddano.

— Ale nie mogliśmy z niego być mądrzy i dlatego rzuciliśmy go w ogień—powiedział Ulryk.

— Dajcie pokój wykrętom — odparł Paweł. — Wiecie doskonale co wam uczynić należy.

Wzruszyli ramionami i popatrzyli wzajem na siebie, jak gdyby mówił do nich co najmniej językiem hiszpańskim.

— Nie przyszedłem tu po to, aby z wami grać komedyę—ciągnął Paweł dalej.—Odarliście z honoru moje siostry i musicie go im powrócić.

Ulryk podrapał się w głowę i rzekł:

— Kochany Meyhöferze, to głupia historya — i tak na poczekaniu niepodobna jej załatwić. Sia-

daj z nami i wypij szklaneczkę ponczu. Tak prędzej dojdziemy wszyscy do celu.

— Tak, tak, prędko i serdecznie — dodał Fryderyk powstając, aby przynieść dwie świeże szklanki.

— Dziękuję — rzekł Paweł — mnie się pić niechce.

Powstało w nim niejasne przeczucie, że obaj bracia jak przez życie całe, tak i teraz szydzą z niego.

Czuł, jak wszystkie jego członki opasują żelazne okowy i zaciskają się coraz ciaśniej. Zdał się sam sobie tak słabym, tak zupełnie bezbronnym...

— Ha, jeżeli tak do nas przychodzisz — odpowiedział Ulryk, pozornie urażony—w takim razie nie mamy co z sobą gadać. Nie mam bynajmniej ochoty zatruwać sobie wesołego wieczoru wigilii.

— Ani też dać stygnąć ponczowi — dorzucił Fryderyk.

Paweł mierzył osłupiałem spojrzeniem to jednego, to drugiego z kolei. Czyż to jest możliwem że ci, których sumienie tak ciężką obciążone jest winą, stoją przed nim dumni i spokojni, kiedy tymczasem on, co przyszedł się domagać najświętszej przysługującego mu prawa, drżał wobec nich jak przestępca?

— A jeśli powrócisz bez pociechy? — wołał w nim głos pełen trwogi.—Nie gniewaj ich, myśl o tem, coś poprzysiągł matce! O ciebie tu nie chodzi, pamiętaj!

— No, pijesz z nami czy nie pijesz? — wołał Ulryk gniewnie.

— O ciebie tu nie chodzi! — znów ozwał się głos ów w głębi jego duszy, wtedy schylił głowę i odrzekł zachrypłym głosem:

— A więc... proszę.

Obaj bracia rzucili sobie spojrzenie a Fryderyk podniósł czarkę i rzekł:

— Na zdrowie!

— Na zdrowie! — wybąknął i połknął gorący trunek, choć wstręt i obrzydzenie ściskały mu gardło.

I siedział teraz jak wesoły towarzysz hulanki z obu braćmi u jednego stołu, on, co jako mściciel winien był przyjść tutaj!

— A zatem, aby raz skończyć z tą nieszczęsną historyą, kochany Meyhöferze— począł Ulryk na nowo.—Co się stało, to już się nie odstanie. Nie chcę już dociekać, kto za kim więcej biegał, czy my za twojemi siostrami, czy twoje siostry za nami, w każdym razie one zawiniły tyleż co i my! Kochamy je z całego serca, to bardzo milutkie dziewczyny, najładniejsze z całej okolicy i szczerze nam żal, gdy pomyślimy, żeśmy je zgubili, ale... abyśmy je poślubili teraz, tego przecież nie możesz od nas żądać.

Paweł spojrzał na niego nieśmiało i rzekł pół głosem.

— Tego conajmniej spodziewać... — dalej nie mógł nic wymówić, zdało mu się, że krew krzepnie mu w żyłach.

— Nie bądźże komicznym — zauważył Fryderyk a Ulryk ciągnął dalej:

— Słuchaj, my byśmy ostatecznie to i uczynili my je wysoko cenimy, mimo że dużoby im było do wybaczenia...

W mózgu Pawła coś zadrgało, ale zapanował nad sobą.

— Spełnilibyśmy też natychmiast twoje żądanie, ale powiedz pierwej, co dasz za niemi?

— Ja... nic nie mam — wybąknął Paweł.

— A widzisz—odpowiedział Fryderyk.

— A my potrzebujemy pieniędzy, dużo pieniędzy — ciągnął Ulryk dalej. — Ja jestem starszy a skoro majątek obejmę na siebie, muszę spłacić Fryderyka i to tak, aby sobie inną mógł kupić wioskę.

— Ja... będę... pracował — wymówił Paweł zdławionym głosem i z pokorną prośbą popatrzał na obu braci.

— Wszak już dziesięć lat pracujesz a niceś nie zrobił.

— Pożar stanął mi na przeszkodzie—wybąknął Paweł, jak gdyby chciał się usprawiedliwiać z nieszczęścia, które go dotknęło.

— No a na przyszły rok znowu coś innego cię spotka i tak będzie zawsze. Nie, kochany przyjacielu, my się w to wdawać nie możemy.

Obawa, że bez wszelkiej pociechy ma powrócić do sióstr, wzbierała coraz więcej w jego duszy.

Wreszcie ogarnęła go już tak bardzo, że mu się rozwiązał język i zawołał:

— Ależ mój Boże, toć się zastanówcie!... wszakże więcej nic nie mogę nad to, jak zapewnić, że będę pracował, pracował jak wyrobnik... będę pracował jak bydlę... pracował dniem i nocą... będę oszczędzał i marł głodem... a wszystko co zarobię do was należeć będzie... Słuchajcie... ja mam bardzo piękne widoki na przyszłość... niedługo lokomobila przyprowadzoną zostanie do porządku... a torf znaczne przynosi korzyści... pokład jest na piętnaście stóp głęboki... istotnie. Możecie go zmierzyć sami! Każda fura torfu daje dziesięć marek... i posagi wasze otrzymacie w rocznych ratach, zapewniam was, co do szeląga!...

Poglądał im w twarze szeroko rozwartemi źrenicami, bo spodziewał się, że bracia natychmiast uchwycą się jego propozycyi. A kiedy milczeli, przeciągnął, jak nieprzytomny, ręką po czole, z którego zimny pot ściekał kroplami i szepnął:

— Tak—cóż ja mógłbym jeszcze?.. Prawda — jeszcze więcej dla was zrobię.. Znaglę ojca, aby folwarczek mnie oddał i potem wam go odstąpię, tak, że... skoro ojciec — umrze, jeden z was go obejmie na siebie... Ja wyjdę z niego ani prochu ztamtąd dla siebie nie biorąc. Czyż wam to nie wystarcza?...

Ale oni wciąż milczeli.

Wtedy wydało mu się, że wszystko, w co dotąd wierzył mocno — zapada gdzieś, ginie, że zie-

mia z pod nóg mu się usuwa, że on sam gdzieś pada w próżnię. Złożył ręce—zęby mu szczękały i jak bez życia już patrzył w nich martwemi, szklanemi oczyma.

— Czyż to podobna? Nie chcecie? Rzeczywiście nie chcecie? Nie pojmujecież więc zupełnie, że to jest waszym obowiązkiem, waszą świętą powinnością naprawić to czem zgrzeszyliście... Czyż własne wasze poczucie honoru nie wyrzuca wam żeście innych pozbawili czci i honoru, czy nie powiada wam, że innym honoru zabierać nie powinniście?... Czyliż pozwalacie zasypiać swemu sumieniu?

— Dajże pokój, przestań już — rzekł Ulryk, którego nieprzyjemne jakieś uczucie przejęło na słowa te dreszczem.

— Nie, nie przestanę! Ja tak nie mogę wracać do domu... Doprawdy, nie mogę!... Czyliż wy nie pojmujecie zgoła, coście zgotowali za nieszczęście... jaka rozpacz straszna, jaka niedola pozostała za wami w moim domu?

I wstrząsnął się na wspomnienie tego, co w domu zostawił.

— Gdybyście wiedzieć to mogli, nie bylibyście tak niemiłosiernymi z pewnością!... Patrzcie, Ulryku i Fryderyku... znam was już od tak dawna... siedzieliśmy już razem na szkolnej ławie... i razem po raz pierwszy stawaliśmy u stołu Pańskiego przed ołtarzem... Wyście zawsze byli dla mnie nieżyczliwi i niemało zniosłem od was...

ja wam wszystko zapomnę, jeśli to jedno tylko naprawicie. Wyście lekkomyślni, ale złymi nie jesteście... Nie możecie być złymi... I wyście mieli przecież matkę... widziałem ją... podczas naszej pierwszej komunii stała na lewo pod trzecim filarem... i płakała jak moja matka płakała... A moja matka — o Boże!... — przerwał sobie nagle, bo przejął go wstyd, że imię tej świętej, tej swojej ukochanej wymówiły jego usta wobec tych uwodzicieli, ale trwoga, że bez wszelkiej pociechy mógłby powrócić do domu urosła w nim do szaleństwa i to więc przełknął i począł na nowo, kiedy tymczasem myśli jego już kołowały błędne:

— Pomyślcie sobie. Wychodzicie teraz na cmentarz... i macie siostry... które wam uwiedziono... a wyście nie zwracali dostatecznej na te siostry uwagi.. i nie śmiecie dotknąć śniegu, co leży na matki grobie... pomyślcie, że ja jestem tym uwodzicielem... co... cobyście wówczas zrobili?

— Zabilibyśmy cię jak psa! — zawołał Ulryk, rzucając nań pogardliwe spojrzenie.

On wydał okrzyk przeraźliwy, bo teraz dopiero doszedł do świadomości tego, jak się poniżył głęboko, jak dumę swoją, swój honor zszargał w błocie... Z zaciśniętemi pięściami rzucił się na Ulryka. Ale ten zabarykadował się stołem a Fryderyk wybiegł do przyległego pokoju, aby przywołać służbę na pomoc.

Wówczas chwiejnym krokiem wybiegł Paweł z pokoju.

Brama dziedzińca zamkniętą była jak poprzednio. Nie śmiał powrócić, aby ją kazać sobie otworzyć i na brzuchu wypełzał pod sztachetami—jak pies...

Jak pies!..

. . . . . .

XVIII.

— Panicz coś nagle zaczyna wesołe prowadzić życie—mówili między sobą paroboy a że wszystko szło teraz Bóg wie po jakiemu, kradli jeden korzec zboża po drugim.

Paweł tymczasem jeździł na wszystkie wieczorki tańcujące i bale, jakie tylko dawano w okolicy. Kto go zobaczył w pośród wesołego tłumu z tem pooranem ponuremi zmarszczkami czołem, ze wzrokiem bojaźliwym, wciąż śledzącym, ten pytał się:

— Czegóż *ten* szuka tutaj?...

I niejeden okrążał go zdaleka, jak gdyby cień jakiś padł na jego radość.

Paweł zdawał sobie dokładnie sprawę z drogi, na którą wszedł teraz. Słyszał, że Erdmannowie nie omijają żadnego wieczorku, żadnej uroczystości, w każdej biorąc zawsze udział.

— Już ja będę umiał ich spotkać — mówił sobie—noc jest ciemna, pole puste. Pod wolnem bożem niebem muszą zajrzeć oko w oko śmierci.

We dwa dni po ostatniej swej wizycie w Lotkeim, pojechał do miasta i kupił sobie rewolwer,

piękny sześciostrzałowy rewolwer z długą, smukłą lufą. Jak zwierz dziki czatował odtąd nocą w krzakach i parowach jeśli się spodziewał, że tamtędy przejeżdżać będą.

Ale ich nie spotkał. Widocznie, stali się nienieufni i dlatego siedzieli po największej części w domu lub może, co prawdopodobniejsze, brak im było w tej chwili pieniędzy.

— Ja poczekać mogę — mówił sobie i dalej postępował tak samo.

A ilekroć którego wieczora pozostał w domu i razem z siostrami usiadł u stołu do wieczerzy — milczącej, smutnej wieczerzy — tylekroć zawsze zdejmowało go przerażenie, kiedy popatrzał w ich twarze i w bladych tych, napiętnowanych zgryzotą rysach, odnajdował rysy matki. Widok ten zawsze wypędzał go napowrót z domu...

W noc karnawałową, w ostatki, w sali resursy miejskiej, obywatele ziemscy z okolicy dawali bal wielki.

— Tam ich przychwycę—powiedział sobie, posłyszał bowiem, że obadwaj bracia należeli do grona gospodarzów zabawy.

Kiedy zmrok się zbliżał, kazał zaprządz do sanek, ukrył rewolwer w siedzeniowej walizie i wybrał się w drogę do miasta.

Przez ciąg dnia świeciło słońce bardzo ładnie, teraz zatem niebo płonęło purpurą zachodu. W błękitnawe opony spowita, leżała przed nim

ziemia a przez mroźne, jasne powietrze niesione wichrem, przebiegały drobne lodu kryształki.

Kiedy mijał Helenenthal, spostrzegł dwoje sanek, naładowanych jodłowemi gałęźmi, które skręciły na drogę ku dworkowi wiodącą.

— Zdaje mi się, że i tam obchodzić się ma jakaś uroczystość—szepnął, spoglądając za saniami i z ponurym uśmiechem dodał: — Nie powinienem im zazdrościć, boć i mnie dziś czeka zabawa!...

O szóstej przybył do miasta, postarał się o bilet wstępu i siedział aż do dziewiątej w kąciku jakiejś winiarni w ponurem zamyśleniu.

Kiedy wszedł na salę balową, w której panował uderzający chaos i wrzawa, ukrył się nieśmiało w najciemniejszym jej zakątku po za jakimś filarem, bo zdało mu się, że wyraźnie dla każdego wypisana jest na jego czole myśl mordu, która przepełnia jego duszę.

I nagle poczuł jakby mu ktoś nóż zatopił w piersi. Zobaczył obu braci. — W pośrodku sali stali dumni i rozpromienieni, z kokardami jedwabnemi na ramionach i z bukiecikami konwalij w butonierce; z uśmiechem zwycięzkim mierzyli oczyma szeregi panien, co w jasnych sukienkach siedziały do koła ścian sali.

— Tak — mam ich już teraz, wpadli mi w ręce — szepnął, oddychając swobodniej. Czuł, że dla niego niema już powrotu, że cofnąć się nie może. A potem ukrył się w najodleglejszy kącik, zkąd mógł nie spuszczać już z oka swych ofiar,

Blask świateł padał jasno jak słońce na niego, ale on tego nie widział, muzyka w rozkosznych, namiętnych akordach, dobiegała jego ucha, ale on jej nie słyszał, wszystkie jego zmysły zbiegły się w jeden punkt dzikiego, krwawego zemsty pragnienia.

Kiedy tak patrzał przed siebie w tłum snujący się po sali, posłyszał tuż za sobą rozmowę dwóch starszych mężczyzn:

— Czy wybierzesz się jutro na pogrzeb?

— A tak, ma być bardzo uroczysty. Należy się stawić koniecznie.

— Czy długo chorowała?

— O, bardzo długo. Stary nasz doktór przed laty już ją całkowicie był opuścił. Wówczas wyjechała z córką na południe i powróciwszy — nie wiem już jak długo udało jej się przewlec życie.

Począł słuchać uważnie. Niejasne przeczucie zaświtało mu w głowę. Te jodłowe gałęzie! Jodłowe gałęzie! Jodłowe gałęzie!

I jeden z głosów ciągnął dalej:

— Powiedzno mi: córka musi już być od niepamiętnych czasów panną na wydaniu—czy jeszcze dotąd niezamężna?

— Znana jest powszechnie z koszów, które rozdaje — odpowiedział głos drugi; — jedni mówią, że czyniła to dla tego, aby chorej matki nie opuścić, drudzy przypuszczają, że ma potajemny romans z kuzynkiem, tym Leonem Heller, wszakże znasz go?

— O, tego wyżła, któżby nie znał; — odrzucił głos drugi — zeszłego tygodnia przegrał w karty 800 marek, u lichwiarzy siedzi po uszy a i kochankę sobie trzyma. Ale swoją drogą, to chłopiec chwacki i wesoły, trzeba mu przyznać i jak raz na to stworzony, żeby łowić złote rybki!...

Paweł czuł niepowstrzymaną ochotę paść twarzą na ziemię i czoło zanurzyć w prochu; w gardle go dusiło, czerwone płaty przesuwały się przed jego oczyma... Więc przecierpiała i skończyła cierpieć blada, ujmująca kobieta, która niby anioł opiekuńczy czuwała nad dworkiem, ta, z którą serce jego własne silnie było związane!

Teraz, gdy umarła, wolna już droga nieszczęściom i zatracie.

A Elżunia! Jakże ona drżała zawsze z obawy przed tą straszliwą godziną, jak on jej poprzysięgał, że wtedy obok niej stanie! A dziś, zamiast tam być, czatuje jak zwierz drapieżny, z krwawemi myślami w duszy, ot, ten jedyny człowiek, przed którym czysta jej dusza niegdyś się otwarła...

Dreszcz zimny go przeszedł.

— Ale cóż to wreszcie znaczy? Pocieszycieli ma ona i tak — jest przy niej wesoły Leon, z którym ma mieć „tajemny romans“, — niechże ten pokaże, co umie...

Zaśmiał się głośno, szyderczo, a przekonawszy się, że Erdmannowie teraz już nie mogą mu się

wymknąć, jeśli na nich czekać będzie na drodze, opuścił salę.

Kiedy wyjechał w wietrzną ciszę księżycowej nocy, w duszy jego zrobiło się spokojniej, coraz spokojniej zwolna, a kiedy po nad osrebrzonym słupem powoli przed jego oczyma podniósł się biały dom co w blaskach księżyca zdawał się być marmurowym nagrobkiem, wtedy począł gorzko płakać.

— Płaczże, płacz, lamentuj, babo — mruknął i zaciął konia tak, że dzwonki zadźwięczały głośniej. Jemu zdało się, że to dzwon pogrzebowy u mogiły wszystkiego co dobre.

W lesie, po za którym droga rozdzielała się na dwie strony, z których jedna prowadziła do Lotkeim, zatrzymał konia i przywiązał go do odosobnionego pnia, zdjął dzwonki, aby ich dźwięk nie zdradził go przed czasem. Potem wyjął rewolwer z walizki sanek i opatrzył naboje — sześć strzałów — po dwa dla każdego — dwa razy przecież kula zawieść nie może.

Zimno było przejmujące i nogi mu drętwiały. Przymknął na dnie sanek, tak że skóra barania okrywała go zupełnie. Pod nią było mu ciepło i wygodnie i niebawem poczuł, jak go ogarniało wielkie zmęczenie, jakby miał zasnąć. Ale w tej chwili otrząsnął się całą siłą woli z tego usposobienia.

— Ależ ty widać nie bierzesz tego na seryo, że ich masz zabić — mruknął zcicha. Boć inaczejby ci wówczas było na sercu...

Zerwał się, stanął i w ciszę nocy gromkim zawołał głosem:

— Chcę, chcę z całej duszy, przysięgam ci to, matko... chcę!

I jakby na poparcie słów tych, posłał kulę w powietrze, tak że echo jak grom rozległo się w ciszy nocnej a kruki z krakaniem uleciały z gniazd swoich.

Im bardziej zbliżała się godzina, w której bracia musieli już powracać, tem więcej w nim rosła trwoga; ale nie była to obawa przed krwawym czynem — drżał na myśl, że w ostatniej chwili ręka mu opaść może i może opuścić go odwaga, boć zawsze przecież nazywano go „tchórzem".

Mogło być około czwartej z rana i księżyc zachodził, kiedy posłyszał zdala dźwięk dzwonków naprzód cichy, potem coraz głośniejszy i głośniejszy. Skoczył w parów, który wiatr zawiał śniegiem i rzucił się na ziemię. Sanie zbliżały się do skraju lasu, siedziały w nich dwie ludzkie postacie owinięte w futra — byli to oni. Ale jakże trwało to długo!

Sanki sunęły się powoli, noga za nogą. Dzwonki u konia dzwoniły leniwie. Bracia chrapali na piękne... bezbronni, zdani na jego łaskę.

Poskoczył szybko, ujął konia za cugle i zdjął postronki z orczyków. Sanki stanęły—a panowie zasypiali w nich dalej.

Stanął przed nimi i przypatrywał się im obu. Ręka, co trzymała pistolet, drżała mu gwałtownie.

— Cóż teraz zrobisz z nimi? — mruknął — we śnie nie mogę ich przecież zabijać? — Pijani muszą też być, inaczej bowiem dawno już byliby się zbudzili! Najlepiej będzie pozwolić im odjechać a na drugi raz odłożyć całą sprawę.

Właśnie chciał już napowrót założyć postronki do orczyków, kiedy jak błyskawica przebiegło mu przez myśl, że przecież poprzysiągł matce, iż ich zabije.

— Wszakżem wiedział, że ze mnie tchórz nędzny — pomyślał — że nigdy nie znajdę w sobie dość odwagi. Do niczegom niezdolny — nawet do mordu!...

— Ale teraz dokonam tego jednak, bądź co bądź! — pomruknął, cofnął się o dwa kroki wstecz i broń wymierzył prosto w pierś Ulryka, ale nie odwiódł kurka, bo w głębi duszy bał się, by nie zranił śpiącego.

— Czy też ja to uczynię? — myślał sobie, przez chwilę stojąc w tej pozycyi. I począł sobie wyobrażać, coby się stało, gdyby już był dokonał zamierzonego czynu i gdyby ci dwaj leżeli teraz przed nim martwi.

— Albo potem sam sobie odebrałbym życie i pozostawił ojca i siostry na pastwę nędzy, albo nie zabiłbym się, tylko jutro poszedł sam oddać

w ręce sądów, a wtedy nędza równie wielka zapanowałaby w domu.

— Szaleństwem jest to w każdym razie — tak zakończył swe rozmyślania—ale ja to szaleństwo jednak popełnię...

I nagle spostrzegł z pod futra Ulryka, które odchyliło się nieco na piersiach, błyszczący pancerz kotylionowych orderów, które zazwyczaj panie przy tańcu przypinają uprzywilejowanym tancerzom.

— A więc od innych przyjmują ordery— pomyślał—a siostry moje tymczasem oddali na pastwę rozpaczy!

Zawrzało w nim i poczuł, że przecież koniec końcem zdeła wykonać co zamierzył.

— Pierwej jednak muszę im powiedzieć uczciwe słówko — pomruknął, chwycił Ulryka, który siedział z jego strony, za ramię i wstrząsnął nim tak gwałtownie, że głowa opadła najpierw w tył, potem na piersi.

Ulryk natychmiast się rozbudził a kiedy zobaczył ciemną postać Pawła tuż przed sobą z rewolwerem w dłoni, począł krzyczeć głośno, przeraźliwym piskiem. Naówczas zbudził się i drugi i obaj zasłaniali się wyciągniętemi, jakby do obrony rękami.

— Co ty chcesz czynić? — krzyczał jeden.

— Nie zabijaj nas? — błagał drugi.

— Schowaj ten rewolwer. Zlituj się zlituj nad nami! Miej miłosierdzie!

Złożyli ręce i byliby padli na kolana, gdyby im w tem nie przeszkadzał wielki, przytwierdzony do sanek fartuch barani.

Paweł mierzył ich wzrokiem, pełen podziwu. Przez całe swe życie widział ich zawsze tylko śmiałymi aż do zuchwalstwa i gotowymi do walki, tak że teraz w tem swojem przerażeniu wydawali mu się całkiem obcymi, nieznanymi mu zupełnie ludźmi. W głębi duszy pragnął, żeby wyciągnęli na niego noże, aby przynajmniej w uczciwej walce mógł użyć swej broni. A potem nagle przeszło mu przez głowę: „Gdybyś za lat chłopięcych raz tak się z nimi obszedł jak dzisiaj, byłbyś sobie oszczędził niejednego zmartwienia — przedewszystkiem zaś byłbyś oszczędził go siostrom“.

Ulryk tymczasem usiłował pochwycić go za kolana a Fryderyk krzyczał bez wytchnienia:

— Zmiłuj się nad nami... zmiłuj! miej litość!

— Wiecie bardzo dobrze, czego od was żądam — odrzekł Paweł, który teraz czuł że się wyzwolił zupełnie z dotychczasowego wahania i z zimną krwią szedł do celu.

— Czego chcesz od nas, powiedz, czego chcesz? Zrobimy wszystko, czego żądasz — wołał Ulryk. Fryderyk zaś, który starał się ukryć za bratem, zdał się zupełnie pozbawiony mowy.

— Macie dotrzymać słowa, jak ja mego dotrzymam — rzekł Paweł. — Wolałbym, abyście mieli dość na to odwagi, by się bronić, wówczas bowiem

raz skończylibyśmy wzajemne rachunki... Ale może tak i lepiej... a teraz powtarzajcie za mną co powiem: „Przysięgamy na Boga i pamięć matki naszej, że w ciągu trzech dni dopełnimy przyrzeczenia, które daliśmy twoim siostrom“...

Drżący obaj, bełkocząc, powtarzali za nim słowa przysięgi.

— A ja przysiegam wam na Boga i pamięć *mojej* matki — odpowiedział — że was jak psów zastrzelę, gdzie i kiedy was spotkam, jeśli przysięgi waszej święcie nie dochowacie. A teraz możecie jechać do domu, — siedźcie! Ja sam założę wam konia... Siedzieć! — powtórzył, kiedy mimo tego nakazu chcieli mu dopomagać koniecznie.

Nie ruszyli się nawet, tak posłusznymi stali się teraz. A kiedy już założył, rzekli mu z wielką uprzejmością: „Dobranoc!“ i odjechali.

— Tak więc się to załatwia! — mruknął — odrzucając w śnieg rewolwer i ze skrzyżowanemi rękami poglądając za odjeżdżającemi saniami. Jeśli budować zechcesz na sprawiedliwości i poczuciu honoru i chcesz zgodnym sposobem wszystko na dobre obrócić, to nazwą cię tchórzem i obejdą się z tobą jak z psem. — Ale ty innych miej za psów i tak z nimi postępuj zaraz z góry, nie zastanawiając się nawet, czy masz do tego lub nie masz prawa, czy masz lub nie masz słuszności, wtedy nazwą cię odważnym i wszystko ci się powiedzie, wszystko udawać będzie i urośniesz na bohatera. Tak więc się postępuje... tak się to załatwia!...

I otrząsnął się, przejął go wstręt okropny, obrzydzenie bez granic do siebie i całego świata. Takim się sobie wydawał brudnym, takim skalanym, że zdało mu się, że niema nic już na ziemi, coby go z brudu tego obmyć mogło.

. . . . . .

Nazajutrz przed południem, stał po za szopą w śniegu i spoglądał w stronę Helenenthalu, gdzie orszak pogrzebowy zbierał się w smutną drogę. Dwa razy szedł do stajni powiedzieć parobkom, aby zaprzęgli do sanek i oba razy słowa uwięzły mu w gardle.

Teraz stał ze skrzyżowanemi rękoma i widział jak po białem, iskrzącem się polu, ciągnęła się czarna wężowa linia, która malejąc i malejąc w dali, zniknęła wreszcie za lasem, cmentarz Helenenthalu bowiem leżał daleko na drodze ku miastu.

— Jakby to było dobrze—myślał sobie—gdyby i ją pochowano pod trzema jodłami, tam w ziemi! — leżałaby może przy matce, co ją tak kochała za życia i...

Przeląkł się, bo jak błyskawicą mózg jego postawił mu przed oczy obraz, jak w piękny wiosenny wieczór zawsze tam spotykaćby się mogli z Elżunią, która przychodziłaby na grób swej matki, jak on na swojej przychodzi.

— Ale tak jak jest, jest lepiej—poszepnął—bo i zkądże znalazłbym odwagę spojrzeć jej w oczy?—

ja, który po nocach czatuję na publicznych drogach, aby dla sióstr moich nierządnie łapać mężów!

Nagle przybiegły bliźnięta bez tchu prawie — drżały na całem ciele i nie mogły wymówić słowa.

— Cóż wam jest, dzieci?

Gosia ukryła głowę na jego ramieniu, a Kasia wciągała przez nozdrza powietrze, jak dziecko, które gwałtownie powstrzymuje się od płaczu.

— Są, przyjechali! — wybąknęły a potem obie załkały.

— To dobrze — odpowiedział Paweł i ucałował je kolejno.

— Czy nie przyjdziesz do domu? — spytała Kasia, skubiąc fartuszek.

— Gdzieżeście ich zostawiły?

— Mówią właśnie z ojcem.

— Aha — to brzmi jakoś cokolwiek inaczej przynajmniej. Idźcie do waszego pokoju teraz — ja przyjdę niedługo.

— I za jakąż to cenę! — szepnął, spoglądając za niemi, potem raz jeszcze rzucił spojrzenie w stronę Helenenthalu i wszedł do szopy, gdzie stała czarna Zuza:

— Czas już największy, abyś ożyła — rzekł, głaszcząc ręką czarne jej ciało — dzielnie nam popracować przyjdzie, jeśli chcemy dziewczynom dać posag!

Kiedy wszedł do domu, posłyszał donośny głos ojca.

— Ciekawy też jestem, jak się zachowują — rzekł sobie i słuchał, przystanąwszy.

— Tak, głuptas z niego, partacz i głuptasem pozostanie, moi panowie! To, co ja na wielką ob myśliłem skalę, on wykonywa w swój maluczki, kramarski sposób. Myślałem, że mi serce pęknie, kiedym zobaczył, że tam majstruje coś koło maszyny, jakby to była wierzbowa piszczałka. A przytem całe gospodarstwo coraz bardziej schodzi na psy. O, moi panowie, widzicie, żem dziś kaleka, nędzny, na zatratę skazany kaleka, ale gdybym miał jeszcze berło domu ująć w ręce, moi panowie, tysiące wydarłbym tej ziemi, tak jak Vanderbildt, amerykanin, którego życiorys w tym kalendarzu w tak pouczający sposób jest skreślony.

— Czyż pan nie możesz ze swego fotelu rozciągnąć głównego nadzoru nad interesami majątkowemi i kierować niemi wedle swej woli? — pytał głos Ulryka.

— O! moi panowie, widzicie łzy moje! — wylewam ja je co dnia nad tem najniewdzięczniejszem najwyrodniejszem z dzieci, jakie nosiła kiedy święta ta ziemia! W tym kalendarzu opisana jest historya pewnego syna, który swym rodzicom, umierającym z pragnienia na pustyni, z narażeniem własnego życia przynosi wydartej rozbójnikom wody... a on cóż robi? Ot, jak tu siedzę przykuty, nie jestem nawet w stanie ofiarować wam kieliszeczka kminkówki z imbierem, którą sam tak chętnie pijam...

— W przyszłości my jej panu będziemy przywozili—zapewniał Fryderyk.

— O, czemuż mnie Bóg nie obdarzył takimi dwoma synami jak wy, moi panowie! I pomyślcie sobie, nigdy nie spyta mnie o nic, co chciałbym, czego potrzebuję, kuchnię przedemną zamyka, dziwne doprawdy, że dotąd nie umarłem z głodu! No, panowie, znacie go zresztą od dzieciństwa—czyż to nie był zawsze gbur i podstępny?

— O, tak, zawsze miał w charakterze coś gwałtownego—zauważył Ulryk.

— A z pistoletami i szpicrutami wiecznie miał coś do czynienia—dodał Fryderyk.

— Zwłaszcza też, kiedy było można napaść podstępnie, gdzieś z tyłu... Ha, ha, ha! to go doskonale maluje, to właściwy mu już zawsze sposób. O, moi panowie „podstęp nigdy nikomu szczęścia nie przyniósł“, jak powiada jedna z zawartych w tym kalendarzu sentencyj, i jeśli niebo powróci mi jeszcze zdrowie, wówczas zobaczycie, panowie, jak ja się mścić umiem; naprzód pomszczę się na tym łajdaku, podpalaczu, któremu całą nędzę moją zawdzięczam, a potem także na moim panu synie, który się tak nikczemnie z ojcem swoim obchodzi. Wydziedziczę go! Wypędzę na cztetry wiatry!... Nie będęż miał racyi, moi panowie, jeśli tak uczynię?

— Ależ najzupełniejszą, najzupełniejszą — przyświadczyli obaj.

— Dzień dobry—rzekł Paweł, wchodząc...

Szanowna trójka przelękła się niepomału. Ojciec trwożliwie skulił się w fotelu, jak pies co się plag lęka, obaj bracia z wielkiem zakłopotaniem i nader pokornie podali mu ręce, prosząc, aby wszystko puścił w niepamięć.

— Czemużby nie — odpowiedział, zapanowawszy nad swą niechęcią.—Wiecie najlepiej, jaka do tego jest droga.

Kiedy obaj oświadczyli swe chęci, obudziło to w starym manię wielkości, silniejszą jeszcze niż kiedykolwiek.

— Moi panowie – rzekł, wymawiąc każdy wyraz gardłowo, aby brzmiał dostojniej. — Rzecz oczywista, że wasza propozycya przynosi mi zaszczyt, nie jestem wszakże w możności stanowczo na nią zgodzić się od razu. Pierwej muszę mieć dokładną rękojmię co do przyszłości moich córek, które tak ze względu na niezwykłą swą piękność, jak ujmujące obejście oraz niezmazaną cnotę zasługują na los najświetniejszy i rościć sobie do niego mają prawo. Wychowałem je tak starannie i z taką miłością czuwałem nad niemi, że ojcowskie serce moje nie może pogodzić się z tą myślą, bym je tak bez wszystkiego wyprawiał z domu na niepewną dolę.

I w tym tonie perorował dalej aż wreszcie Paweł przerwał mu, mówiąc spokojnie:

— Daj pokój, ojcze, to już rzecz postanowiona...

Wówczas umilkł, w duszy wysoce zadowolniony, że miał sposobność wypowiedzenia tak świe

nej mowy i — co ważniejsza — że znalazł cierpliwych dla niej słuchaczów...

Po południu poszedł Paweł do pokoiku sióstr i rzekł:

— Dzieci, zmówcie pacierz... pani Douglas dziś pochowaną została.

Popatrzyły na niego wielkiemi, przepełnionemi radością oczyma a usta ich okrążał uśmiech rozmarzenia.

— Czyście mnie nie zrozumiały?

— Tak—odpowiedziały cicho, wylękłe i przycisnęły się do siebie, jakby się obawiały rózgi...

Pozostawił je same ich szczęściu i wyszedł odetchnąć jasnem, czystem powietrzem dnia mroźnego.

— Jak się to dzieje— rozmyślał — że teraz każdy się mnie obawia a nie może zrozumieć moich intencyj?

Tego samego dnia jeszcze rozpędził całą czeladź i napisał po majstra, aby dalej prowadził rozpoczętą robotę...

. . . . . .

W tymże tygodniu nastała odwilż, roboty podjęte szły szybko i pewnego piątku wieczorem w początkach marca stała czarna Zuza połyskująca cała w swej nowo połatanej szacie. Następnego rana miano próbować kotła a węgiel i drzewo leżały ułożone w stosy dokoła ścian szopy.

Paweł przewracał się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Leniwo wlokły się dlań godziny... Wiecz-

ność cała dręczącego oczekiwania leżała dla niego między północą a świtem...

— Czy też ożyje? Czy ożyje?...

Zegar uderzył pierwszą—nie mógł już wytrzymać dłużej, ubrał się i wysunął po cichu z migocącą latarką w ręku, w wilgotną noc marcową. Wiatr rozwiewał mu ubranie a lodowaty deszczyk chłostał po twarzy.

Z ciemnej szopy spoglądała czarna Zuza ponuro, jak gdyby irytowała się, że ostatniej nocy spoczynek jej ktoś śmie przerywać... Latarnia rzucała tajemniczy odblask na drewniane ściany szopy a cienie maszyny przy każdem poruszeniu światła tańczyły po nich w dziwacznych podskokach.

— Czy mam obudzić majstra?—myślał Paweł. Nie, niechaj śpi sobie, pierwszą boleść czy pierwszą radość chcę mieć wyłącznie dla siebie.

Z trzaskiem padały kupy węgla w czarną czeluść... Błękitnawe płomyki zadrgały, zakręciły się wirem dokoła i wkrótce czerwonawy odblask żaru napełnił ciemną przestrzeń...

Mdłem światełkiem błyszczała latarnia z żółtej ściany, niby zazdroszcząc ciepłemu, wesołemu ognisku.

Paweł usiadł na stosie węgla i przypatrywał się migocącym płomieniom... Drzwiczki paleniska poczęły zabarwiać się różowawym ognistym blaskiem a przez ruszt spadały, rozsypując brylantowe iskry, żużle wypalone.

Paweł słyszał głośne bicie swego serca, a chcąc je przyprowadzić do spokoju, przycisnął rękę do piersi, poczuł w kieszeni na piersiach flet Elżuni. W dniu, w którym napowrót rozpoczęto przerwane roboty, znalazł go był na lokomobili i odtąd nosił przy sobie.

— Czy też ja i *tego* kiedyś się nauczę? — pytał się, trwożną radością przejęty dla tego, co dotąd zdobył.—Przyłożył flet do ust i próbował wydobyć zeń tony... minuty wlokły się powoli, trzeba było czemś czas sobie skrócić. Ale dźwięki, które wydobywał, głuche były jakieś, chrapliwe—melodyę pewną z nich złożyć było niepodobieństwem.

— Nie, tego nigdy się już nie nauczę—myślał. Wszystko co dla siebie samego przedsięwezmę nie udaje się nigdy, takiem jest już prawo mego życia. Dla innych siać muszę, jeśli chcę zbierać.

Ale mimo to ponownie flet przyłożył do ust.

— Pięknieby to było—myślał sobie — gdybym był został artystą, jak mi to prorokowała Elżunia zamiast, jak ot teraz, palić pod maszyną.

Przeszedł go dreszcz wzruszenia.

— Czy też ona ożyje? Czy ożyje?

Nowy chrapliwy ton wydobył się z fletu.

— Brr—zawołał — toż to przejmuje do szpiku kości. Kochać i przygrywać na flecie trzeba mi będzie widocznie już te zajęcia pozostawić innym!

A w tejże chwili z wnętrza czarnej Zuzy podniósł się jakiś syk tajemniczy, coś niby śpiew

stłumiony, który przez lata całe wiernie pozostał mu w pamięci. Dźwięczało to jakby Parki, ludzkich losów prządki, nuciły gdzieś zdala pieśń swą pod osikowem drzewem.

— Ha! to mi muzyka! — zawołał, zerwawszy się jednym skokiem i rzucając flet daleko od siebie... Żelazne drzwiczki dźwięczały wstrząsane konwulsyjnym wewnętrznego żaru dreszczem... Nowe stosy węgla pochłonęła płonąca paszcza... Szufla z hałasem pobiegła na podłogę.

— Zbudzą się w domu — pomyślał, przelękniony na chwilę — ale niech się budzą, niech budzą! — ciągnął dalej — toć tu chodzi o *ich* szczęście, o *ich* przyszłość.

Śpiew tajemniczy stawał się coraz głośniejszym z każdą chwilą, wtedy nagle napadła go chłopięca swawola, tak że głośno począł gwizdać.

— Jak to brzmi cudownie! Tak, my się znamy na muzyce, z nas tęgie muzykanty, Zuzo, prawda?!...

Komin począł buchać potężnemi kłębami czarnego dymu, który jak baldachim zawisnął pod powałą szopy, chwiejąc się tam i falując jakby wiatr poruszał jego zwojami... Jeden z wentylów ozwał się syczącym tonem i wybiegł zeń biały obłoczek pary, który niebawem połączył się z czarnemi dymu chmurami.. Coraz, coraz głośniejszym stawał się ten syk, dalej, coraz dalej posuwała się wskazówka w manometrze...

— Teraz czas już!...

Drżącą ręką namacał drąg... jedno posunięcie.. jedno pchnienie... i z szumem jakby pędzone niewidzialnemi dłońmi w szalonym wirze poczęło obracać się koło.

— Victoria!.. żyje... żyje!

Niech słyszą teraz, niech przychodzą! Ręka jego dotyka klapy od piszczałki i przenikliwy krzyk rozdziera ciszę nocy:

— Ja żyję, żyję!

Wówczas złożył ręce jak do modlitwy i szepnął cicho:

— Matko, tego należało ci dożyć!

A kiedy słowa te wymawiał, doznał wrażenia dziwnej próżni dokoła; zdało mu się, że i to jest czczą marą, że praca ta jest daremną, bo śmierć siedzi mu już na karku i krzyczy w ucho:

— Umrzesz, umrzesz—nie żyjąc nigdy, ani jednej chwili.

— Ale pierwej muszę jeszcze dokonać niemało—mówił sobie z wilgotnemi oczyma — pierwej wiedzieć muszę, że siostry moje będą szczęśliwe, bo jeśli pozostaną ubogiemi, będą się mężowie źle obchodzić z niemi, pierwej muszę folwark zobaczyć odbudowanym z gruntu, przeistoczonym zupełnie, potem niech i to przyjdzie.

I jak te czarne w górze głębiły się obłoki, tak dlań przed oczyma ducha gromadziły się w przyszłości nowe lata niewoli, lata walk, śmiertelnych zapasów i trosk nieprzerwanych.

Z zaspanemi oczyma zebrali się wszyscy domownicy u drzwi szopy; znalazły się i siostry, stojąc pośród dymu i gorących blasków żaru, trwożliwie przytulone do siebie, w swem białem, nocnem ubraniu, wyglądały jak dwie białe różyczki, rozkwitłe na jednej gałązce.

— Patrzcie, tu się sposobi wasza przyszłość, biedne dzieciaki — szepnął, skinąwszy na nie przyjaźnie.

Kiedy i majster się pojawił, Paweł poszedł do sypialni ojca, który, leżąc w łóżku, poglądał nań zmieszany.

— Ojcze — rzekł skromnie, jakkolwiek serce wzbierało mu dumą — lokomobila naprawiona; jak tylko grunt odtaje, możemy rozpocząć roboty na torfowisku.

Stary zawołał niecierpliwie:

— Daj mi pokój!—i odwrócił głowę do ściany...

. . . . . .

Kiedy nazajutrz rano lokomobilę wyciągano z szopy, na progu rozległ się dźwięk jakiś szczególniejszy, jakby się coś rozprysnęło.

— Coś się dostało pod koła—rzekł majster.

Paweł schylił się popatrzeć. Leżała tam kupka okruchów w pośrodku rozgnieconego fletu Elżuni...

Gorzki uśmiech skrzywił mu usta, ten uśmiech mówił: „Teraz poświęciłem ci ostatnią rzecz, com posiadał, teraz możesz już być zadowolnioną, Kumo Trosko!“

Od dnia tego zdało mu się, że ostatni węzeł, który go łączył z Elżunią, został zerwany. Utracił ją, jak utracił sny młodzieńcze, marzenia, nadzieję, godność swoją, jak utracił samego siebie.

Wśród okrzyków, wyjechała czarna Zuza na torfowisko.

XIX.

Lata mijały. Dawno już obie siostry były szczęśliwemi mężatkami, posagi zostały wypłacone, a szwagierkowie poczynali już od czasu do czasu zaciągać pożyczki u Pawła.

Jakże milcząco było teraz, jak cicho w dworku! Ojciec wprawdzie chodził już o kuli teraz po domu i ogrodzie, ale zbyt już zleniwiał, aby się na nowo pokusić o berło domowej władzy. Paweł nic innego nie mógł dla niego zrobić prócz tego, że kazał mu gotować ulubione jego potrawy, że zbyt skąpo nie wymierzał mu porcyi uprzywilejowanej kminkówki z imbierem i na Boże Narodzenie co roku obdarowywał go nowym kalendarzem. Wszystko to powinno było w zupełności zadawalniać starego, bo w rzeczy samej nie potrzebował nic więcej — ociężał bowiem już tak dalece, że wycieczki do miasta nawet przestały go nęcić, — ale im więcej rozrastało się jego ciało w tym dobrobycie, tem dusza jego bardziej stawała się zgorzkniałą i zaciętą. Całemi godzinami mógł się zamyślać i wów

czas strasznie było nań patrzeć, jak wśród tych rozmyślań zgrzytał zębami lub zaciśniętemi pięściami potrząsał. Jedną z jego manij było, że syn umyślnie go tak gnębi i strąca na podrzędne stanowisko, aby sobie przywłaszczyć sławę wielkich idei, których on był twórcą, a im więcej przysparzało dochodów torfowisko, tem wściekleyszym był, obrachowując, ileto przyniosłoby było jego akcyjne stowarzyszenie! Nie szczędził milionów, bo i pocóż miał sobie żałować...

Ale obok tego inna rzecz jeszcze lęgła się w najciemniejszym zakątku duszy jego; był to plan zemsty na Douglasie, który to plan pieścił w duszy, jako najwyłączniejszą swą tajemnicę. Nawet zięciom, którym zazwyczaj zwierzał się ze wszystkiego, nic nigdy nie wspomniał o tem. Ulryk raz jednak powiedział Pawłowi:

— Strzeż się, bo stary coś przeciw Douglasom obmyśla.

— Cóżby to być mogło? — odpowiedział, pozornie obojętny, jakkolwiek sam nieraz już tem się niepokoił.

Czczo i pusto płynęło istnienie Pawła dzień za dniem. Całe jego wewnętrzne życie poświęconem było poziomej trosce o mienie i pieniądz, nabytek ten jednak nie sprawiał mu nigdy przyjemności. Nie posiadał już nikogo, którego szczęście byłoby dlań celem, i pracował sam nie wiedząc nawet dla czego? — jak koń przy pługu ciągnie swą uprząż, nie pytając co robi pług, który ciągnie przez cier-

nie. Miesiące mijały często a on nie zajrzał nawet w głąb swojej duszy. I nie gwizdał też już nigdy. Lękał się męczarni, którąby ten wylew uczucia przywołał znowu do życia, ale na one czasy, w których zdołał jeszcze z sobą rozmawiać tonami patrzał jak na raj utracony.

Czasami przejmowała go gorycz głęboka, kiedy porównał cel swej pracy, swych zabiegów, trosk i bezsennie spędzonych nocy z tem, co w zamian poświęcił. Zdało mu się tamto, co złożył w ofierze, czemś niezmiernie dumnem, wielkiem, bogatem i uszczęśliwiającem, tylko nie umiał dla tego znaleźć nazwy właściwej.

I od tych myśli bronił się i oswobadzał najlepiej, rzucając się powyżej głowy w nową jaką pracę i długi też wtedy czas mijał, nim go ponownie chwyciła ta choroba.

Folwark z każdym rokiem się podnosił; dług Douglasa został spłacony, pola wspaniałe okrywały plony, na łąkach pasło się bydło ras szlachetnych. Cały dworek miał się przyoblec w nową sukienkę. Dom mieszkalny, stajnie, obory, wszystko to miało być z gruntu przebudowane. I pewnej też wiosny zaroił się dziedziniec rzemieślnikami wszelkiego rodzaju. Dawny dworek zwalono a Paweł, dla siebie zbudowawszy barak drewniany tymczasowy, ojca nakłonił z łatwością, aby na czas ten osiedlił się u którego z zięciów.

— Już ja tu nigdy nie powrócę — mówił na odjezdnem — nie mogę już dłużej patrzyć na twoją waryacką gospodarkę.

Pierwszym wszakże, co na jesieni się pojawił w nowym dworku był stary. Zasiadł wygodnie w swym fotelu i odtąd zięciów wciągnął w rejestr osób, którym złorzeczył. Widocznem było, że nie musieli go brać przez rękawiczki.

— Niema już teraz dla mnie miejsca na całym świecie, gdziebym mógł złożyć głowę na spoczynek — mruczał sobie leniwie, wyciągając się na miękich poduszkach fotelu.

Następnej wiosny z kolei przybyły gospodarskie budynki, zwłaszcza też stodoła miała być okazem wspaniałego wiejskiego budownictwa, jako pomnik onej fatalnej nocy, która matce zadała cios śmiertelny.

Wieśniak, który teraz przejeżdżał polem, musiał rad nierad przystawać, aby schludne budynki, które już zdala połyskały mu czerwonemi dachami, z bliska módz obejrzeć, a niejeden wstrząsał głową, wiedząc ile to kłopotów przyczynia takie budowanie.

Na torfowisku tymczasem czarna Zuza buchała ciemnemi kłębami dymu, noże maszyn do wycinania zanurzały się głęboko w grunt lepki a prasa pracowała powoli i w milczeniu, jak dobroduszne bydlę domowe. Nowo wybudowana szopa świeciła z daleka białemi ściany w blaskach słońca, a do koła niej wznosiły się długie, czarne mury praso-

wanych cegiełek torfowych. Te cegły zbite były, twarde, ciężkie i zawierały mało włókna a dużo cząstek węglowych. Bez trudu zwalczały one wszelką konkurencyę i cieszyły się zasłużoną sławą szeroko aż do Królewca.

Paweł, który w swoich przemysłowych podróżach często stykał się z obcymi ludźmi, doznał szczęścia, że go wszędzie witano jako poważnego człowieka i że właściciele rozległych włości, szanowani powszechnie, traktowali go jak równego sobie. Ale nie sprawiało mu to przyjemności zupełnie.

Ilekroć po przyjacielsku ściskano mu rękę lub winszowano powodzeń, albo wreszcie proszono o odwiedzenie, jak o łaskę, on sobie zawsze po cichu zadawał pytanie: „Czy ten człowiek szydzi ze mnie?“ I jakkolwiek wiedział, że ci panowie bynajmniej nie żartują sobie z niego, rad był zawsze, kiedy mu się udało wymknąć z ich grona.

— Bo i dla czegóż nie przyszli do mnie wcześniej, ci wszyscy tacy życzliwi? — mówił sobie— wówczas kiedym był w nędzy, gdzie każde poczciwe słowo byłoby przyniosło mi korzyść. Dziś jam obumarły, jak kij wycięty z żywego drzewa — dziś już za późno.

A ta ambicya jego szła dalej i coraz dalej...

I jakby samo niebo jawnie błogosławiło jego pracy w tym roku, — roku siódmym od śmierci matki, zboże wyrosło tak obficie, tak rozrzutnie, deszcz i słońce przychodziły w właściwej zawsze

porze, że ludziom aż nieprzyjemnie jakoś było wobec tej obfitości darów Bożych i pytali się mi mowolnie: „Czy taki urodzaj nadzwyczajny wyjść na dobre może?“

— Pewnie coś stanie jeszcze na przeszkodzie, grad lub coś innego — mówił Paweł, który zawsze był przygotowany na wszystko co najgorsze. Ale nie! Wysoko wyładowane wozy, jeden po drugim zajeżdżały do stodół, tak że wszystko wypełnione było po brzegi złotem ziarnem plonów.

Paweł i tem się nie cieszył. Im obficiej gromadziły się dostatki, im dumniej piętrzyły się owoce pracy rąk jego, tem więcej dojmującą stawała się jego troska. Ktoby go widział jak z bruzdami pooranem czołem, z głową pochyloną szedł przez dziedziniec dworku powoli, ten mógłby sądzić, że to człowiek, co po szyję wpadł w długi, z których nie wie jak wybrnąć i czuje już nóż na gardle.

W tymże czasie wyczytał w gazecie, że Elżunia się zaręczyła. Imiona Elżbiety Douglas i Leona Weller, były tam tuż obok siebie wydrukowane. Ani poczuł dojmującego bólu, ani nawet się przeląkł, tylko uśmiech pełen smutnego zadośćuczynienia, okrążył mu usta, kiedy szepnął zcicha:

— Wszakżem to zaraz mówił.

A potem przyszła mu na pamięć owa karteczka, którą niegdyś w kościele Erdmannowie w kurs puścili, aby mu dokuczyć i która brzmiała podobnie jak te w gazecie ogłoszone zapowiedzi, tylko własne jego imię było wówczas zamieszczone na

tem miejscu, gdzie dziś stanęło obce. A to była przecież różnica!

Nie widział jej od lat wielu. Jakkolwiek ziemie ich stykały się z sobą, dla nich nie było nigdzie punktu zetknięcia. Biały dom połyskał również jasno w jego okna, jak wówczas, gdy w duszy jego dziecięcej zbudziła się tęsknota odbycia do niego pielgrzymki, ale magiczny blask, który opromieniał go wówczas, opromieniał nawet piętnaście lat temu jeszcze, zatarł się pod wpływem zapadających cieniów powszedniości.

— Oby była szczęśliwą! — rzekł, i wydało mu się, że to życzenie jest dostateczną dla niego pociechą.

Następnej niedzieli w kościele odbywało się nabożeństwo na podziękowanie Bogu za szczęśliwie ukończone żniwa. Paweł siedział gdzieś wciśnięty w kąt ławki, słuchał dźwięku organów i modłów dziękczynnych kapłana. Słońce świeciło w tysiące barw, łamiąc się wesoło po przez kolorowe szyby okien — tak właśnie jak w dzień, kiedy on i Elżunia razem przystępowali do pierwszej komunii, — ale też jeszcze więcej ponura i może smutniejsza, w swych szarych szatach stała i teraz jeszcze osiwiała kobieta, spoglądając wielkiemi zapadłemi oczyma na niego...

— I ja dziś obchodzę święto żniw — pomyślał sobie — żniwa mojej młodości: ale nie jest ono zbyt wesołem...

Msza skończyła się. Tryumfalnemi dźwięki organ ogłosił wiernym, że już czas rozejść się do domów.

Kiedy Paweł zstępował po schodach wiodących z kościoła, spostrzegł o jakie pięć kroków zaledwie Elżunię, wspartą na ramieniu narzeczonego.

Wydało mu się, że postarzała znacznie i wyglądała blado jakoś, chorobliwie. Kiedy wzrok jej spotkał się z jego wzrokiem, pobladła jeszcze o jeden ton więcej.

On drżał ciałem całem, ale oko jego nie cofnęło się z jej twarzy. W zakłopotaniu, sięgnął po czapkę i na tem samem miejscu, gdzie przed piętnastu laty po raz pierwszy mówili z sobą, w milczeniu dziś przeszli koło siebie, jak oboy sobie wzajem...

. . . . . .

XX.

— Co też tam ojciec może robić? — mówiła pani Kasia Erdmann do pani Gosi Erdmann, kiedy pewnego dnia przybyły odwiedzić dom rodzicielski a przy tej sposobności użalić się z różnych domowych trosk przed bratem.

Stary stał pochylony w kącie po za stodołą i grzebał coś w stercie słomy, co tam była złożona. Kiedy posłyszał turkot powozu, odskoczył przelękły i zatarł ręce, jak ktoś, kto sobie chce nadać swobodną minę.

Obie siostry popatrzały na siebie i Gosia zrobiła uwagę:

— Trzebaby Pawła o tem uprzedzić.

O, teraz stały się bardzo rozsądnemi te dwa niegdyś pustaki, a to nietylko powierzchownie; wiecznie rozrzucone niegdyś ciemne loki, zaczesały teraz gładko, a w oczach płonących niegdyś, znać było cień znużenia, jakby już oczy te wiedziały teraz co to znaczy wypłakać się gdzie w ciemnym kąciku. Prawda i to, że pani Kasia miała trzech zuchów chłopaków a u pani Małgorzaty pojawiała się nawet nadzieja, że czwarty niebawem ujrzy światło dzienne, a rzecz wiadoma, że macierzyństwo nuży.

Pawła nie było w domu, zajęty był na torfach, ale ojciec wybiegł z chytrym śmiechem i wywijając swą kulą, wołał:

— A co, nie biegam ja teraz znowu, jak dwudziestoletni chłopak?

Pani Kasia wyraziła swe podziwienie, a pani Gosia jej zawtórowała.

— Idzie jak po maśle — śmiał się; onegdaj nawet odbyłem sobie porządny spacerek aż do Helenenthalu.

Zdziwione, przerażone niemal, popatrzyły na niego, bo wiedziały, że od czasu jak się ztamtąd wyprowadził nie był tam nigdy.

— Jakże tam ojca przyjęto? — spytała Gosia.

— Kto? Jak? — Ah, wy myślicie może, że ja z wizytą tam byłem, po sąsiedzku? A toście zga-

dły! Wolałbym pójść do waszego podwórzowego psa z wizytą i podzielić się z nim jego kością!

— Ale cóż tam ojciec robił?

— Popatrzałem sobie ot tak przez bramę, spojrzałem na zegarek i wróciłem napowrót. Jak też sądzicie, ile ja potrzebuję na to czasu, aby tam zajść...? zgadnijcie!

Nie mogły odgadnąć.

— Półtory godziny, akurat tyle, co szybkobieg... Wprawdzie... — i w zamyśleniu popatrzał przed siebie... — jeśli się jeszcze coś niesie, może to trwać i dwie godziny.

— I na to tylko, aby to obrachować, ojciec...

— Tylko na to, mój aniołku, tylko na to!

I oczy jego zaiskrzyły się złowrogo.

Następnie usiedli wszyscy na werendzie, którą Paweł na wzór białego dworku kazał zbudować przededrzwiami domu. Stara gospodyni, która poprzednio prowadziła gospodarstwo Erdmannom a po weselu przeniosła się do dworku, musiała powędrować do kuchni, aby ugotować kawy i na piec wafli, a że ojcu nie stało lepszego materyału do rozmowy z córkami, począł wymyślać na Pawła i obu zięciów. Dziś czynił to mniej z zamiłowania do przedmiotu niż raczej z dawnego nawyknienia, myśli jego gdzieś indziej biegły widocznie, bo kiedy mówił, wciąż kręcił się na krześle.

— Chodźmy do pokoju — rzekła Kasia! — musimy się trochę rozejrzeć po gospodarstwie a potem, jeszczeby nas wiatr ztąd zmiótł niedługo, tak nam podwiewa suknie.

— Burza będzie dziś w nocy — zauważyła Gosia, a potem obejrzały się obie przelękłe, bo śmiech, którym stary na te słowa wybuchnął, brzmiał tak jakoś dziwnie.

— A niech będzie burza — rzekł nieco zaambarasowany — zaszkodzić już ona nie zaszkodzi. Alboż to i u was w małżeństwie nie trafiają się czasami burze?

W twarzy Kasi mignęło coś jak dawna figlarność, ale Gosia ściągnęła usteczka, gotowa, zda się wybuchnąć lada chwila płaczem. Widocznie była jeszcze w epoce, w której się człowiek nie może pogodzić z różnemi dolegliwościami życia.

— A tak, jesień wczesna będzie tego roku — zauważyła w przystępie melancholii.

Stary zagwizdał znaną piosenkę: „Gdy jaskółki ciągną już...“ a Kasia zadecydowała:

— A niech nadchodzi jesień, toć stodoły już pełne.

— Bogu dzięki — zachichotał stary—pełne one.

Siostry objęły się wpół i wyglądały, czoła oparłszy o szybę, na podwórze, oblane słońcem, po którem wiatr wznosił wysokie, wirujące tumany piasku..

O zmroku przyszedł Paweł do domu, czarny jak murzyn, pył torfu bowiem, który wiatr pędził kłębami, osiadł mu był na twarzy i brodzie.

Podał siostrom w milczeniu rękę, popatrzał im bystro w oczy i rzekł:

— Później będziecie mi się uskarżać.

Gosia popatrzała na Kasię a Kasia popatrzyła na Gosię, potem zaśmiały się głośno, pochwyciły go za obie ręce i poczęły z nim tańcować po pokoju.

— Posmolicie się, dzieci — wołał.

— „Mój luby jest kominiarzem"... — zanuciła Gosia a Kasia zaśpiewała wiersz następny: „Mój luby jest z murzynów kraju"...

Potem wycałowały go i pobiegły do lustra, aby zobaczyć, czy całus nie pozostawił śladu na ich twarzach.

Kiedy wyszedł, by się oczyścić nieco, zauważyła Gosia:

— To dziwne, że dość, by on spojrzał na człowieka, a już lżej robi się na sercu.

A Kasia dodała:

— Ale sam za to jeszcze więcej dziś jest milczącym niż kiedykolwiek.

— Pawełku, bądź dobry!—pochlebiała mu się, kiedy wszyscy razem zasiedli do wieczerzy — przecież wszyscy cieszyć się powinniśmy, gdy się zgromadzamy tutaj!... No, uśmiechnijże się do nas wesoło.

— Czy zapomniałyście co to za dzień dzisiaj?— odpowiedział, gładząc ich włosy.

Przestraszyły się, bo najprzód przyszło im na myśl, czy to czasem nie dzień śmierci matki, ale potem odetchnęły swobodniej, ta rocznica przypadała około św. Jana.

— Jakiż?—spytały.

— Dziś lat temu osiem spaliły się nasze stodoły!

Wszyscy zamilkli—tylko ojciec pomruknął coś do siebie i zaśmiał się dziwnie...

Poczęło ciemnieć już zupełnie, po nad polem tylko jaśniał jeszcze purpurowy pas nieba, który rzucał odblask łuny na stół białym obrusem nakryty... Okiennicami wiatr wstrząsał gwałtownie.

Na szczęście weszła teraz do pokoju gospodyni, gadatliwa staruszka, która zawsze miała w pogotowiu zapas nowinek.

— No, pani Jankus, cóż tam słychać dobrego?—zawołała Kasia, rada że może zrzucić ciężar przykrych wspomnień.

— O, paniusiu—mówiła starowina—to pani nic nie wie? W kościele dziś mają roboty co nie miara. Cała wieś wije wieńce — nad ołtarzem pozawieszano girlandy z samych róż remontantów, a po obu stronach ustawiono szpaler z drzew oleandrowych.

— Cóż tam się dzieje?

— A toć wesele! Jutro ślub panny Douglas!

Obie siostry spojrzały po sobie przelękłe, zamieniły szybkie z sobą spojrzenie, a potem ukradkiem popatrzały na Pawła. Ale on siedział spokojnie, kręcąc w palcach gałkę chleba, jak gdyby cała ta historya nie obchodziła go bynajmniej.

Siostry rzuciły sobie nowe spojrzenie i sk porozumiewająco. Potem jedną tknięte myślą, pochwyciły obie jego ręce.

— Dzieci, a toż mnie rozerwiecie! — rzekł ze słabym uśmiechem.

— Tak, to dzisiaj dziewiczy wieczór w Helenenthalu?—spytał ojciec, który nagle ożywił się.

— Oczywiście, oczywiście—odpowiedziała gospodyni. — Widziałem niedawno całą gromadę wiejskich dzieci, obładowanych staremi garnkami i różnemi skorupami [1]).

— Ależ to pysznie wszystko się składa — pomruknął stary i zatarł ręce,

— Czemu?—spytał Paweł.

— Ah, tak tylko mówię... przypadek, dzień ten sam, w którym podpalili naszą stodołę. Słuchaj no, Pawle, boś ty wtenczas nie spał, która też mogła być godzina, kiedy zobaczyłeś, że się pali?

— Mogła być pierwsza wówczas

— Tak, ty to wiedzieć musisz. Wprawdzie coś ty tam miał w Helenenthalu do roboty, po dziś dzień jest mi niejasnem, ale już dobrze — bardzo dobrze — wiem teraz przynajmniej dokładnie, o której to było godzinie.

— Wie ojciec coś bardzo potrzebnego— rzekła, śmiejąc się Gosia.

— Już ja to wiem!—odpowiedział z uporem.— Zobaczysz, córeczko, zobaczysz, czy to potrzebne!

---

[1]) W Niemczech, w wigilię ślubu, dzieci rozbijają o drzwi panny młodej garnki i szkło, za co w zamian otrzymują poczęstunek. (Przyp. tłom.)

Kasia chciała poprzeć siostrę, ale Paweł skinął na nie nieznacznie, aby dały pokój staremu dziwakowi.

Wkrótce potem pożegnały się siostry z ojcem i bratem.

— Wszakżeś chciała powiedzieć Pawłowi, że ojciec za stodołą ma jakieś tajemnice—ozwała się Kasia, kiedy już obie siedziały w powozie.

— A prawda — odpowiedziała tamta i skinęła na Pawła, by się przybliżył. Ale stary, który nieufnie wszędy wysyłał ucho na zwiady, wcisnął się między nich coprędzej i udaremnił tym sposobem ich zamiary.

Kiedy jak zwykle wieczorem Paweł, obchodząc całe gospodarstwo, przyszedł do kuchni, spostrzegł, że ojciec z gospodynią pertraktuje o jakiś garnek gliniany.

— A na co panu potrzeba garnka, panie Meyhöfer?—pytała staruszka.

— Muszę iść na obchód dziewiczego wieczoru, moja pani!—odpowiedział z głuchym uśmiechem—może i mnie poczęstują tam smacznym weselnym kołaczem!...

Staruszka śmiała się do rozpuku, a ojciec pokulał ze zdobytym garnkiem do swej sypialni, której drzwi starannie zamknął za sobą..

Cały dom udał się na spoczynek, Paweł jeden tylko jeszcze kręcił się po ciemnym dziedzińcu.

— Zatem jutro jej wesele—mówił sobie, skrzyżowawszy ręce na piersiach — gdybym był do-

brym chrześcianinem, powinienbym odmówić pacierz za jej szczęście... Ale takim mazgajem jeszcze, ch. ała Bogu nie jestem... Zdaje mi się, że niegdyś bardzo ją kochałem, więcej nawet, niżem sam sądził... Jak się to stało, że potem takim stałem się jej obcym?... Żeśmy się tak od siebie oddalili?...

Myślał i myślał, ale nie mógł dojść do ostatecznego wniosku.

Księżyc wszedł po nad pole wielką krwawą tarczą, która niepewne światło rozlała po dziedzińcu i dachach budynków... Wiatr zdał się jeszcze silniejszym... Gwizdał u węgłów zabudowań i szumiał po drzew wierzchołkach...

— Gdyby tak dzisiaj wszczął się pożar, niezadowolniłby się już samą stodołą — pomyślał Paweł i przyszło mu na myśl, że trzebaby agentowi ubezpieczeń posłać upomnienie, aby przyśpieszył asekuracyę.

— Bo któż wie, co przez noc stać się może. Trzeba iść spać — zakończył swe rozmyślania — i jutro przecież dzień mnie czeka a w dodatku dzień weselny.

Na palcach wsunął się do swej sypialni, którą urządzić sobie kazał tuż obok pokoju ojca, aby w razie czego módz zawsze starcowi przyjść z pomocą.

— Czy też ty dziś zaśniesz? — myślał sobie w godzinę później. Cienie liści, któremi wicher poruszał, tańczyły w szalonym jakimś rytmie po

kołdrze łóżka a z po za nich przeświecał księżyc białawemi płomykami.

— W ową noc świętojańską tak samo jasno przyświecał księżyc—myślał sobie i przyszło mu na myśl przytem jak białym był ubiór Elżuni co się wymykał z pod płaszczyka.

— Jednakże, bądź co bądź, była to najpiękniejsza noc w mojem życiu—szepnął z westchnieniem i postanowił, że teraz zaśnie a ku utrwaleniu tego postanowienia nakrył się na uszy kołdrą...

W chwilkę potem wydało mu się, że słyszy jak w przyległym pokoju wstaje ojciec i drzwi odemknąwszy wychodzi... Wyraźnie słyszał stuk kuli po bruku dziedzińca.

— Wróci zapewne zaraz – pomyślał sobie, zdarzało się bowiem często, że ojciec wśród nocy wstawał.

Po tej uwadze ogarnął go półsen niespokojny w którym ścigały go różnorodne marzenia przykre. Kiedy całkowicie zbudził się napowrót, księżyc świecił wysoko już na niebie, tak że zaledwie jego promienie padały na pokój. Ale ogród i dziedziniec kąpały się za to w jasnych blaskach.

— Rzecz dziwna, zdaje mi się, żem nie słyszał dotąd powracającego ojca. Podniósł się i spojrzał na zegarek zawieszony nad jego łóżkiem.

Osiem minut do pierwszej!... Dwie godziny upłynęły przez ten czas!

— Musiałem pewnie spać mocno—pomyślał sobie i chciał już napowrót się położyć, kiedy po-

słyszał jak poruszone wiatrem zapadły z łoskotem drzwi wchodowe, dom cały wstrząsając w posadach.

Przelękły, wyskoczył z łóżka...

— Co to jest?... drzwi domu otwarte... czyżby ojciec nie powrócił dotąd?

Natychmiast zarzucił na siebie w prędce ubranie i boso z gołą głową wypadł z pokoju.

Drzwi, które z sypialni ojca prowadziły do sieni, stały na oścież otwarte. Blady z przerażenia, przystąpił do łóżka.. łóżko było nietknięte, tylko w nogach na kołdrze znać było wklęśnięcie. Tu więc siedział ojciec nieporuszenie przeszło półtorej godziny — widocznie oczekując póki on nie zaśnie.

— Na miłość boską, co to wszystko ma znaczyć?

Wzrok jego błądził dokoła po pokoju... Tam w kącie leżały porzucone wełniane trzewiki, w których ojciec zazwyczaj chodził dzień cały, natomiast buty, które miesiącami całemi stały nieużywane—znikły gdzieś teraz...

Co to? — miałżeby kulawy ojciec nocą wyjść na wędrówkę? Serce bić mu przestało.. wypadł na podwórze.

Jasno było jak za dnia, tam tylko gdzie padał cień stodoły było ciemno...

Wicher szumiał w drzewach — piasek pędził w kłębach, zresztą wszędzie cisza—pusto dokoła... Przebiegł ogród—nigdzie śladu, pobiegł za staj-

nie—i tu ani śladu... co to jest? Wrota podwórza stoją otwarte? Gdzież on poszedł?...

Pies zaskowyczał na łańcuchu — szybko spuścił go...

— Szukaj pana, Turku – pana!

Pies węszył po ziemi i pobiegł w kierunku stodoły, tam właśnie, gdzie leżały sterty słomy, które jak płowe wzgórki piasku piętrzyły się dokoła murów... Oślepiająco kładły się blaski księżyca na białem wapnie ścian i migotały po jasno żółtej ziemi... Szpilkę znaleźby można było... Nic tu nie sposób spostrzedz, tylko w jednem miejscu słoma była nieco rozrzuconą...

Ale co to! — zkąd wzięła się tu drabina, przystawiona teraz do muru? Drabina, która przed dwoma godzinami jeszcze leżała na ziemi przy parkanie?

Kto ją wziął ztamtąd?

I... na miłość boską, co to jest?... Kto otworzył okienko w s czycie? Okienko, które on sam zaryglował z wewnątrz, zanim jeszcze snopy złożono do sąsieka?...

U dołu, przy drabinie, ziemia połyskiwała wilgocią, jak gdyby ktoś płyn jakiś wylał... Wyziew nafty wydobywał się z kałuży.

Drżącemi rękoma sięgnął po źdźbła słomy co pokrywały ziemię. Tak, były mokre i wyziew ten sam, wyziew nafty, udzielił się jego palcom.

Czuł, że się uginają pod nim kolana, ciemne niesformułowane a okropne przeczucie zaćmiło

jego zmysły, — z trudem podniósł się i wszedł na drabinę aż póki nie doszedł do okienka w szczycie.

U dołu pies skowyczał ciągle...

— Szukaj pana, Turku, pana!

Pies zaczął szczekać radośnie i biegać, węsząc dokoła aż póki niewpadł na trop.

Paweł poglądał za nim. Całe ciało jego drżało wstrząsane febrycznym dreszczem, męczącego oczekiwania.

Pies biegł ku bramie. A więc to prawda! To ojciec bramę otwierał!

Ale potem... potem! Gdzie się też zwróci?

— Szukaj pana, Turku, pana!

Pies zawył raz jeszcze krótko, urywanie a potem popędził prostą drogą do... Helenenthalu.

Do Helenenthalu... co ojciec chcieć tam może? Tak, czyż niedawno temu, nie mówił, że był tam któregoś popołudnia „na próbę“, jak powiedział. Na próbę!... A jak dziwnie, jak złowrogo śmiał się przytem!

A i dziś jeszcze — jak zagadkowem było jego zachowanie! a kiedy była mowa o pożarze stodoły, co miały znaczyć jego słowa, że wszystko to pysznie się dziś składa? — dlaczego dziś właśnie?

Chodzi teraz o to, aby znaleźć słowo tej zagadki, nim będzie już zapóźno!

Jakby szukając pomocy, obejrzał się dokoła.

Ręka jego mechanicznie sięgnęła w ciemny głąb szczytowego okienka stodoły i pochwyciła ucho blaszanej bańki, która tam stała ukryta

w snopkach.. Była to bańka z naftą, którą wczoraj właśnie świeżo kazał był napełnić. I na czyjeż to żądanie? Kto to przyszedł i powiedział...

— Ojcze, ojcze, na miłość bożą pocoś ty tam poszedł do Helenenthalu?

A teraz, ileż jej tam jest jeszcze w bańce? Ledwie połowa, ledwie połowa!

I kiedy tak dalej bezmyślnie macała jego ręka w ciemnościach, znalazł paczki zapałek rozsypane dokoła blaszanki...

Wtedy dopiero zasłona spadła mu z oczu całkowicie! Pełen udręczenia krzyk wydarł się z ust jego:

— On tam teraz dwór Helenenthalu podpala!

Wszystko dokoła niego wirowało kołem, ręce pochwyciły kurczowo za deskę okienka, inaczej byłby wstecz się przewrócił.

Teraz wszystko było już jasne... ojca dziwaczne mowy, jego śmiech, jego groźby!

Ale czas był jeszcze. Stary przecież szedł o kuli, więc powolnie. Gdybyż on sam dosiadł konia—i popędził za nim..

— Konia ze stajni!—krzyknął w szumiący wicher nocny i zbiegł śpiesznie po szczeblach drabiny...

W tem nagle zabłysnęło mu w mózgu:

— Czemu pytał ojciec tak dokładnie o godzinę, w której przed laty... Może dokładnie w tej samej minucie ma być dokonaną zemsta? Jezu Chryste!

w takim razie wszystko stracone! Pierwszą ja mu sam wymieniłem... a teraz jest pierwsza...

Szalona przejęła go trwoga — napowrót pędem wbiegł po drabinie.

W następnej już może chwili buchnąć musi tam płomień pożogi.

Czy tam już się nie pali? Nie, tylko księżyc migoce na szybach białego dworu... Ojcze niebieski, nie maszże już żadnego ratunku, znikąd zmiłowania! Gdybyż jaka modlitwa, gdybyż jakie zaklęcie posiadało moc taką, by podniesioną rękę obezwładnić!.. Kto go ostrzeże, kto mu da znak jaki, by zawrócił ze zbrodniczej drogi?...

Ależ tam już się palił.. Nie... Może sekunda jeszcze a łuna pożaru zaświeci na niebie jak wówczas—jak wówczas!

Palić się musi — *tu* się palić musi! Musiałby paść piorun z nieba na dachy ojcowskiego domu aby ten płomień głośno zawołał na ojca: „Wstrzymaj się! wstrzymaj! upamiętaj!“ Ach, czemuż niebo tak jasne, czemu posiane iskrzącemi gwiazdy? Czyliż nie nadciągnie burza z chmurami gromów? Może on tam teraz w tej chwili pełza do słomą krytych budynków, może pociera zapałki!.. Chwila a zapóźno będzie na wszelką przestrogę!

— Palić się musi—*tu* palić się musi!

Niemaż nigdzie pochodni, którą mógłbym mu dać znak, coby go ostrzegł?

Palić się musi — *tu* musi się palić!

I kiedy tak nieruchomemi, szeroko rozwartemi oczyma patrzał przed siebie, szukając deski ratunku, nagle zabłysło jak ten płomień, którego tak gorąco przyzywał coś w jego zmąconym mózgu jasno, wyraźnie.

Okrzyk radości z ust mu się wydarł...

— Tak, *tego* właśnie potrzeba! *Ten* przestrach obezwładni jego rękę.

Ratunku, ratunku za każdą cenę!

Oburącz chwycił za blaszankę i szeroką strugą polał naftą na złożone snopów stosy...

Sięgnął po zapałki... potem cichy syk dał się słyszeć .. wicher wpada z głuchym łomotem przez otwarte okienko.. i... wysoki słup ognia wybiega z niego i pryska mu w twarz prosto.

Dziki krzyk przeraźliwy... W oczach robi mu się ciemno... szuka oparcia i na oślep chwyta za poręcz płonącego otworu.. ale to, co pochwycił, usuwa się i.. w następnej chwili pada, szeroki łuk zataczając w powietrzu, z płonącym snopem w kurczowo zaciśniętych dłoniach, razem z drabiną na słomę...

Już płonie jasno jego podścielisko... ma tyle jeszcze siły, by się stoczyć na bok ze sterty — w następnej chwili wszystko już dokoła stoi w morzu płomieni...

A wicher świszczy i szumi, i rozżarza ogień. Podnosi się syk, gwizd przeraźliwy płomieni wy-

soko w powietrzu... już ogniste języki liżą dach stodoły.

Pędem powraca na podwórze, które zawsze ta sama zalega jeszcze cisza.

— Ogień... Ogień... Gore! — rozlega się głos jego przeraźliwym krzykiem, budząc uśpionych...

W stajniach, gdzie śpią parobcy, poczyna się ruch, z izb czeladnich dobiegają krzyki przestrachu...

Już dach cały przyodział się w płaszcz ognisty. Dachówki poczynają pękać z łoskotem i z trzaskiem sypią się do koła; zkąd tylko opadły, gdzie powstaje otwór, tam zaraz pędzi płonący snop w niebiosa.

Aż dotąd sam jeden tylko był na dziedzińcu całym i ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, przyglądał się straszliwemu dziełu zniszczenia, teraz ze wszech stron drzwi poczynają się otwierać i z krzykiem wypadają z nich parobcy i dziewki.

Odetchnął głęboko, jakby po ciężkiej spełnionej dnia pracy i poszedł wolno do ogrodu, zanim go spostrzegł ktokolwiek.

— Pracowałem dość już długo—szepnął, zamykając za sobą furtkę. — Dziś odpocznę.

Wlokąc za sobą znużone nogi po żwirem wysypanej ścieżce, śmiertelnie zmęczony, powtarzał ciągle:

— Odpocząć — odpocząć.

Wzrok jego zagasły biegł do koła po całym widnokręgu... Skąpany w blaski księżyca i łunę pożogi otaczał go ogród a cienie sieczonych wichrem liści, biegały po nim niby widm gromady. Tu i owdzie padała iskra, jak świętojański robaczek biegnąc w powietrzu. Wyszukał sobie najcienitszą altanę i ukrył się w najgłębszym jej zakątku. Tam usiadł na darniowej ławeczce i twarz ukrył w dłoniach. Nie chciał nic już widzieć, nic słyszeć...

Ale nieokreślone uczucie ciekawości, kazało mu po chwili wyjrzeć znowu. A kiedy podniósł oczy, widział jak płomień, niby wielki purpurowy baldachim, obramowany białym rąbkiem, zawisł po nad mieszkalnym domem, w tamtą stronę bowiem wicher go pędził.

Wtedy wiedział, że wszystko przepadło.

Złożył ręce. Zdało mu się, że powinien się modlić.

— Matko, matko!..—zawołał ze łzami w oczach i wyciągnął ręce ku niebu...

I nagle cudowna prawie zaszła w nim zmiana. Poczuł się swobodnym, lekkim jak ptaszę, cały ten ciężar, co przez te wszystkie lata uciskał mu głowę i serce, znikł gdzieś i oddychając z głębi piersi przesunął dłońmi po ramionach, jakby z nich chciał strącić opadające kajdany...

— Tak — rzekł, jak człowiek, któremu ciężar spada z serca — teraz nic już nie mam, o nic nie

potrzebuję się troskać! Wolny jestem, wolny jak ptak, co buja w powietrzu!

Uderzył się dłońmi w czoło, płakał i śmiał się na przemiany. Wydawało mu się, że jakieś niesłychane, niezmierne a niezasłużone spadło nań nagle z nieba szczęście...

— Matko! matko! — wołał w dzikim radości okrzyku. Teraz wiem już jaki jest koniec twej boleści... Wyzwolony jestem... Wyzwolony!..

W tej chwili okropny ryk strwożonego bydła doszedł jego ucha i wrócił go do przytomności.

— Nie, wy biedne zwierzęta nie powinnyście ginąć z mojej winy — zawołał, zrywając się.

Powrócił śpiesznie na dziedziniec, gdzie dziewki i parobcy gorliwie wyciągali meble z domu.

— Patrzcie, pan — wołali z płaczem i jedno drugiemu ukazywało bose nogi...

— Dajcie temu pokój — krzyknął — ratujcie bydło!

Siekiera leżała na drodze; nią rozbił tylne drzwi stajni, prowadzące na pole, bo dziedziniec cały stał już w płomieniach.

Jak przez sen widzi ogród i łąki zapełniające się ludźmi: sikawka ze wsi pędzi i na drodze od strony Helenenthalu widać ruch jakiś.

Dwa, trzy razy rzuca się w płomienie, parobcy za nim, potem upada omdlały z bólu pośród płonącej stajni...

Krzyk, krzyk przeraźliwy, przejmujący do szpiku kości, krzyk kobiety raz jeszcze znagla go do otwarcia oczu.

Zdaje mu się, że widzi twarz Elżuni rozpływającą się w mgłach przed jego głową, potem znów noc go otacza, noc czarna, nieprzejrzana...

XXI.

O pierwszym dnia brzasku smutny orszak postępował drogą do Helenenthalu. Dwa drabiniaste wozy posuwały się powoli jeden za drugim. Na nich mieściło się wszystko, co ocalono z pożaru folwarku.

Na pierwszym, słomą usłanym, pookrywanym derami, leżał dziedzic folwarku, okryty ranami, nieprzytomny... Blada, drżąca kobieta, co się pochylała nad nim, to towarzyszka jego lat dziecięcych...

Takim go zabierała sobie do swego domu...

— Odeślemy go do której z sióstr — rzekł pan Douglas, ale ona położyła ręce na piersi Pawła, z której strzępy popalonej odzieży spadały, jakby nazawsze chciała wziąść go w posiadanie i odpowiedziała:

— Nie, ojcze, my go do nas zabierzemy.

— Ale twoje wesele, dziecko... goście!

— Co mnie obchodzi wesele! — rzekła, a wesoły narzeczony stał obok pomieszany, nie wiedząc jak sobie słowa te tłomaczyć.

Na drugim wozie leżały nieliczne meble, które uratowano, stara komoda, kilka szuflad z bielizną, książkami i zeszytami, gliniane misy, wiadro do mleka i długa fajka ojca...

Ale jej właściciel gdzie był teraz? Co się z nim stało?

Jedyny, który byłby może mógł dać jakieś w tym kierunku wyjaśnienie, leżał bez przytomności, sam walcząc ze śmiercią.

Czy uciekł? Czy zginął w płomieniach? Dziewki zastały pokój jego pusty a jego nie było i śladu.

— Nie przeczuwam ja nic dobrego — mówił stary Douglas. Usposobienie do waryacyi miał on zawsze, a jeśli jutro znajdziemy w pogorzelisku jego kości, jasnem mi będzie, że to on podpalił stodołę a potem rzucił się w płomienie.

Kiedy jednakże orszak ten cały wjechać miał w bramę Helenenthalskiego dworka, posłyszano po za gumnami żałosne wycie psa i zobaczono jak oboy kondel, oparłszy przednie łapy na jakiejś ciemnej leżącej masie, od czasu do czasu szarpał coś, co wyglądało jakby kraj ubrania.

Zdziwiony, kazał Douglas wóz zatrzymać i poszedł w tę stronę. Znalazł wtedy tego, którego poszukiwano—ale był to trup już tylko! Rysy jego okropnie były zmienione a ramiona wpół podniesione jeszcze, jak gdyby nagle skamieniał. Obok niego leżał rozbity garnek i paczka zapałek

pływająca w kałuży nafty, która w gliniastym gruncie spłynęła w wyżłobiony tor wozów.

Wówczas siwowłosy olbrzym złożył jak do pacierza ręce i posłał gorącą dziękczynną do nieba modlitwę. Kiedy powrócił do woza, drżał całem ciałem, jak w febrze a oczy miał łez pełne.

— Elżuniu, patrzaj tam — rzekł — tam leżą zwłoki starego Meyhöfera. Chciał dwór nasz podpalić i Bóg ukarał go śmiercią.

— Bóg nie podpala niczyich stodół — wymówiła Elżunia i spojrzała w stronę folwarku, zkąd dym ciemno-brunatny wznosił się w mdławem świetle wczesnego poranka.

— Ale czyż to nie Opatrzność Boska, żeśmy zostali uratowani?

— Jeśli nas kto ocalił od nieszczęścia, to tylko ten chyba! — odpowiedziała Elżunia.

— Co? Onby miał poświęcić wszystko, on miałby stać się podpalaczem dla tego tylko...

— Spytaj go! — rzekła bezdźwięcznym głosem i we wzrastającej serca trwodze, obie ręce przycisnęła do piersi i jęknęła głośno:

— Daj Boże, aby jeszcze kiedy mógł odpowiedzieć na to pytanie — szepnął Douglas. Potem wydał kilku parobkom rozkaz, aby ciało zmarłego starca przenieśli do dworku. Po doktora już posłano, on sam chciał pojechać do sióstr, aby je zawiadomić.

Przelękli goście wybiegli na spotkanie przybywającego wozu, który zatrzymał się przed ukwieconą werendą.

— Elżuniu, jak ty wyglądasz? Elżuniu, oszczędzaj się! — wołały ciotki i zamierzały zabrać ją z sobą.

— Idźcie ztąd — rzekła i wymownym gestem strapienia odtrąciła wyciągające się ku niej pieszczotliwie ręce.

Nadszedł nawet i wesoły narzeczony, który tej nocy odgrywał dość śmieszną rolę i usiłował ją przekonać, aby się oddaliła od tej wpółmartwej już bryły ciała. Ona przecież błędnym wzrokiem popatrzyła na niego od stóp do głowy, jak gdyby nie przypominała sobie zupełnie, że go widziała kiedykolwiek. Być może, że pod wpływem tego spojrzenia, zbudziło się w nim poczucie maluczkiej swej wartości,—bo zakłopotany jakiś oddalił się od niej.

Ciotki, łamiąc ręce, przybiegły do starego Douglasa, który w oczekiwaniu na powóz, co miał poń zajechać, przechadzał się tam i napowrót przed frontowemi schodami dworku. Potężna pierś jego podnosiła się ciężkim, przyśpieszonym oddechem, białe brwi krzaczyste ściągnięte były silnie a oczy ciskały błyskawice. W duszy jego widocznie szalała burza.

— Zlituj się—wołały kobiety— uspokójże jako Elżunię — musi przecież odpocząć—coś dziwnego

z nią się dzieje — wygląda jakby jej groziło obłąkanie.

— Jeśli tak jest, jak ona mówi — mruczał olbrzym sam do siebie — jeśli on poświęcił całe swe mienie!... Do stu piorunów, dajcie mi pokój! — wrzasnął na kobiety, co go otoczyły do koła.

— Ależ pomyśl o Elżuni — wołały chórem — o dwunastej proboszcz przyjeżdża... jak ona będzie wyglądać?...

— To jej rzecz — krzyknął — dajcie jej pokój. Ona dobrze wie co robi!

W tej chwili, w której Pawła znoszono z wozu, od bramy dziedzińca szła gromadka parobków, którzy nieśli zwłoki jego ojca...

Tuż jedno za drugiem wniesiono do białego dworku oba ciała, a pies szedł, skomląc i sapiąc za nimi. Smutna to była procesya ..

Elżunia kazała Pawła przenieść do swej sypialni, zamknęła drzwi i usiadła obok łóżka.

Daremnie błagały ciotki, by je wpuszczono.

O godzinie jedenastej przyjechał lekarz i oświadczył, że do jutra rana pozostać chce przy chorym. Czasem swym już rozporządził w ten sposób, aby na noc nie wracać do siebie, jako dawny przyjaciel domu bowiem należał do zaproszonych na wesele gości. Tymczasem polecił zatelegrafować po dozorczynię, któraby objęła opiekę nad chorym.

— Czy ja nie mogę przy nim pozostać? — spytała Elżunia.

— Gdybyś pani mogła! — odpowiedział zdziwiony.

— Mogę! — odrzekła z zagadkowym uśmiechem.

Ciotki poczęły pukać do drzwi na nowo.

— Zlituj się, dziecko! — wołały przezedrzwi.— Musisz się zacząć ubierać. Proboszcz już przyjechał.

— To może odjechać, — odpowiedziała.

Z zewnątrz słychać było jakieś szepty i narzeczony przyłączył się do walnej narady.

— Co chcesz uczynić, moje dziecko? — rzekł sędziwy lekarz i popatrzał jej badawczo w oczy.

Wówczas padła z płaczem u łóżka na kolana, pochwyciła bezwładną rękę Pawła, co zwisła na krawędzi i przycisnęła ją do oczu i do ust.

— Czy to jest silną, nieodmienną twą wolą? — spytał starzec.

Skinęła głową w milczeniu.

— A jeśli on umrze?

— On nie umrze — powiedziała — on umrzeć nie może!

Doktór uśmiechnął się smutnie.

— Dobrze więc — rzekł potem — pozostańże przy nim na chwilę tu sama i co dwie minuty zmieniaj mu okłady. Ja tymczasem pójdę zapewnić ci spokój.

Niebawem posłyszano turkot zajeżdżających powozów a zaraz potem słychać było, jak kolejno opuszczały dziedziniec. W godzinę później wszedł lekarz napowrót do pokoju chorego.

— Dom wkrótce będzie całkiem opróżniony — rzekł — uroczystość została odłożoną.

— Odłożoną? — zapytała z trwogą.

Staruszek popatrzał na nią i wstrząsnął głową. Serce ludzkie codziennie ukazywało mu się nową zagadką...

. . . . . .

Przez ciąg całych długich tygodni, chory zawieszony był między życiem a śmiercią. Nerwowa febra, która się wywiązała, zdawała się w niwecz obracać wszelką nadzieję.

Elżunia niemal nie odstępowała jego łóżka, nie jadła nic, nie spała, całe jej życie zawieszonem było na tej troscé o ukochanego.

Ojciec pozwalał jej na wszystko.

— Trzeba, żeby go postawiła na nogi — mówił — chociażby na to, abym go mógł wybadać.

Wesoły kuzynek począł przeczuwać, że położenie jego nie jest bynajmniej godnem zazdrości, i wymógłszy na wuju, że spłacił wszystkie jego długi, opuścił Helenenthal.

Zwłoki starego Meyhöfera nazajutrz już po pożarze zabrały bliźnięta. Zagadkowa śmierć jego wywołała powszechną sensacyę, nawet gazety stolicy pisały o niej i to, czego przez życie całe nie mógł osiągnąć, aby bodaj na chwilę być uważanym za bohatera, to go spotkało po śmierci.

W głębi, na dalszym planie przecież, czychały sądy na wyzdrowienie Pawła.

XXII.

Obrońca skończył. Szept przeszedł po obszernej sali sądów przysięgłych, której galerye zapełnione były gęsto nabitemi głowami.

Jeżeli oskarżony nie zepsuje jakiemś nieostrożnem słowem wrażenia świetnej obrony, zostanie ocalonym.

Replika prokuratora przeszła niepostrzeżenie.

A teraz zadźwięczały binokle i lornetki. Wszystkich oczy zwróciły się na bladego, skromnie ubranego człowieka, który siedział na tej samej ławie oskarżonych, na której przed ośmiu laty zasiadał jego parobek.

Prezydujący zapytał, czy oskarżony ma jeszcze co do dodania na poparcie swej niewinności.

— Milczeć, milczeć! — rozległo się szeptem po sali.

Ale Paweł podniósł się i począł mówić, najprzód cicho i urywanie, z każdą chwilą jednak coraz wyraźniej.

— Serdecznie mi przykro, że trud, który sobie zadał pan adwokat, aby mnie uratować, musi iść na marne. Ale w gruncie rzeczy, nie jestem ja tak niewinnym, jakim on mnie przedstawił.

Sędziowie spojrzeli po sobie.

— Co to jest?—Sam chce przeciw sobie mówić.

— Powiedział on, że trwoga uczyniła mnie bezprzytomnym niemal. Że działałem pod wpły-

wem pewnego rodzaju obłędu, który mnie w owej chwili czynił niepoczytalnym zupełnie. A to nie jest prawdą.

— Skręci kark — mówiono wpośród widzów.

— Od wczesnej młodości wiodłem żywot w poniżeniu i ucisku, i zdało mi się, że nie mogę śmiało spojrzeć nikomu w oczy, jakkolwiek nie było w życiu mojem nigdy nic takiego, cobym chciał lub potrzebował ukrywać; gdybym jednakże teraz uląkł się prawdy, wówczas mniej już niż kiedykolwiek mógłbym ludziom patrzeć w oczy i zdaje mi się, na ten raz już nie bez dostatecznego powodu. Mój obrońca prawny przedstawił też poprzednie życie moje jako wzór wszelkiego rodzaju cnót. Tak nie było jednak. Brak mi było zawsze godności i samowiedzy, — zanadto ustępowałem zawsze ludziom. I to mnie dręczyło niepomiernie, jakkolwiek nigdy nie umiałem sobie wytłomaczyć jasno powodów. Zbyt wiele ciążyło na mnie, abym mógł kiedykolwiek swobodniej odetchnąć, jak musi oddychać człowiek, aby nie stał się bezmyślną maszyną, by nie zmarniał.

— Ten czyn wszakże wyswobodził mnie i udarował tem, czego brakło mi tak długo — czyn ten stał się dla mnie wielkiem szczęściem: a ja miałbym być tak niewdzięcznym, aby dziś go się wyprzeć?—Nie, tego nie zrobię! Niechaj mnie zamkną w więzieniu na tak długo, jak się sądowi podoba, ja czas ten przetrwam spokojnie i potem nowe zacznę życie. I dla tego też powiedzieć muszę: ja

sam z całą świadomością tego co czynię, podłożyłem ogień, ja sam dobrowolnie oddałem na pastwę płomieni całe mienie moje i nigdy nie byłem przytomniejszy, nigdy nie zdawałem sobie dokładnej sprawy z moich czynów, jak wówczas, kiedym oblewał naftą moje zboże i gdybym dziś znalazł się w tem samem położeniu, Bóg mi świadkiem, że uczyniłbym to samo... Bo i czemuż nie miałbym? To, com niweczył, jest dziełem rąk moich — jam to stworzył ciężką pracą lat wielu i mogłem z tem uczynić co mi się podobało. Wiem dobrze, że sądy innego są w tej mierze zdania i dlatego mnie ukarzą więzieniem, które odsiedzę spokojnie. Ale któż na tem cierpiał, kto, prócz mnie, ponosił szkodę?... Moje rodzeństwo już było wyposażone i nie mogło rościć sobie praw dalszych do mojej pracy, a ojciec... — zatrzymał się na chwilę a głos jego drżał, kiedy począł mówić dalej: — Tak, czyż nie lepiej było, aby ojciec mój spędził ostatnie lata życia swego w spokoju, bez troski u której z córek, niżby miał iść tam, gdzie ja teraz idę?...

— Los nie tak chciał. Tknęła go apopleksya i bracia moi utrzymują, żem ja stał się jego zabójcą. Ale bracia nie mają prawa sądzić o tem, bo oni nie znają ani mnie, ani ojca. Przez całe życie dbali oni tylko o siebie, a mnie samemu pozostawiali troskę o ojca i matkę, i siostry, i dom, i gospodarstwo, a ja wówczas tylko byłem dobry dla nich, kiedy czego odemnie potrzebowali. Dziś od-

suwają się odemnie, ale w przyszłości nie mogą dla mnie być więcej obcymi, jak nimi byli dotychczas.

— Moje siostry — zwrócił się ku ławie świadków, gdzie Gosia i Kasia z zakrytemi twarzami siedziały płacząc, a głos jego zmiękł dziwnie od łez powstrzymywanych — moje siostry również nic dziś nie chcą wiedzieć o mnie — ale im chętnie to wybaczam, to kobiety, więc ze słabszej ulepione gliny — zresztą, po za niemi stoi dwu obcych ludzi, którym nadzwyczaj łatwo jest oburzać się na mój czyn potworny. Wszyscy mnie odstąpili — nie, nie wszyscy — twarz jego rozpromieniła się nagle — ale to do rzeczy nie należy. Jedno wszakże jeszcze tu powiem, chociażbym nawet w oczach sądu i świata miał uchodzić za zabójcę: Nie żałuję bynajmniej, że czyn mój sprowadził za sobą śmierć ojca. Wolę, że pozostał takim, jakim go zabiłem, niż gdybym go miał takim, jakim pozostawiłbym go przy życiu! Stary był, osłabiony a czekał go tylko wstyd i hańba, żył tak spokojnem życiem a w innym razie byłby musiał dogorywać nędznie. Lepiej więc, że śmierć spadła nań jak grom, który człowieka pośród szczęścia zabija. Takiem jest moje przekonanie, policzyłem się z mojem sumieniem i nikomu zresztą nie potrzebuję zdawać rachunku, prócz Bogu i sobie. A teraz możecie, panowie, mnie zasądzić.

— Brawo! — zawołał grzmiący głos z ławy świadków.

Był to Douglas.

Sędziwy olbrzym stał wyprostowany w całej swej imponującej wysokości, oczy błyskały mu z pod brwi krzaczystych, a kiedy prezydujący nakazał mu milczenie, usiadł na miejscu z przekornie wzniesioną głową i rzekł do swego sąsiada:

— Z *tego* mogę być dumnym, nieprawdaż?

XXIII.

We dwa lata później, w wesoły ranek czerwcowy otwarła się czerwono pomalowana brama więzienna, wypuszczając jednego z więźniów, który z śmiejącą twarzą spoglądał w słońce, jakby chciał się nauczyć, jak blask jego znosić na nowo. Zakręcił w powietrzu młynka tłomoczkiem, który trzymał w ręku i rozejrzał się na prawo i lewo, jak człowiek, który nie wie na pewno, jaki ma nadać drodze swej kierunek, któremu w głębi duszy przecież jest obojętnem gdzie pójdzie...

Kiedy doszedł do węgła więziennego budynku, zobaczył stojącą tam karetę, widocznie nie musiała mu ona być obcą, bo zatrzymał się i zdawał namyślać. Następnie zwrócił się do woźnicy, który w futrzanej swej, kutasami przystrojonej czapce, dumnie poglądał z kozła.

— Jest tu kto z Helenenthalu? — spytał.

— Tak, jest pan i panna. Przyjechali zabrać pana Meyhöfera.

A zaraz potem rozległo się od strony zewnętrznych schodów:

— Hola, ho! wszakże to on — Elżuniu, chodź, on jest już tutaj!

Paweł wskoczył szybko po schodach i obaj mężczyźni leżeli już sobie w objęciach.

Wtedy zcicha i nieśmiało otwarły się ciężkie podwoje i przez nie wsunęła się smukła czarno ubrana postać kobieca, która ze smętnym uśmiechem oparła się plecami o ścianę i czekała spokojnie, póki mężczyźni nie wypuszczą się wzajem z objęć.

— Masz go teraz, Elżuniu! — zawołał stary.

Ręka w rękę stali teraz obok siebie i spoglądali sobie w oczy, potem ona oparła głowę na jego piersi i szepnęła:

— Bogu niech będą dzięki, na zawsze jestem przy tobie.

— Ażebyście mogli oboje nacieszyć się sobą, dzieci — rzekł ojciec — jedźcie sobie sami we dwoje do domu, a ja tymczasem wypiję tutaj butelkę burgunda za zdrowie mego następcy. Teraz dla mnie szczęśliwe nastają czasy, od dziś dnia idę na emeryturę.

— Panie Douglas! — zawołał Paweł przestraszony.

— Ojcem mnie proszę nazywać! Nad wieczorem przyślij po mnie! Teraz tyś tam w domu panem, rozumiesz!

I zbiegł szybkim krokiem ze schodów.

— Chodź — rzekł Paweł cicho ze spuszczonemi oczyma.

Elżunia z trwożnym uśmiechem postępowała za nim, bo odkąd byli sami, żadne nie śmiało zbliżyć się do drugiego.

A potem wyjechali w milczeniu na pola błękitne, opromienione słońcem... gwoździki, sasanki i dzwonki utkały im wzorzysty, barwny kobierzec a białe badyle wznosiły po nad nim powiewne swe główki, jakby osypując kwiecie płateczkami śniegu. Liście wierzb srebrzyste cichym przemawiały szumem a niby sieć wstęg błękitnych ciągnęły się rowy zapełnione wodą. Ciepłe powietrze drgało a żółte motyle parami, to ulatywały w górę, to spadały ku ziemi.

Paweł wsunął się w głąb poduszek powozu i spoglądał nawpół zmrużonemi oczyma na tę uroczą pełnię cudów do koła.

— Jesteś szczęśliwy? — spytała Elżunia, pochylając się nad nim.

— Nie wiem — odpowiedział — boję się spojrzeć w moje serce.

Uśmiechnęła się, ona zrozumiała go dobrze.

— Patrz, tam przyszła nasza siedziba! — rzekła ukazując mu w dali widniejący dom biały. Uścisnął jej rękę, ale głosu mu zabrakło.

Na skraju lasu kazali zatrzymać się powozowi. Oboje wysiedli i pieszo szli dalej. Wtedy spostrzegł, że trzyma w ręce białą jakąś paczkę, której nie zauważył był poprzednio.

— Co to jest? — zapytał.

— Zobaczysz już — odpowiedziała i poważny uśmiech prześliznął się po jej twarzy.

— Niespodzianka?

— Pamiątka!

Skoro w las weszli, spostrzegł między czerwonawo połyskującemi drzew pniami coś czarnego, obwieszonego wieńcami kwiatów.

— Co to znaczy? — spytał, ukazując ręką.

— Jakto, nie poznajesz już twojej przyjaciółki? — odparła. — Chciała cię pierwsza powitać.

— Czarna Zuza! — zawołał radośnie i począł biedz naprzód.

— Zabierzże i mnie — zawołała zdyszana. — Zapominasz, że odtąd zawsze będziemy we dwoje.

Wziął ją za rękę i tak przyszli przed czarnego potworu, co trzymał straż u drogi.

— Stara poczciwa — zawołał i pogłaskał ręką zakopcony kocioł. A kiedy poszli dalej, co parę kroków oglądał się, jakby mu trudno było z nią się rozstać.

— Ja tu jej dobrze strzegłam — rzekła Elżunia — zazwyczaj stoi ona tuż w pobliżu mego okna, bośmy ją uratowali dla ciebie wraz z dziedzictwem należnem ci po ojcu, abyś jej nie utracił.

Kiedy z kolei wyszli na drugą stronę lasu, rzekł, wskazując na dwa pnie drzew, które o jakie dwadzieścia kroków stały od drogi:

— Tu zobaczyłem cię leżącą w hamaku.

— Tak — rzekła — tutaj też po raz pierwszy przekonałam się, że nigdy nie będę mogła już zrzec się ciebie...

— A tu jest ten krzak jałowca— ciągnął dalej, kiedy wyszli z lasu — gdzieśmy... — a potem nagle krzyknął głośno i obie ręce wyciągnął w próżnię.

— Co tobie? — zawołała z trwogą, patrząc ku niemu. Śmiertelnie był bladym a usta drżały mu gwałtownie.

— Nie ma jej! — wybąknął.

— Kogo?

— Tej... tej... mojej... mojej własności.

Gdzie niegdyś wznosiły się budowle folwarku, dziś leżała szeroka równina, pojedyncze drzewa tylko tu i owdzie wyciągały skąpe swe gałęzie.

Nie mógł się przyzwyczaić do tego widoku i twarz zakrył sobie rękoma, kiedy tymczasem dreszcz silny wstrząsał jego ciałem.

— Nie smuć się — prosiła — ojciec nie chciał folwarku odbudowywać na nowo, dopóki ty sam nie wydasz potrzebnych rozporządzeń...

— Chodźmy tam — rzekł.

— Proszę cię, proszę, nie chodź—odpowiedziała mu — tam niema nic do widzenia — oprócz kupy popiołów — innym razem, skoro nie będziesz tak wzruszony...

— Ale gdzież ja teraz głowę ułożę, gdzie dzisiejszą noc spędzę?

— W tym samym pokoju, w którym się urodziłeś... Kazałam go dla ciebie urządzić i poustawiać w nim meble twojej matki. Możeszże powiedzieć jeszcze, żeś utracił dom rodzinny?

Uścisnął jej rękę, przejęty wdzięcznością, ona zaś ukazała mu krzak jałowca, który już pierwej zwrócił był jego uwagę.

— Chodź tu lepiej — rzekła — połóż głowę na kretowinie i zagwizdaj mi co. Czy pamiętasz jeszcze?

— Czy ja tę chwilę pamiętam!

— Jak to już dawno temu?

— Lat siedemnaście!

— Ah, Boże drogi i ja tak dawno cię kocham, tak długo, że się już zestarzałam w staropanieństwie... A czekałam na ciebie rok za rokiem! Aleś ty tego nie chciał widzieć. Kiedyś przecież przyjść musi, myślałam sobie, — lecz tyś nie przychodził... Aż wreszcie straciłam nadzieję i pomyślałam sobie: niemożesz mu się narzucać, widocznie, że cię nie chce... trzeba ci raz jasno spojrzeć w oczy prawdzie... i raz położyć koniec wszelkim tęsknotom i niemogącym się ziścić pragnieniom; dałam więc słowo kuzynowi, który przez lat dziesięć ciągle starał się o mnie. On mnie tak często bawił, tak zręcznie pobudzał do śmiechu, więc uwierzyłam, że będzie... ale cicho o tem! — i dreszcz ją przebiegł. — Chodź, połóż się tutaj i zagwizdaj co!

On wstrząsnął głową i ręką wskazał w milczeniu w dal na pole, gdzie na widnokręgu rysowały się kontury trzech jodeł osamotnionych, które w niebo wyciągały ramiona.

— Tam! — rzekł. — Nie doznam spokoju, póki tam nie będę.

Masz słuszność — rzekła, i pod rękę szli przez kwitnące wrzosy, nad któremi krążyły roje pszczół, z sennym brzęczeniem.

Kiedy weszli na cmentarz, z białego domu odzywał się głos dzwonka zwiastującego południe.

Echo jego drgało jeszcze w powietrzu, potem zupełna zalegała cisza, tylko brzęk owadów rozlegał się w powietrzu, niby śpiew stłumiony.

Grób matki obrośnięty był gęsto bluszczem, dzikim mirtem, a w głowach rozkwitała wysoka kiść dziewanny, wznosząc w górę kwiecistą swą koronę. Między listkami pełzały mrówki a jaszczurka wśliznęła się w szczelinę pośród murawy.

W milczeniu stali oboje obok siebie a Paweł drżał jak listek. Żadne nie śmiało przerwać świętej ciszy.

— Gdzie pochowaliście ojca? — spytał nakoniec Paweł.

— Siostry twoje zabrały z sobą jego zwłoki i przewiozły je do Lotkeim — odpowiedziała Elżunia.

— To i lepiej — odpowiedział — przez całe swe życie była osamotniona, niechajże nią pozostanie

i po śmierci. Jutro jednak i jego musimy odwiedzić.

— Czy chcesz do sióstr zajechać?

Wstrząsnął smutnie głową. Poczem zapadli znowu w milczenie. On ukrył głowę w obu dłoniach i płakał.

— Nie płacz — mówiła — toć już teraz każde z was ma własne gniazdko. — A potem wydobyła paczkę, którą dotąd trzymała w ręku, rozwinęła czysty papier, w który była obwiniętą, i wyjęła zeń stary zeszyt w postrzępionej okładce o pożółkłych kartkach.

— Patrzaj, to ona ci przesyła — wyrzekła — i kazała cię pozdrowić.

— Zkąd ty to masz? — spytał wzruszony, bo poznał pismo matki.

— Zeszyt ten leżał w starej komodzie, która uratowaną została z pożaru, wciśnięty między szufladę a tylną ścianę. Tam spoczywał sobie prawdopodobnie spokojnie od czasu jej śmierci.

Potem usiedli oboje na mogile, położyli zeszyt na kolanach i zaczęli go czytać wspólnie. Teraz przypomniał on sobie, że w ów wieczór, kiedy zastał w ogrodzie siostry z kochankami, Kasia mówiła o jakimś zeszycie z pieśniami, który należeć miał do matki, nigdy jednak nie mógł przenieść na sobie, aby ją o zeszyt ów spytać, byłoby to bowiem musiało wywołać przykre wspomnienie owej ciężkiej chwili.

Były tam spisane różnorodne stare pieśni, znane powszechnie; te widocznie przepisywane były starannie, gładko, bez przekreśleń i poprawek. Obok inne wpół przekreślone i opatrzone wszelkiego rodzaju poprawkami; te znów spisywane musiały być z pamięci a może nawet własnego były układu.

Znajdowały się tam takie, które nieraz słyszał od Kasi.

Czytając te wiersze, musiał przypomnieć sobie siostry i zdało mu się, że matka wszystko wiedziała naprzód i wszystko naprzód przewidziała. Tuż pod wierszami wielkiemi literami wypisane było:

Baśń o Kumie-Trosce.

Była razu pewnego matka, którą Bóg dobry obdarzył synem, była ona jednak tak biedna i tak osamotniona na świecie, że nie miała nikogo, coby chciał syna jej podać do chrztu. Wzdychała więc i myślała sobie: „Gdzie też ja znajdę dla siebie kumę?" W tem pewnego dnia o zmroku przyszła do jej domu kobieta, przybrana w szare suknie i w szarej na głowie chuście; kobieta ta powiedziała jej: „ja będę synowi twemu chrzestną matką i będę starać się o to, aby zeń stał się człowiek uczciwy i aby ci nie dał umrzeć z głodu. Ale za to musisz mi darować jego duszę".

Wówczas zadrżała matka i rzekła:

„Kto ty jesteś"?

„Ja jestem Kuma-Troska" — odparła szara kobieta.

I matka zapłakała, ale że cierpiała głód wielki, darowała zatem kobiecie duszę syna i ta została chrzestną jego matką.

I syn jej wzrastał i pracował ciężko dla niej na kawałek chleba. Ale że nie miał duszy, przeto praca nie sprawiała mu przyjemności; nie miał też ni młodości, ni uciechy i nieraz poglądał na matkę pełnemi wyrzutu oczyma, jak gdyby chciał ją pytać:

„Matko, co się stało z moją duszą?"

Więc matka posmutniała i poszła w świat szukać mu duszy.

Pytała gwiazd na niebie: „Czy nie zechciałybyście podarować synowi memu duszy?"

Ale gwiazdy odpowiedziały:

„Na to on za niski, za poziomy".

I pytała kwiatów na łące:

„Czy nie zechcecie obdarować go duszą?"

Ale te odpowiedziały:

„Na to on za brzydki".

I pytała ptaków na drzewach o toż samo; te zaś odpowiedziały jej:

„Na to on za smutny".

I błagała drzew wysokich, a one odpowiadały jej:

„Na to on za pokorny".

I zapytywała mądre węże, czyby one nie zapożyczyły swej duszy jej synowi, a węże odpowiedziały jej:

„Na to on za głupi".

Więc poszła dalej drogą swą, płacząc żałośnie. Aż w lesie spotkała młodą, piękną księżniczkę, którą otaczał dwór wielki.

Zobaczywszy matkę płaczącą, dziewica zsiadła z konia i zabrała ją z sobą na swój zamek, co był zbudowany cały ze złota i drogich kamieni.

Tam spytała ją:

— Powiedz mi, czemu płaczesz?

A matka żaliła się przed księżniczką na swą niedolę, skarżyła, że nie może dla syna swego nigdzie ubłagać duszy, że nie może dać mu ani radości, ani młodości.

Wtedy księżniczka rzekła:

— Nie mogę patrzyć na nikogo, co płacze! Wiesz co? — ja mu dam moją duszę.

Matka wówczas upadła przed nią na kolana i całowała jej ręce.

— Lecz — rzekła księżniczka — ja tego nie zrobię tak dobrowolnie, pierwej on mnie o to poprosić musi.

Matka więc poszła z nią do syna, ale Kuma-Troska owinęła głowę jego szarym swym welonem tak troskliwie, że z po za niego nic widzieć nie mógł i nie zobaczył też księżniczki.

I matka prosiła:

— Droga Kumo-Trosko, oswobódź go wreszcie.

Ale Troska uśmiechnęła się tylko — a kto widział jej uśmiech, ten zawsze płakać musiał, i rzekła:

— Sam on musi się wyswobodzić.

— Jakże on to uczynić może?—spytała matka.

— Musi mi poświęcić wszystko, co mu jest drogiem — rzekła Kuma-Troska.

Wtedy zmartwiła się bardzo matka, położyła się i umarła. Księżniczka zaś do dziś dnia czeka na owego syna...

. . . . . .

* * *

— Matko, matko! — zawołał, z jękiem i padł na ziemię mogiły.

— Chodź — rzekła mu Elżunia walcząc ze łzami, i położyła mu rękę na ramieniu. — Daj pokój matce, ona ma teraz już spokój wieczysty, a nam nic już złego uczynić nie może ta twoja okropna Kuma-Troska!...

KONIEC.

BIBLIOTEKA CZYTELNIA
5026
UJK Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach

I

— Sam on może się wywiedzieć.

— Jak to on ma wywiedzieć? — spytała matka.

— Ilusi mi powiedzą wszystko, co ma jest dre-
ptem — rzekła Emma Troska.

Nicoły zmartwiła się bardzo matka, poloczyła
się i umarła. Kupaniczka ma do dziś dnia cwela
dla swego syna.

. . . . . .

— Matko, matko! — zawołał, a pokłon i prośbę
na kimsie mogiły.

— Chodź — rzekła mu Matrona, wolnego za ła-
ni, i poloczyła mu rękę na ramienia — Daj pokój
matce, ona na teraz jest spokój wieczyny, a nam
nie ma długo czasu, bo trzeba ta twoja ochrona
Emma Troska.

. . . . . .

Biblioteka Uniwersytecka

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0472240